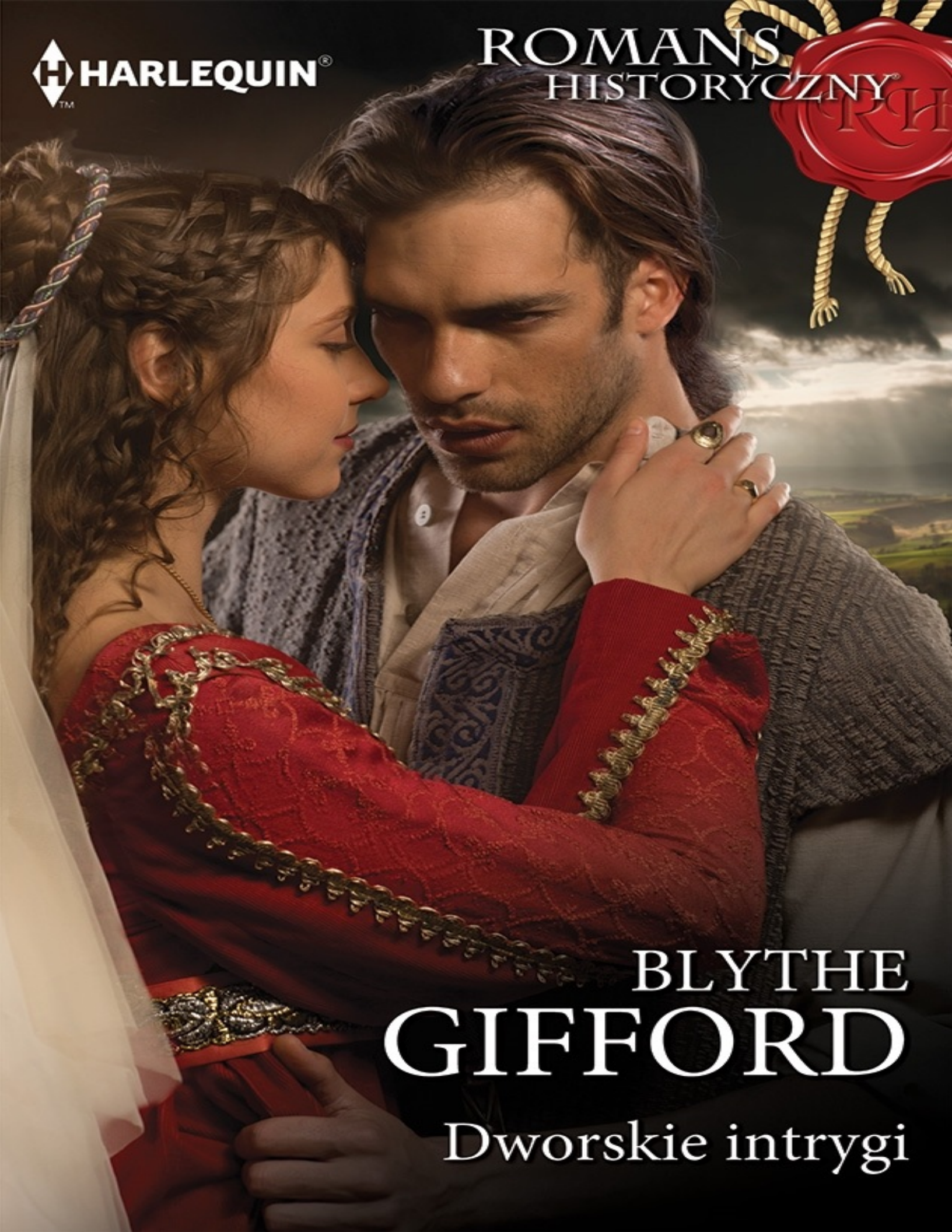
 HARLEQUIN[®]
TM

ROMANS
HISTORYCZNY



BLYTHE
GIFFORD

Dworskie intrygi

Blythe Gifford

Dworskie intrygi

Tłumaczenie:
Ewa Nilsen

ROZDZIAŁ PIERWSZY

11 listopada 1363 roku
Smithfield, Londyn

Mon Dieu, ależ na tej wyspie jest zimno.

Lodowaty angielski wiatr rozwiał Marcowi de Marcelowi włosy, a w następnej chwili wślizgnął się pod jego kolczugę, obejmując szyję swoim chłodnym dotknięciem. Marc spojrzał na rycerzy znajdujących się w drugim końcu pola, zastanawiając się, który będzie jego przeciwnikiem.

Choć to właściwie nie miało znaczenia.

- Wystarczy jedno starcie - powiedział cicho - by każdy z nich znalazł się na ziemi.

- Kodeks rycerski wymaga trzech natarć kopią - odrzekł mu lord Coucy - po których nastąpią trzy ciosy mieczem. Dopiero wtedy będzie można ogłosić zwycięzcę.

Marc westchnął. Co za szkoda, że tego rodzaju turnieje są tylko zabawą. Bo on z wielką chęcią powitałby możliwość wyprawienia na tamten świat jeszcze jednego z tych przeklętych Anglików.

- Przy okazji takich zabaw marnuje się tylko siły konia. No i nasze własne.

- Nie należy, *mon ami*, obrażać tych, na których łasce się znajdujemy. Dzięki współpracy z nimi nasz pobyt tutaj okaże się bardziej znośny.

- Jesteśmy zakładnikami. I nic nie mogłoby uczynić tego faktu bardziej znośnym.

- Damy mają taką moc. - Coucy ruchem głowy wskazał trybuny. - Są *très jolie*.

Marc spojrzał w tamtą stronę. Po prawicy króla Edwarda siedziały kobiety. Tuż obok monarchy królowa, przyodziana w fioletowy strój bramowany gronostajami, a dalej całe mnóstwo innych dam, z których wyróżniała się tylko jedna.

Ta, której ciemne włosy ozdabiał złoty diadem i która, skrzyżowawszy na piersi ramiona, spoglądała w ich kierunku ze zmarszczonymi brwiami. Marc nawet z tak dużej odległości dostrzegł w jej spojrzeniu nienawiść równą swojej własnej. Kobieta patrzyła tak, jakby czuła odrazę do wszystkich Francuzów.

No cóż, pomyślał, przynajmniej jej uczucia są odwzajemnione.

Wzruszył ramionami. *Les femmes Anglaises* go nie interesowały. Jego uwagę zaprząтали dwaj monarchowie będący gośćmi angielskiego władcy, którzy wraz ze swoim królewskim gospodarzem oglądali turniej.

- Ja będę chciał zrobić wrażenie na *les rois*, a nie na damach - powiedział Marc swemu ciemnowłosemu przyjacielowi.

- Rycerz powinien dążyć do tego, by wyrzucić wrażenie na damach - odrzekł mu z uśmiechem przyjaciel. - Ponieważ to jest najlepszy sposób, by zaimponować ich mężczyznom.

Enguerrand, lord Coucy, choć był młodszy od Marca, wciąż go zadziwiał. Na przykład tym, że jednego dnia w trakcie walki potrafił zarębać toporem nieprzyjaciela,

a już następnego dnia wyśpiewywać *les chansons* z damami. Tej pierwszej sztuki, sztuki walki, Marc w znacznym stopniu sam go nauczył. Jednak to nie on nauczył go tej drugiej.

- Jak ty to robisz? - zapytał Coucy'ego. - Jak znajdujesz w sobie siłę, by schylać głowę przed tymi, co trzymają cię w niewoli, i uśmiechać się do nich?

- Czynię to w imię honoru francuskiego rycerstwa, *mon ami* - zabrzmiała odpowiedź.

- Francuski honor umarł pod Poitiers - odparł Marc, wspominając, jak podczas tej bitwy tchórzliwi francuscy dowódcy, wśród których znajdował się nawet najstarszy syn króla, uciekli z pola walki, porzucając monarchę.

- Wojna już się skończyła - stwierdził Enguerrand, kręcąc głową. - Nie prowadzimy jej w tej chwili.

Enguerrand miał rację i mówił przy tym o wszystkich wziętych do niewoli francuskich rycerzach. Wszystkich prócz jego przyjaciela Marca. Ponieważ Marc wojnę wciąż prowadził. Tak, on ciągle walczył, choć nie toczono już bitew i pomimo że podpisano rozejm. Był zakładnikiem Anglików i buntował się przeciwko temu wewnętrznie. Miał wrażenie, że na jego szyi zaciska się angielska pętla i nie pozwala oddychać.

Z zamyślenia wyrwał go herold ogłaszający początek turnieju. Coucy miał stoczyć walkę jako pierwszy - z wyższym, potężniej zbudowanym rycerzem - który przynajmniej wyglądał na godnego przeciwnika.

W odróżnieniu od przyjaciela Marc miał walczyć z chłopcem, nieopierzonym młodziekiem, którego, nie będąc ostrożnym, można było przypadkiem zabić.

Lecz czy ja, zapytał Marc sam siebie, zdobędę się na tę ostrożność?

Lady Cecily, hrabina Losford, wzdrygnęła się, widząc, jak jej oddech w lodowatym powietrzu zmienia się w mgiełkę. Następnie przeniosła spojrzenie na ścięte mrozem turniejowe pole, które mieniło się kolorami sztandarów i chorągiewek, rycerskich opończy i okrywających wierzchowce czapraków. Złoto i srebro, czerwień i błękit, a także inne kolory, rwały wprost oczy, dodając splendoru całemu wydarzeniu mającemu zadziwić królewskich gości i oddać cześć królowi Edwardowi, który świętował swoje zwycięstwo nad Francuzami.

Lady Cecily podniosła dumnie głowę, starając się, by jej postawa była godna hrabiowskiego tytułu.

„Musisz zachowywać się tak, by przynosić honor naszemu rodowi. To twój obowiązek”.

Tak brzmiały powtarzane nieraz słowa rodziców, którzy żyli już jedynie w jej pamięci.

- Prawda, Cecily?

Cecily spojrzała na księżniczkę Isabelle, nie wiedząc, o co królewska córka ją pyta. Jako jedna z siedmiu dam dotrzymujących towarzystwa księżniczce, pozwalała sobie czasami na to, by w zamyśleniu nie śledzić rozmowy. Tak też stało się teraz, gdy słowa księżniczki wyrwały ją z zadumy.

- Jestem pewna, że macie rację, pani - odrzekła na wszelki wypadek, z nadzieją, że odpowiedź będzie pasowała do tej sytuacji.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się księżniczka. - Myślałam, że nie lubisz Francuzów. Isabella dostrzegła zamyślenie swej ulubionej dwórki i postanowiła z niej zażartować.

- Obawiam się, pani, że nie słyszałam, o czym mowa - przyznała lady Cecily z westchnieniem.

- Mówiłam, że ten Francuz wygląda bardzo groźnie.

Lady Cecily podążyła spojrzeniem za wzrokiem swojej pani i od razu zauważyła, że dwaj Francuzi dosiedli już swoich wierzchowców, lecz nie włożyli jeszcze hełmów. Jeden z nich, rycerz, którego widziała po raz pierwszy, był wysokim blondynem o bystrym spojrzeniu. I przypominał jej lamparta - dzikiego kota, który jednym skokiem potrafi przynieść śmierć swojej ofierze.

- Jest przystojny, prawda?

Cecily zmarszczyła brwi, zawstydzona tym, że księżniczka Isabella przyłapała ją na wpatrywaniu się we francuskiego zakładnika.

- Mnie jasnowłosi mężczyźni się nie podobają.

- Miałam na myśli tego ciemnowłosego. - Księżniczka roześmiała się.

Cecily tymczasem nawet na niego nie spojrzała. Zresztą nie miało to najmniejszego znaczenia, bo Cecily gardziła i jednym, i drugim. Znała oczywiście rycerskie obyczaje, nie mogła jednak zrozumieć, dlaczego król pozwolił francuskim zakładnikom brać udział w turnieju. Byli przecież kimś niewiele lepszym niż zwykli więźniowie, zatem należało ich właśnie w taki sposób traktować.

- Obaj będą przystojniejsi, kiedy spadną z koni i unurzają się w błocie.

Słyszając te gniewne słowa Cecily, Isabella i pozostałe jej dwórki, wybuchnęły śmiechem, który ucichł dopiero, gdy królowa Filipa spojrzała na nie ze zmarszczonymi brwiami.

Cecily uśmiechnęła się, zadowolona, że udało jej się wybrnąć z krępującej sytuacji za pomocą żartu. Chociaż prawda była taka, że te słowa wyrażały to, co w rzeczywistości myślała. Tak, ona najzupełniej poważnie życzyła tym Francuzom upadku. A nawet więcej - żałowała, że turniej jest jedynie zabawą - z przyjemnością zobaczyłaby, jak z prawdziwych ran płynie prawdziwa francuska krew.

- Ciekawa jestem - odezwała się księżniczka - z którym z nich będzie walczył Gilbert.

Cecily spojrzała w przeciwny koniec pola, gdzie Gilbert, od niedawna sir Gilbert, dosiadł właśnie swojego rumaka. Siedział na nim wysoki i wyprostowany, podczas gdy fioletowa jedwabna wstążka, którą mu ofiarowała, trzepotała na wietrze, zatknięta na jego kopii.

A naprzeciwko Gilberta, na swoim wierzchowcu, w kolczudze i zbroi, czekał już francuski rycerz o jasnych włosach. Cecily nie znała się na wojennym rzemiośle, jednak potrafiła dostrzec, że z całej jego postawy i ze sposobu, w jaki trzyma kopię, bije płynąca z bojowego doświadczenia wiara w swoją niezawodność.

- Jestem pewna - powiedziała, choć wcale tego pewna nie była - że Gilbert potrafi zrzucić z konia każdego.

Isabella zmierzyła młodzieńca sceptycznym spojrzeniem.

- Nie mów głupstw - odrzekła do Cecily. - To jest pierwszy turniej Gilberta. Jeżeli chłopakowi uda się nie wypuścić z rąk kopii, to już będzie sukces. Dlaczego dałaś

mu swoją wstążkę?

Cecily westchnęła.

- Bo wydawał mi się taki osamotniony...

Isabella zmarszczyła brwi.

- Nie myślisz chyba o nim jako o swoim przyszłym mężu?

- Gilbert jako mąż? - Cecily roześmiała się. - Nie. On jest dla mnie jak brat.

Gilbert, który był o kilka lat od niej starszy, zjawił się na zamku jej rodziny jeszcze jako młody giermek i u boku hrabiego uczył się rycerskiego rzemiosła. Teraz był już rycerzem, lecz na jej męża z pewnością się nie nadawał. Król będzie raczej szukał dla niej człowieka dojrzałego, wielkiego możnego pana, kogoś, komu zaufa bez reszty i któremu będzie mógł oddać we władanie potężny zamek Losford strzegący pogranicza kraju. Kim jednak będzie ten człowiek, Cecily nie wiedziała.

- Czy Jego Królewska Mość mówił coś więcej o moim zamążpójściu? - zapytała teraz szeptem księżniczkę.

Zdawała sobie doskonale sprawę, że odziedziczywszy po śmierci ojca ogromną fortunę, stanowi doskonałą partię i że czas już najwyższy, by i ona sama, panna prawie dwudziestoletnia, i zamek Losford wraz ze wszystkimi ziemiami dostały się człowiekowi wybranemu przez króla.

Księżniczka pokręciła przecząco głową.

- Ojciec zajęty jest teraz swoimi królewskimi gośćmi, więc nie ma czasu, by o tym pomyśleć. A poza tym... - Isabella ścisnęła zziębnięte palce Cecily. - Poza tym ja nie chcę, żeby cię tak szybko zabrano ze dworu...

Tak szybko? - zastanowiła się Cecily. Jak to? Przecież od chwili, gdy Francuzi zabili jej ojca, upłynęły już całe trzy lata, a pierwsza msza rocznicowa po śmierci jej matki miała zostać odprawiona już za dwa miesiące. Czas żałoby minął. A tymczasem księżniczka...

- Nie chcesz, pani, tracić towarzyszek zabaw... - powiedziała Cecily z domyślnym uśmiechem.

Wiedziała bowiem, że Isabella - ta wielkiej urody trzydziestojednoletnia, wciąż niezamężna królewska córka - uwielbia wszelkie dworskie zabawy.

- Posłuchaj, Cecily - zwróciła się do niej. - Byłaś w żałobie zbyt długo. Powinnaś nacieszyć się życiem, zanim wyjdiesz za mąż...

Nie dokończyła, bo w tejże chwili zagrały trąbki anonsujące następny pojedynek, mający się odbyć ku uciesze zgromadzonej publiczności. Jednak Cecily, słuchając herolda recytującego zasady kolejnej walki, nie potrafiła się cieszyć. Ze zmarszczonymi brwiami patrzyła na francuskich rycerzy i myślała, że Bóg nie powinien był ich pozostawić przy życiu, skoro jej ojciec z ich właśnie winy zginął.

Czerwono-biało-błękitna chorągiew Coucy'ego trzepotała na wietrze, a sam Coucy z uśmiechem oczekiwał na początek walki. Gdy ruszył w końcu do boju, Marc śledził uważnie każdy jego ruch, tak jakby własnym skupionym wzrokiem mógł zapewnić przyjacielowi zwycięstwo. Wciąż uważał Coucy'ego za nowicjusza, choć ten już dawno uzyskał tytuł hrabiowski, wziął we władanie swoje dobra i zdobył sławę jako dzielny rycerz i dowódca.

W ciągu kilku chwil okazało się, że i w dzisiejszym pojedynku zwycięstwo należeć

będzie do niego. Pokonał rosnącego Anglika szybko, bez trudu i zgodnie z zasadami - wytrącając mu z rąk najpierw kopię, a potem miecz.

Trybuny przyjęły ten pokaz siły i zręczności z entuzjazmem, wiwatując na cześć rycerza, który potrafił z walki ze swym przeciwnikiem uczynić coś, co wyglądało jak pełen elegancji taniec.

Gdy, zszedłszy z pola walki, Coucy zbliżył się do Marca, ten dał wyraz swojemu uznaniu, po czym, rzuciwszy okiem na swojego przeciwnika, drobnego młodzika, który wyglądał tak, jakby zaledwie wczoraj został pasowany na rycerza, powiedział:

- Przecież oni mnie obrażają, każąc mi walczyć z chłopcem - następnie spojrzał na fioletową wstążkę na kopii Anglika i dodał: - Chciałeś, bym starał się wywierać wrażenie na damach. Czy sądzisz, że dama tego młodzika będzie zachwycona, kiedy zobaczy swoją wstążkę stratowaną końskimi kopytami?

- Sprawuj się przyzwoicie, *mon ami* - odrzekł mu na to Coucy.

Marc westchnął. Wiedział, że spodziewano się po nim, że będzie walczył tak jak przed chwilą jego przyjaciel - wystarczająco dobrze, by przynieść honor sobie samemu oraz swej ojczyźnie, ale nie na tyle dobrze, by skrzywdzić przeciwnika. Tak bowiem nakazywał kodeks rycerski.

Przez krótką chwilę żałował tego chłopca. Przyszło mu do głowy, że się nad nim zlituje i po przepisowych trzech starciach pozwoli mu opuścić pole walki z dumą i honorem. W następnej chwili jednak pomyślał, że rycerze częstokroć mówią jedno, a czynią drugie. Składają hołd lenny, a potem uciekają z pola bitwy. Przysięgają, że będą chronić kobiety, a potem je gwałcą.

A czynią tak, gdyż w rzeczywistości nie chodzi im o honor, tylko o jego pozory. Wieloletnie obserwacje doprowadziły go do wniosku, że życie jest jedną wielką przebieranką, podczas której każdy udaje kogoś, kim nie jest.

A on, Marc de Marcel, nie chciał udawać i postanowił, że dzisiaj przeciwko temu zaprotestuje. W jedyny sposób, jaki mu pozostał. Nie zabije tego młodzika, ale go zawstydzi. I będzie miał z tego trochę uciechy.

Gdy tak postanowił, jego rumak poruszył się pod nim, bijąc kopytami o twardą, zmarzniętą ziemię, jakby przeczuwał intencje pana.

W następnej chwili na znak dany przez herolda Marc spiął konia i ruszył do ataku.

Cecily nie oklaskiwała pierwszego Francuza, dopóki Isabella nie dała jej kuksańca w bok.

- Ciemnowłosa Francuz to mistrz sztuki walki. Zgodzisz się chyba ze mną?

- Jak możecie, pani - zapytała Cecily, klaszcząc bez entuzjazmu - wyrażać się dobrze o Francuzie?

- Mówisz tak, jakby on był niewiernym. Zapominasz, że w żyłach mego ojca płynie francuska krew.

Była to prawda - dzięki temu pokrewieństwu król Edward zgłosił nawet pretensje do francuskiego tronu. Lecz ona, Cecily, nie czuła żadnej więzi z Francuzami, a mężczyźni podobni do tych, którzy brali dziś udział w turnieju, a może nawet oni sami, zabili jej ojca. A potem... wkrótce po nim odeszła także jej matka.

Cecily z westchnieniem spojrzała na pole, a gdy herold dał znak, zaniósła do Boga

modlitwę o bezpieczeństwo Gilberta, który w starciu z roslym Francuzem w błękitno-złotej opończy zdawał się mieć nikłe szanse. Teraz, po rozpoczęciu potyczki, siedział na koniu jakoś krzywo, niepewnie, podczas gdy tamten zdawał się niewzruszony niczym mury Windsoru. Cecily wstrzymała oddech, tak jakby to mogło pomóc. Jeźdźcy zbliżali się do siebie bardzo szybko. Co będzie, pomyślała, jeżeli ten Francuz naprawdę...?

Dał się słyszeć szcęk kopii o zbroję i koń Gilberta stanął dęba. W następnej chwili chłopak leżał na wznak, a jego zielono-biała opończa okrywała ziemię niczym wiosenna trawa.

Cecily zerwała się na równe nogi. Czy Gilbert jest ranny? A może... stało się coś gorszego, tragicznego? Nie, Boże, błagam, tylko nie to, modliła się w duchu. Tylko nie kolejna strata...

Francuz powstrzymał swego konia, aby nie stratować chłopca kopytami. Gilbert w następnej chwili usiadł bez niczyjej pomocy i zdjął hełm. Teraz, gdy nic nie chroniło jego głowy i gdy znajdował się w cieniu potężnego rycerza górującego nad nim na swym koniu, wyglądał na chłopca tak młodego, drobnego i niedoświadczonego, jakim był w istocie.

Ale na szczęście nie był ranny.

Isabella uniosła brwi.

- Obawiam się - powiedziała do Cecily - że twoja wstążka nie przyniosła mi szczęścia.

- Szanse nie były równe - odrzekła Cecily. - I dlatego jego przeciwnik powinien był okazać się na tyle rycerski, by go oszczędzić.

- Nie sądzę, by ten Francuz miał zwyczaj bawić się w grzeczności. Podczas gdy jego przyjaciel...

Isabella mówiła dalej, a tymczasem francuski rycerz, wojownik, którego Cecily pragnęła widzieć na ziemi upokorzonego klęską, a najlepiej stratowanego końskimi kopytami, zawrócił swego wierzchowca i opuścił turniejowe pole.

W całkowitej ciszy, której nie przerwały nawet pojedyncze oklaski.

Pałac westminsterski - tego samego dnia wieczorem

Cecily, siedząc przy ustawionym na podwyższeniu stole w Wielkiej Sali westminsterskiego pałacu, błędziła wzrokiem po zgromadzonym tłumie. Migotliwe światło pochodni wydobywało z ciemności twarze, a ona przyglądała im się, jakby wypatrywała swej przyszłości.

Czy na jej męża zostanie wybrany wysoki hrabia, właściciel posiadłości w południowo-zachodniej części kraju, czy może postawny baron z Sussexu, który niedawno pochował żonę?

Z zamyślenia wyrwało ją pytanie Isabelli.

- Cecily? Czy słyszałaś, co mówię?

- Tak, Wasza Wysokość?

Isabella zmarszczyła brwi.

- Posłuchaj mnie uważnie - powiedziała ściszym głosem. - Ojciec dostał dobre wiadomości dotyczące Szkocji. Dopisuje mu doskonały nastrój i nie jest tak trzeźwy

jak zwykle. A zatem bardzo prawdopodobne, że dziś wieczorem zostaniesz obiecana jednemu z lordów.

- Jego Królewska Mość wymienił już kogoś z imienia?

Isabella pokręciła głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Cecyli nie miała pojęcia, za kogo wyjdzie za męża. Wiedziała jednak, że będzie to Anglik, potężny i wierny królowi arystokrata. Człowiek, któremu monarcha będzie mógł ufać tak bardzo, jak ufał jej ojcu, ponieważ zamek Losford, zwany Stróżem Kanału, uważany był za najważniejszy bastion Anglii, ten, który jest w stanie utrzymać wrogów z dala od jej brzegów.

Mógł zatem dostać się jedynie w ręce kogoś, dla kogo obowiązek stał ponad wszystko.

Tak jak dla niej.

Wyrosła, wiedząc, że taki będzie jej los. Była bowiem jedynym dzieckiem hrabiego Losford i jedyną spadkobierczynią jego dóbr ziemskich oraz tytułu. Miała zatem wyjść za męża zgodnie z decyzją rodziców i króla.

- Myślisz o nim?

Pytanie Isabelli znowu przywołało ją do rzeczywistości.

- Codziennie myślę o ojcu.

Choć gdy żył, widywała go bardzo rzadko. Jak wszyscy mężczyźni spędził większą część życia na wojnie, we Francji.

- Miałam na myśli twego męża. Czy zastanawiasz się, kto nim będzie?

- Myślę tylko o tym, że zaakceptuję każdy wybór króla.

Zgodnie ze swoim obowiązkiem, dodała w myślach.

- No cóż, ojciec z pewnością chciałby, żeby twój przyszły mąż wyróżniał się na turniejowym polu. A tymczasem dzisiaj bardziej niż nasi rycerze zdołali mu zaimponować francuscy zakładnicy. O, popatrz. Tam stoi!

- Kto? - Cecyli, zdezorientowana, wyteńczyła wzrok. - Gdzie?

- Ten francuski rycerz. Ten ciemnowłosy. Tam, przy ogniu.

Rzeczywiście, Francuz stał wraz ze swoim jasnowłosym przyjacielem przy jednym z kominków. W swobodnej postawie, wyraźnie odprężony, tak jakby znajdował się u siebie, we własnym domu, a nie w pałacu angielskiego króla.

- Najwyższy czas, żebyśmy się poznali - oznajmiła księżniczka. - Idź. Przyrowadź go do mnie. Pogratuluję mu dzisiejszego zwycięstwa.

Cecyli z lekkim ociąganiem wstała od stołu, zeszła z podwyższenia i ruszyła przez tłum w stronę Francuzów. Idąc, czuła, że jej niechęć do nich z każdym krokiem wzrasta. Mieszkała przecież w Anglii znajdującej się pod rządami angielskiego króla, na angielskim dworze, a wszędzie słyszała francuską muzykę. Gdy tańczyła, jej stopy poruszały się we francuskim tańcu. Nawet pewne słowa, codziennie używane, były francuskie. Nic więc dziwnego, że zakładnicy tak dobrze się tu czuli. Gdyby nie to, że byli zmuszeni mieszkać po tej stronie Kanału, mogliby uważać, że znajdują się we własnej ojczyźnie.

Isabella miała rację. Anglicy i Francuzi mieli wspólną kulturę, do pewnego stopnia wspólny język, a nawet, w niektórych przypadkach, w ich żyłach płynęła wspólna krew. Łączyło ich tak wiele. A mimo to nic nie było w stanie ich powstrzymać od wy-

niszczącej, przynoszącej śmierć i cierpienie wojny.

W chwili gdy Cecily była już bardzo blisko obu francuskich rycerzy, ten ciemnowłosy się oddalił. Widząc to, zawahała się przez chwilę i chciała wycofać. Lecz było już za późno. Jasnowłosy podniósł wzrok i ją zauważył.

Patrzył jej prosto w oczy, a Cecily nie wypadało tak po prostu odwrócić się teraz na pięcie i oddalić.

Przystanąła, czekając, aż rycerz powita ją ukłonem. On tymczasem tylko mierzył ją wzrokiem. Stał nieruchomo i w milczeniu.

- Zwyczaj wymaga - wycedziła z tłumioną złością - by rycerz złożył ukłon damie.

Jasnowłosy Francuz wzruszył na to ramionami.

- Należę do królewskiego dworu - uświadomiła mu.

- Uważasz zatem, że mam się kłaniać nie tylko członkom angielskiej rodziny królewskiej, lecz także jej sługom?

- Nie jestem sługą - odpowiedziała ostro.

Przecież widział, że nosi aksamity, nie mógł więc wziąć jej za służącą. Było całkiem jasne, że chciał po prostu ją rozdrażnić i okazać brach szacunku. I dopiął swego.

- A twoje zachowanie, panie, to kolejny dowód na to, że rycerskość Francuzów jest zdecydowanie przeceniana - dodała lodowatym tonem.

Cios był celny. Wyprostował się, słysząc te słowa.

- Kawaler Marc de Marcel, do twoich usług, pani - przedstawił się z lekkim, jakby drwiącym skinieniem głowy.

- Rycerskość to coś więcej niż dworne maniery. Prawdziwy rycerz pozwoliłby nie-doświadczonemu przeciwnikowi zejść z pola z honorem.

Spojrzał na jej fioletową suknię. I zrozumiał.

- Fioletowa wstążka przywiązana do kopii tego młodzika była od ciebie, pani.

Tonem głosu sugerował, że Gilbert jest jej kochankiem. Uświadomiwszy to sobie, pragnęła Cecily ostrą reprimendą wyprowadzić go z błędu, ale opanowała się i tego nie uczyniła.

- Potwierdziłabym to, nawet gdyby tak nie było - powiedziała zamiast tego.

Jego uporczywe spojrzenie zapierało jej dech w piersi. Gniew w jego oczach dorównywał jej gniewowi, a może... A może to nie był gniew, zastanowiła się.

Jakby w odpowiedzi na jej wątpliwości, na twarzy de Marcela powoli pojawił się uśmiech. Całkiem pozbawiony radości.

- Prawdą jest - odezwał się - że pokonałem i upokorzyłem twojego młodego rodaka. Lecz czy ty, pani, patrzyłabyś teraz na mnie z takim samym gniewem, gdyby to on zrzucił z konia mnie?

Miał całkowitą rację i Cecily zarumieniła się ze wstydu. Bo przecież okazała się tak samo niegrzeczna jak on, tymczasem hrabina powinna być opanowana i uprzejma w każdej sytuacji.

- Jesteś tutaj od niedawna, panie? - zapytała, starając się o grzeczny ton i udawaną ciekawość.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Od kilku tygodni, które wydają mi się latami. Hrabia d'Oise bardzo tęsknił za domem. A wasz król, zanim pozwolił mu wyjechać, zażądał zastępcy. *C'est moi*. Za-

spokoilem twoją ciekawość, pani. Możesz więc odejść.

- Królewska córka chce was poznać.

Było to oczywiście kłamstwo. Ale takie, które usprawiedliwiało fakt, że do niego podeszła.

- Królewska córka żywo interesuje się jeńcami swego ojca.

Tylko przystojnymi, pomyślała Cecily, jednak ugryzła się w język, po czym odwróciła się, modląc się, by on poszedł za nią.

Uczynił to.

- Kawaler Marc de Marcel, Wasza Wysokość - przedstawiła go, gdy podeszli do księżniczki. - Przybył tutaj niedawno.

- Czy zakładnik może być przedstawiony tym, którzy go pojмали, Wasza Wysokość? - zapytał Marc z ukłonem tylko odrobinę niższym niż ten, który złożył Cecily.

- Tak - potwierdziła Isabella. - A co więcej, nie tylko może, ale i powinien. Tymczasem wasz przyjaciel... - wskazała ruchem głowy ciemnowłosego rycerza, który pojawił się w zasięgu wzroku - ...jeszcze nie został mi przedstawiony. A, jak mi się zdaje, przebywa on w Anglii znacznie dłużej niż ty, panie.

Ciemnowłosy rycerz - jakby odgadując pragnienie księżniczki - zbliżył się zaraz do nich i się przedstawił.

- Enguerrand, lord Coucy - oznajmił bez żadnych dalszych wyjaśnień.

Tak jakby jego imię i tytuł w zupełności wystarczały. Ale w rzeczywistości tak było. Ród Coucy był bowiem rodem słynnym i dobrze znanym także po tej stronie Kanału. Dawniej miał nawet ziemskie posiadłości na wyspach.

Isabella w milczeniu skłoniła głowę. Nie było potrzeby, by mówiła, kim jest. Każdy wiedział, że jest najstarszą, najbardziej ukochaną córką króla.

Tymczasem minstrele, dmąc w rogi, dali znak, że zaczyna się kolejny taniec. Isabella wstała i wyciągnęła rękę do Coucy'ego, zachęcając go w ten sposób, by ją poprowadził na środek sali. Uczynił to z widoczną ochotą.

Cecily rozejrzała się wokół w nadziei, że ktoś ją wybawi z niezręcznej sytuacji, w której się znalazła. Bo powinna była przecież zatańczyć z partnerem, który mógłby zostać jej mężem, a nie z zakładnikiem.

A zakładnik na dodatek nie wyciągał ręki.

No cóż, pomyślała, znalazłam się w pułapce. Ale skoro tak, spróbuję okazać wspaniałomyślność.

- Pochodzisz z Doliny Oise, panie? - zagadnęła.

Zareagował na to zmarszczeniem brwi, tak jakby wspomnienie stron ojczystych go rozgniewało.

- Tak - odrzekł krótko.

- A czy tam ludzie tańczą?

- Czasami. Kiedy ci przekłenci dadzą nam odetchnąć od walki.

- Kiedy kto da wam odetchnąć? - zapytała, marszcząc brwi.

- Ci przekłenci... - wyjaśnił z uśmiechem. - Tak nazywamy Anglików.

Wyciągnęła rękę, gestem godnym księżniczki.

- Jeżeli potrafisz tańczyć, panie, udowodnij.

- Czy to część kary nałożonej na zakładnika?

- Nie - odrzekła ostro. - To jeden z przywilejów.

- A zatem, pani, wyjaw mi swoje imię. Żeby wiedział, z kim tańczę.

Zawstydził ją tym upomnieniem. Uświadomiła sobie, że gniew ją zaślepił do tego stopnia, że zachowała się jak zwykła służąca.

- Lady Cecyli, hrabina Losford.

Poczuła satysfakcję, widząc jego zaskoczenie. Popatrzył na jej nieokrytą głowę, a potem rozejrzał się tak, jakby się spodziewał zobaczyć w pobliżu jej męża, hrabiego.

- Nie szukaj mojego męża, panie. Nie mam go jeszcze. I... to ja noszę tytuł.

Tak, nosiła tytuł z dumą, ale równocześnie ten fakt napełniał ją smutkiem, bowiem oznaczało to, że cała jej rodzina nie żyje.

Nie odrzekł na to nic, a jedynie skinął tylko głową. Następnie wyciągnął rękę bez wahania, tak jakby od samego początku zamierzał to zrobić. Ujął jej dłoń w swoją - twardą, męską, noszącą ślady walk w postaci odcisków i blizn.

Dołączyli do korowodu tancerzy. Cecyli zauważyła, że w drugim końcu sali Coucy i Isabella, uśmiechnięci, szepczą coś do siebie, zachowując się tak, jakby ten wieczór został urządzony wyłącznie dla ich uciechy. Coucy nie okazywał najmniejszego gniewu z powodu swej niewoli, podczas gdy jej partner, de Marcel, tańczył z gniewnym obliczem i uparcie milczał.

Ciekawe, pomyślała sobie, czy ten człowiek potrafi się z czegokolwiek cieszyć. Bo na pewno nie cieszył się z jej towarzystwa - wiedziała to ponad wszelką wątpliwość. Gdy taniec się skończył, puścił szybko jej dłoń i, wciąż milcząc, rozejrzał się po sali, tak jakby szukał drogi ucieczki. Stwierdziła, że musi być bardzo nieszczęśliwy.

Jednakże mógł, jeżeli tylko by zechciał, pić dobre wino z królewskiej piwnicy, napełniać brzuch mięsami z królewskiego stołu i słuchać słodkich tonów muzyki granej przez królewskich minstrelów. Tak, mógł czynić to wszystko, bowiem żył, podczas gdy jej ojciec leżał martwy w grobie.

- Czym sobie, panie, zasłużyłeś - zagadnęła - by dostąpić zaszczytu zastępowania innego zakładnika?

- Zaszczytu? - powtórzył oburzony.

- No tak, jest to zaszczyt. Zostaliście przecież pokonani na polu walki. Zabiliście mojego... to znaczy... wielu moich rodaków. A mimo to król przyjmuje was na dworze, niczym gości, a nie więźniów. Trudno uznać to za niedolę, która najczęściej staje się udziałem pokonanych. Zgodzicie się ze mną?

- Więzienie ozdobione arrasami nie przestaje być więzieniem.

- Ale jesteście bezpieczni. Możecie robić, co chcecie.

- A gdybym chciał wrócić do domu?

No tak, tego jednego zrobić nie mógł.

- Zgodzisz się, panie, ze mną, że jako pokonanym jednak jakaś kara musi zostać wymierzona. Anglicy są zwycięzcami!

Usłyszawszy te słowa, zmienił się na twarzy.

- Nie! - zaprzeczył gwałtownie. - Nie pokonaliście nas. I nigdy nie pokonacie. Zostaliśmy zdradzeni przez ludzi tchórzliwych. Tak, przez tchórzów, do których liczby lord Coucy i ja się nie zaliczamy. Bo my dwaj gotowi byliśmy walczyć do samego końca, aż do chwili, gdy zabijemy ostatniego Anglika!

- A więc nienawidzicie Anglików - powiedziała prosto z mostu, stwierdziwszy, że i on mówi, nie owijając w bawełnę.

- Tak samo jak wy Francuzów - zabrzmiała jego odpowiedź.

- Wątpię, czy jesteś w stanie zrozumieć, panie, uczucia, jakie żywię do twoich rodaków - odrzekła z udawanym spokojem. - I powiem wam, że skoro nas nienawidzicie i gardzicie gościnnością naszego króla, to mam nadzieję, że zabawicie tutaj jak najkrócej.

Skłonił się na to drwiąco.

- Muszę wyznać, pani, że i ja mam taką nadzieję.

ROZDZIAŁ DRUGI

Marc odprowadził hrabinę wzrokiem, nie mogąc wprost oderwać oczu od jej kołyszących się lekko bioder.

Coucy, który tymczasem rozstał się z córką królewską i dołączył do niego, podążył wzrokiem za jego spojrzaniem.

- Jest piękna, prawda? *La belle dame de Losford!* Ta jej dumnie podniesiona głowa, delikatna długa szyja i ten obłok ciemnych włosów...

Marc nagle wyobraził sobie, że trzyma tę piękną kobietę w ramionach i ją całuje w tak namiętny sposób, że z jej twarzy znika gniewny wyraz, który pojawił się na niej, gdy tylko na niego spojrzała, jeszcze zanim się poznali.

Zaraz jednak oderwał oczy od jej oddalającej się sylwetki i wzruszył ramionami.

- Nie interesują mnie Anglicy. Ani Angielki - powiedział gniewnym tonem.

I skłamał. Bo ta angielska hrabina, pełna chłodu i ognia zarazem budziła jego zainteresowanie - gorące i... całkiem niewłaściwe.

- A ty - dodał zaraz, zwracając się do przyjaciela - jak możesz być wobec nich taki uprzejmy? Przecież oni trzymają cię w niewoli.

Coucy znajdował się w Anglii od trzech lat, więc być może się już przyzwyczyił.

- Uważam - odrzekł - że w życiu dobrze jest być w dobrych stosunkach ze wszystkimi, oczywiście w granicach rozsądku i dobrego smaku.

- Z mężczyznami i z kobietami?

- *Bien sûr. Avec les femmes* przede wszystkim! - roześmiał się Coucy. - I powiem ci jeszcze - dodał, ścisząc głos - że czasami warto działać subtelnie, niemal skrycie, zamiast frontalnie atakować. Przynosi to lepszy skutek...

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ano to - uśmiechnął się Coucy - że gdy... zaprzyjaźnię się z księżniczką Isabellą, ona być może przekona swego ojca, by zwrócił mi moje dobra, *n'est-ce pas?*

Marc nieraz słyszał od Enguerranda o jego angielskich posiadłościach, znajdujących się gdzieś na północy w okolicach noszących dziwne nazwy takie jak Cumberland czy Westmorland, w pobliżu Szkocji, o ziemiach, na które jego prababka udała się jako panna młoda. Wiedział też, że dobra te przed laty zostały skonfiskowane przez Anglików.

- Dlaczego król Edward miałby oddać posiadłości jakiemuś zakładnikowi? - wyraził swoją wątpliwość.

- A dlaczego ja nie miałbym spróbować ich odzyskać? - odrzekł mu na to Coucy, wzruszając ramionami. - I dlaczego zanim się to stanie, nie miałbym dobrze się bawić? Słyszałem, że księżniczka organizuje dla ludzi ze swego kręgu bardzo ciekawe i wesołe zabawy. Uczestniczenie w nich jest chyba lepsze niż gnucie w pełnej przeciągów lodowatej wieży?

Cały Coucy, pomyślał Marc. Choć jest zakładnikiem, uważa się raczej za królewskiego gościa niż więźnia.

- Co do mnie - powiedział Marc - to nie chcę już więcej czasu spędzać na dworze.

- Nie chcesz spędzać tu więcej czasu? Nawet z piękną hrabiną?

- Zwłaszcza z nią - odrzekł ostro, łapiąc się jednak na tym, że wciąż szuka owej pięknej hrabiny wzrokiem. Zaczynał powoli sobie uświadamiać, że na jej widok ogarniał go równocześnie gniew i pożądanie.

Ostentacyjnie odwrócił się plecami do sali.

- Podczas „tej” kampanii - oznajmił - nie będzie ci potrzebny.

- Dziś wieczorem nie, *mon ami*. Ale wkrótce to się może zmienić. A wtedy...?

Coucy spojrział na Marca pytająco.

Obowiązek, honor, pomyślał Marc, w świetle tego, jak naprawdę postępują w życiu rycerze, to są tylko puste słowa. Co innego lojalność i wierność przyjacielowi - bez tych wartości człowiek byłby nikim.

- Wtedy... - odrzekł przyjacielowi - wtedy wystarczy, że powiesz choćby słowo.

- No a teraz...

Enguerrand położył dłoń na ramieniu Marca i lekkim pchnięciem sprawił, że ten stanął znowu twarzą do sali.

- Śpiewaj. Tańcz. Raduj się. Zawieraj przyjaźnie!

- Wszystko to, *mon ami*, zostawiam tobie.

Enguerrand machnął na to tylko ręką, roześmiał się głośno, a potem oddalił. Przechodził przez wielką zamkową salę, uśmiechając się do biesiadników i tancerzy i kiwając im głową - z gracją i łaskawością, jakby znajdował się u siebie w Château Coucy.

Marc zaczął się zastanawiać, dlaczego niby miałby się zachowywać inaczej. Choć jest tutaj zakładnikiem, żyje w przeświadczeniu, że pewnego dnia zostanie za niego zapłacony okup, a to umożliwi mu powrót do własnego zamku, gdzie będzie mógł do woli śpiewać, tańczyć i weselić się.

Tak, lord Coucy miał co do tego pewność. W przeciwieństwie do Marca, który nie był pewien, czy kiedyś wydostanie się z niewoli. Hrabia d'Oise obiecał mu co prawda, że pewnego dnia wróci do Anglii, przyśle okup lub też kogoś w swoim zastępstwie. Złożył tę obietnicę, nie patrząc mu jednak w oczy, więc Marc nie bardzo w nią wierzył.

Dlaczego więc mimo to przyjechał do Anglii? Dlaczego oddał się w ręce wroga? Powodem było posłuszeństwo suwerenowi, a także fakt, że chciał zobaczyć przyjaciela, którego Anglicy trzymali od trzech lat w niewoli. Przynajmniej wtedy tak myślał. Teraz nazwałby własne przywiązanie do honoru pospolitą głupotą.

Tak czy inaczej, Marc czuł się rozgoryczony, a jedyną osobą na tej sali, której gorycz zdawała się dorównywać jego goryczy, była hrabina Losford.

Kilka dni później, gdy turniej i towarzyszące mu uroczystości się zakończyły, zakładnicy zostali odesłani do swoich kwater, a dwór zaczął się przygotowywać do przeprowadzki do Windsoru na czas świąt Bożego Narodzenia.

Cecily usilnie starała się nie dopuszczać do świadomości wspomnień o pozbawionym dwornych manier Francuzie. Jeżeli pomyślała o nim, to tylko dlatego że Gilbert przy każdym ich spotkaniu analizował szczegółowo swój pojedynek i opowiadał, co zrobiłby inaczej, gdyby przyszło mu ponownie stanąć z tym człowiekiem w szranki.

Poza tym karciała samą siebie za to, że w starciu z Markiem de Marcelem dała się wyprowadzić z równowagi i wpadła w gniew. Jej matka zwykła powtarzać, że ten, kto okazuje silne emocje, traci godność, którą bardzo trudno jest potem odzyskać. Na szczęście, było dla niej oczywiste, że nie spotka się z tym Francuzem ponownie. Na wszelki wypadek jednak przysięgła sobie, że przy kolejnej konfrontacji z którymkolwiek z zakładników zachowa całkowity spokój i chłodną wyniosłość.

Tydzień później, gdy patrzyła, jak krawiec odpakuje uszytą specjalnie na święta suknię księżniczki Isabelli, Cecily miała już inne zmartwienia.

Jak daleko sięgała pamięcią, jej rodzina zawsze spędzała Boże Narodzenie na królewskim dworze, a wszystkie przygotowania do udziału w dworskich uroczystościach i zabawach pozostawały na głowie jej matki.

Teraz była sama, a to oznaczało, że w ciągu najbliższych trzech tygodni musi sobie radzić samodzielnie i udowodnić wszystkim, że jest nie tylko bogatą dziedziczką na wydaniu, ale także młodą kobietą, która będzie dobrą, zaradną żoną.

Problem polegał jednak na tym, że nie miała pojęcia, jak się do tego zabrać.

- Czyż nie jest piękna?

Isabella z pewnym wysiłkiem podniosła w górę swoją suknię - ciężką od gronostajów, z bardzo długim trenem.

- Jest godna królowej - odrzekła Cecily.

- Niezupełnie - odparła księżniczka, oddając suknię krawcowi, który starannie rozpostarł ją na jej łożu. - Moja matka ma gronostaje także przy rękawach. A poza tym za tę suknię zapłacił mój ojciec, a nie królowa.

Cecily przygryzła wargę i nagle zalała ją fala smutku. Słowa księżniczki przypomniały jej bowiem, że nie ma już ojca, który by ją kochał i obsypywał prezentami, ani matki, która doradziłaby, w czym jej najbardziej do twarzy. Mimo to gdy otwierały się jakieś drzwi, czasami miała wrażenie, że zaraz pojawi się w nich jedno z rodziców...

- Cecily, słuchaj, co mówię!

Głos Isabelli ponownie przywołał ją do rzeczywistości.

- Tak, Wasza Wysokość?

- W co się ubierzesz?

- Ja... ja jeszcze nie wiem. Nie mam niczego nowego.

Pograżona w żalobie, nie zamówiła nowych strojów.

- Może... może nikt nie zauważy...

- Nie mów głupstw! Musisz wyglądać jak młoda dama gotowa do ślubu. A nie jak żalobnica.

- Może... może dopasuję którąś z sukien matki... Choćby tę zieloną... Matka lubiła mnie w zieleni.

- Zieleń jest niemodna - pokręciła głową Isabella, westchnęła i skinęła na krawca.

- Wiedziałam, że tak będzie. I dlatego kazałam coś dla ciebie uszyć.

Cecily szeroko otwartymi oczami obserwowała krawca rozkładającego bramowaną futrem kamizelę, która włożona na suknię miała sprawić, że ta będzie wyglądała jak nowa.

- Ach, Wasza Wysokość, nie wiem, co powiedzieć, jak podziękować!

- Po prostu ją przymierz, głuptasie - odparła Isabella ze śmiechem.

Zaraz okazało się, że układa się na niej luźno, a dzięki rozcięciom po bokach odśladania znajdującą się pod spodem, dopasowaną w talii suknię.

- Wasza Wysokość, jak mam wam dziękować?

Isabella gestem dłoni odprawiła krawca i pokojówkę, tak żeby nie usłyszeli, co mówi.

- To jest twoje ostatnie Boże Narodzenie przed zamążpójściem! Możesz mi podziękować, po prostu dobrze się bawiąc!

No tak, pomyślała, ostatnie Boże Narodzenie przed zamążpójściem i... pierwsze bez matki.

Ojciec Cecily nie żył od trzech lat, a matka od niecałego roku. Rana była wciąż świeża i bolała. Tymczasem musiała teraz przekonać cały dwór, że jest gotowa parzeć w przyszłość i podejmować nowe obowiązki. W te święta nie mogła płakać, to czas radości, w którym nie ma miejsca na łzy.

Podniosła głowę i obróciła się.

- Zatem chcesz, pani, żebym śpiewała, tańczyła i uśmiechała się do wszystkich mężczyzn? Bez przerwy, od tej chwili aż do Trzech Króli?

Te wesołe słowa i wymuszony uśmiech były jak źle dopasowana maska, jednak Isabella tego nie zauważyła. Roześmiała się głośno, klaszcząc w dłonie z aprobatą.

- Otóż to! Baw się. I uśmiechaj się do nich. A wtedy każdy zapragnie, by król go wybrał na pana zamku Losford i strażnika naszego wybrzeża. Tak, Cecily, zapragną tego wszyscy, nawet zakładnicy!

Cecily aż się potknęła na wspomnienie oczu de Marcela, tak pełnych gniewu i pożądania jak jej własne.

- Nawet zakładnicy? Jak to? - zapytała.

- No tak. Król zaprosił kilku z nich do Windsoru. - Uśmiech Isabelli stał się nagle lekko nieśmiały, a wyraz oczu rozmarzony. - Wśród nich również lorda Coucy.

Cecily zagryzła wargę i zmarszczyła brwi. Przecież nie może śmiać się i weselić, skoro tuż obok będą tańczyli i śpiewali mordercy jej ojca?!

Isabella, która nie zauważyła zmiany w jej wyrazie twarzy, mówiła dalej:

- Lord Coucy jest doskonałym tancerzem. I bardzo przystojnym mężczyzną. Nie sądzisz?

- Ja... nic o nim nie sędzę, bo staram się jak najmniej myśleć o Francuzach - wypowiedziała te słowa ze stanowczością, a tymczasem, niemal w tej samej chwili, przyszedł jej na myśl jeden z nich. Odwróciła głowę, żeby Isabella nie zauważyła jej rumieńca. - Czy inni więźniowie też zostali zaproszeni?

- Inni Francuzi, chcesz powiedzieć?

- A mamy innych zakładników?

- Interesuje cię w szczególności któryś z nich? Może jasnowłosego przyjaciela Coucy'ego? Jak on się nazywa?

- Marc de Marcel. I... nie, on mnie nie interesuje - odrzekła Cecily skonsternowana i zapytała samą siebie, czy przyjaciółka potrafi czytać w jej myślach.

- A tak, de Marcel! Dostarczy ci wspaniałej rozrywki...

- Ależ nie!

- Właśnie że tak! Każda z nas będzie miała swojego kawalera! Cudownie!

- Ci kawalerowie są całkiem nieodpowiedni!

- I o to właśnie chodzi! Są nieodpowiedni i właśnie dlatego nadają się na naszych towarzyszy świątecznych zabaw. Obie zabawimy się z nimi doskonale. A przy tym ty, umilając sobie czas z Francuzem, wzbudzisz zazdrość swoich zalotników. No a potem... potem odrzucimy ich. O tak! - Isabella ze śmiechem chwyciła jakąś wstążkę, zawiązała ją na kokardę i podrzuciła w górę, po czym, gdy wstążka spadła na ziemię, kopnęła ją nogą. - Właśnie w ten sposób! Ale przedtem, przez kilka tygodni, uwaga lorda Coucy będzie skupiona tylko na mnie. A de Marcela - tylko na tobie.

Cecily na wspomnienie de Marcela zadrżała. Przecież nawet z oddalenia, w pełnej ludzi zatłoczonej sali oczy tego człowieka wprost ją pożerały. A co się stanie, jeżeli oni oboje przez tyle czasu, dzień po dniu, będą blisko siebie?

- Ależ... Wasza Wysokość... Lord Coucy zdaje się co prawda być człowiekiem przestrzegającym rycerskiego etosu... Jednak... co będzie, jeżeli wasze zaufanie zostanie... co będzie, jeżeli...

Nie wiedziała, jakich słów użyć, aby nie obrazić królewskiej córki, która odczytawszy sugestię Cecily, weszła od razu w rolę nieodrodnej córki swego ojca. Stała się wyniosła i chłodna.

- Źle mnie zrozumiałaś, moja droga. Ja nie dopuszczę, by stało się cokolwiek nie stosownego.

Cecily pospiesznie kiwnęła głową.

- Oczywiście, Wasza Wysokość.

Na żadną z nich nie mógł paść nawet cień podejrzenia. Decydując się na pozostanie niezamężną, Isabella wybrała życie w czystości. Miała pozostawać nietknięta, nieskalana, niczym mniszka. A co do Cecily, to ta do swego małżeństwa miała wnieść nie tylko swój tytuł. Przyszły mąż spodziewał się także daru w postaci jej dziewczectwa.

- Będziemy obie bezpieczne, Cecily - zapewniła Isabella już łagodniejszym tonem. - A tobie przyda się odrobina niewinnych dworskich przyjemności. Dla poprawienia nastroju. Dopilnuję więc, żeby Marc de Marcel został także zaproszony do Windsoru.

- Zaproś go, Wasza Wysokość, jeżeli musisz. Ale nie spodziewaj się, proszę, że ja będę z nim marnowała swój czas.

Co to, to nie, z całą pewnością, dodała w myśli. Marc de Marcel jest ostatnim człowiekiem, którego chce widzieć u swego boku w te święta.

Wyrwany nagle ze snu Marc zamrugał gwałtownie, po czym spojrzał w okno Tower, uświadamiając sobie, że jest lodowaty londyński poranek. Wzdrygnął się. Ich dozorczy najwyraźniej nie chcieli marnować pieniędzy na ogrzewanie kwater francuskich zakładników.

- Wstawaj, *mon ami*! Słyszałeś, co powiedziałem?

Marc przetarł oczy i popatrzył na swego przyjaciela półprzytomnie. Dla niego było stanowczo zbyt wcześnie na prowadzenie jakiegokolwiek rozmowy.

- Co mówiłeś?

- Mówiłem, że zostaliśmy zaproszeni na dwór jako goście króla. Będziemy świętowali Noël na zamku w Windsorze!

Słowa Coucy'ego wydały się Marcowi wprost niedorzeczne.

- Czyś ty zwariował? - zapytał.

- Byłbym naprawdę *fou*, gdybym odrzucił zaproszenie księżniczki.

Aha, księżniczki Isabelli, dzięki której Enguerrand chciał odzyskać swoje posiadłości. Marc tymczasem na wzmiankę o królewskiej córce zobaczył oczyma wyobraźni nie ją, ale hrabinę. Chociaż był zaspany widział wyraźnie jej ciemne włosy, piękne oczy i rysy twarzy zdradzające zdecydowanie.

W następnej chwili doszedł do wniosku, że jego stary druh naprawdę jest *fou*. Jednak uznał, że to nie jego sprawa.

- Przyjmij je więc, a mnie daj święty spokój - powiedział obojętnie.

- Ale ona prosiła, żebym przyprowadził także i ciebie.

Dziwne. Lady Cecily z pewnością nie miała ochoty go zobaczyć. Więc dlaczego?

- *Pourquoi?*

Coucy wzruszył ramionami.

- Pewnie dlatego że nie chce, żebym czuł się *isolé*.

Marc roześmiał się na to. Jego towarzyski przyjaciel osamotniony? Cóż za absurd.

- Nie jestem ci przecież potrzebny do załatwienia twojej sprawy z księżniczką Isabellą.

- Ale to nie grzech zabawić się trochę w niewoli. I mieć z tego nieco radości.

Być może Coucy miał rację i nie było w tym nic grzesznego. Marc jednak uważał, że jedyną jego radość tutaj, w angielskiej niewoli, stanowić może fakt, że dołączył do swego starego przyjaciela. Inni mężczyźni mieli żony i rodziny, a on nie miał na świecie nikogo prócz Enguerranda.

- Gdybym cię nie znał tak dobrze - zwrócił się ze zmrużonymi oczami - pomyślałbym, że zależy ci wyłącznie na przyjemnościach.

Życiem jego przyjaciela rządziły przeciwieństwa. Coucy albo tańczył, albo walczył. I cokolwiek robił, angażował się w to całym sobą, duszą i ciałem. Teraz w jego życiu czas walki się skończył. Przynajmniej na razie.

- A ty zupełnie niezrozumiale dla mnie gardzisz przyjemnościami.

Rzeczywiście, Marc nie nawykł do wygod i przyjemności. A te ostatnie zwłaszcza w obliczu klęski wydawały mu się całkiem nie na miejscu.

- Ja nie świętuję zwycięstwa moich wrogów - oznajmił.

- Ale tu nie chodzi o świętowanie ich zwycięstwa. Chodzi o świętowanie Bożego Narodzenia. Napelnisz brzuch angielską baraniną i napijesz się gaskońskiego wina. Będiesz przez kilka tygodni bawił się na ich koszt... Co w tym złego?!

- Dla ciebie, mój przyjacielu, brzmi to może kusząco. Ale mnie angielska strawa nie przechodzi przez gardło.

- Wolisz więc przez cały okres świąt siedzieć samotnie w tej zimnej wieży i żuć twarde mięso?

- Tak, to właśnie wolę.

Enguerrand westchnął wyraźnie zniecierpliwiony.

- Księżniczka będzie *désolée*.

- No to tym lepiej. Dzięki temu będziesz mógł ją pocieszyć. - Marc odwrócił się do ściany i naciągnął na siebie derkę. - *Joyeux Noël, mon ami.*

Słyszając cichy śmiech za drzwiami komnaty Isabelli, Cecily powinna była się powstrzymać i zaczekać kilka chwil z wejściem do środka. Ta myśl przyszła jednak za późno. Zapukała i otworzyła szybko drzwi, tak jak czyniła to wiele razy przedtem, gdy miała jej do przekazania bardzo ważną wiadomość. W środku zobaczyła, że Isabella stoi blisko lorda Coucy. Zdecydowanie za blisko.

Przez krótką chwilę patrzyli na nią oboje w milczeniu, całkowicie zaskoczeni, a na ich twarzach malowało się poczucie winy.

Cecily oderwała od nich wzrok i rozejrzała się po komnacie. Byli sami. Stali wpatrzeni sobie w oczy i uśmiechali się, zanim ją dostrzegli.

Chciała coś powiedzieć, lecz zabrakło jej słów.

- Ach, oto i piękna hrabina - odezwał się gładko Coucy i, składając zgrabny ukłon, w jednej chwili znalazł się w bezpiecznej odległości od księżniczki. - To mi przypomina, że zabawiłem tu z wizytą powitalną zbyt długo. Moi strażnicy będą się zastanawiali, gdzie jestem.

Ukłonił się jeszcze raz ze czcią należną księżniczce, a następnie, nieco mniej głęboko, zgiął także kolano przed Cecily. Po czym uśmiechnął się i wyszedł. Tak jakby młody francuski zakładnik, więzień, miał prawo stać blisko królewskiej córki i bawić ją prowadzoną szeptem rozmową.

Cecily popatrzyła na Isabellę z wyrzutem. Wiedziała bowiem, tak samo dobrze jak ona, że tańczyć i śmiać się, będąc wśród ludzi - było rzeczą dozwoloną i aprobowaną.

Jednak znajdując się sam na sam z mężczyzną, kobieta kusiła los, narażała na niechciane zaloty. Tak przynajmniej uczyła Cecily jej zmarła matka.

Po wycofaniu się Coucy'ego w komnacie zapanowała cisza. Isabella nie skarciła Cecily ani jej nie zapytała, po co przyszła, tylko z królewską dumą osoby, której zachowania nigdy się nie kwestionuje, zaczęła przechadzać się po komnacie.

- Obawiam się - odezwała się po chwili - że będziesz musiała bawić się w święta bez swojego gniewnego Francuza.

- Słucham, Wasza Wysokość?

- Lord Coucy przyszedł tu, by mi powiedzieć, że jego przyjaciel nie przybędzie do Windsoru.

- Czy jest chory?

Ta myśl nie była Cecily niemiła.

- Nie. - Księżniczka wzruszyła ramionami. - Po prostu odrzuca zaproszenie.

Cecily poczuła się obrażona. Nie chodziło przy tym o nią samą, tym bardziej że przecież nie chciała, by de Marcel został zaproszony. Nie. Chodziło o to, że nie odmawiało się królowi.

- Odrzucił królewskie zaproszenie? Jak śmiał?

- To nie ma znaczenia - powiedziała Isabella całkiem obojętnie, jako że zależało jej tylko na tym, by widywać Coucy'ego. - Znajdziesz sobie na święta jakiegoś znacznie miłszego towarzysza zabaw.

- Tak, pani - potwierdziła Cecily i odetchnęła z ulgą.

Wiedziała bowiem, że jako panna na wydaniu musi być ostrożna. Jej przyszli zalotnicy będą ją przecież obserwować. I żadnego z pewnością nie zachwyciłby fakt, że ona rozbawiona stoi na przykład zbyt blisko kawalera, który jest francuskim za-

kładnikiem. Jednak równocześnie odmowa Marcela zepsuła jej humor, sprawiając, że stał się kwaśny niczym wino, do którego zbyt długo miało dostęp powietrze.

Przypomniała sobie, co ją tu sprowadza.

- Przynoszę nowinę, Wasza Wysokość - oznajmiła. - Król Francji wraca do Anglii.

Isabella otworzyła szeroko oczy i odrzekła z uśmiechem:

- A więc wieść, którą przesłał mu mój ojciec, musiała zrobić na nim wrażenie. Dał jasno do zrozumienia, że w jego opinii król przede wszystkim powinien dawać przykład cnoty honoru.

- Nawet jeżeli nie mają go ich synowie? - zapytała Cecily, przypominając sobie, że kiedy królowi francuskiemu Janowi pozwolono wrócić do Francji, na jego miejsce przybyła pewna liczba wysoko urodzonych zakładników, wśród których znajdowali się jego dwaj synowie. A po niecałym roku jeden z tych synów uciekł z niewoli i wrócił do ojczyzny.

Postąpił jak typowy Francuz, oceniliby to z pewnością ojciec Cecily, a ona sama była pewna, że de Marcel nie jest ani odrobinę lepszy.

- Czy wiesz, kiedy król Francji tu przybędzie? - wyrwała ją z zadumy Isabelle. - Czy zdąży na świąteczne zabawy?

- Nie wiem, pani. Ale dlaczego o to pytasz?

- Jeżeli tak, będziemy mu musieli zgotować przyjęcie godne monarchy. Lord Co-ucy będzie zachwycony. Ach, co to będą za wspaniałe święta!

Cecily słuchała dalszych zachwyków księżniczki ze zmarszczonymi brwiami. Z całą pewnością, przekonywała siebie w myśli, nie ma powodu, by martwić się o Jej Wysokość i tego nieznośnego zakładnika.

Jednak mimo to opuszczała jej komnatę z ciężkim sercem.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Marc! *Écoute!* Mam wiadomości!

Marc, który właśnie dokładał do ognia, miał ochotę cisnąć w głowę Enguerranda polanem, bowiem jego przyjaciel od tygodnia nie mówił o niczym innym jak tylko o swych podchodach i planach odzyskania dóbr na północy Anglii.

- Oszczędź mi ich, mój przyjacielu. Bo wysłuchałem o wiele więcej, niż chciałbym usłyszeć.

- Nie. Tego jeszcze nie słyszałeś.

Ton głosu Enguerranda i wyraz jego twarzy mówiły, że chodzi o coś zupełnie innego.

- Co się stało? Mów zatem.

- Król Jan, Jego Królewska Mość, wraca *encore* do Anglii.

Marc pokręcił głową, pewien, że się przesłyszał.

- Co takiego? Powtórz? - zapytał, a jego druh przysiadł zgarbiony obok niego na ławie i zapatrzył się w ogień.

- Nasz król - powiedział. - Przepłynie Kanał i odda się ponownie w ręce króla Edwarda, by tutaj czekać na chwilę, gdy wplącona zostanie całość okupu.

- Dlaczego?

- Bo chce uratować honor splamiony przez syna.

Marc pokręcił znowu głową. Honor i traktaty wynegocjowane pod Poitiers nakażywały, by król pozostawał zakładnikiem aż do chwili, gdy zapłacony zostanie okup w wysokości trzech milionów koron. Suma ta, jak mówiono, ponad dwukrotnie przewyższała roczny dochód narodowy Francji.

Zanim Marc przybył do Anglii, prowadzono liczne negocjacje. W końcu w ich wyniku pozwolono królowi wrócić do ojczyzny, gdzie miał dołożyć starań, by zgromadzona została pełna suma okupu. Tymczasem jego miejsce w angielskiej niewoli zajęli czterej książęta francuscy, wśród których znajdowali się dwaj królewscy synowie.

Zdaniem Marca książę d'Anjou, uciekając z niewoli do domu, do żony, sprzeniewierzył się etosowi rycerskiemu i to należało naprawić. Ale nie w ten sposób. Nie za sprawą oddania się króla ponownie w ręce wroga. Zakrawało to na prawdziwe szaleństwo, bowiem nie istniał po temu żaden powód.

Żaden prócz honoru.

No tak, pokręcił głową, honor. Ten monarcha już raz dał jego przykład, gdy pod Poitiers został sam na polu walki, choć inni z niego uciekli. Marc widział to na własne oczy.

- Rozumiem i wcale mnie to nie dziwi - odezwał się w końcu. - On jeden wciąż kieruje się honorem, czego nie można powiedzieć o wielu innych naszych rodakach.

- Napisał do króla Edwarda - oświadczył Enguerrand. - I stwierdził w swoim liście, że „choćby cała reszta świata przestała kierować się w swoim postępowaniu

dobrą wiarą i honorem, cnoty te wciąż powinny znajdować się na ustach i w sercach książąt, zwłaszcza tych najszlachetniej urodzonych”.

Dobra wiara i honor. To one wymagały, by rycerz wzięty do niewoli jako zakładnik nie próbował ucieczki i godnie znosił swój los, aż nie zostanie zwolniony przez swego suwerena. To jego święty obowiązek. Bowiem zakładników trzymano w niewoli nie tylko dla okupu, ale ze względu na dane słowo.

Marc zaraz uświadomił sobie jeszcze jedno. To mianowicie, że lord Coucy był jednym z czterdziestu wysoko urodzonych zakładników, których trzymano w Anglii zamiast króla...

- To, że król Jan wraca do Anglii, oznacza, że ty... możesz jechać do domu.

Marc wypowiedział te słowa, czując w sercu ukłucie zazdrości i zaraz przyszło mu do głowy, że Anglia bez Enguerranda stanie się jeszcze bardziej nie do zniesienia.

Jego przyjaciel kiwnął głową.

- Tak. Do domu - powtórzył, jakby ze zdumieniem.

A Marc ponownie poczuł zazdrość, bo on sam nie znał żadnego domu prócz tego, który należał do Coucy'ego.

- Czy była mowa o nas, to znaczy wszystkich pozostałych zakładnikach?

Marc nie był jednym z zakładników trzymany w niewoli na podstawie traktatu, trzymano go natomiast w zastępstwie hrabiego d'Oise, wziętego do niewoli przez angielskiego rycerza, który sprzedał własne prawo do okupu angielskiemu królowi, jako że monarcha - w przeciwieństwie do niego - mógł czekać na pełny okup całymi latami.

Enguerrand pokręcił głową.

- Była mowa tylko o królu.

O królu, który udowodnił, że najważniejszy jest honor.

Marc przywiózł ze sobą część okupu za hrabiego d'Oise. A jego obecność w Anglii miała być gwarancją, że hrabia zapłaci resztę. Do Wielkanocy. Najpóźniej do Wielkanocy, jak obiecał. Lecz Marc w jego obietnicę nie wierzył i dlatego do tej pory, niepewny i dręczony niepokojem, myślał o ucieczce. Chciał wyjechać w okresie Bożego Narodzenia, korzystając z tego, że Anglicy, oddając się świątecznym uciechom, przestaną być czujni.

Dzisiejsza wiadomość sprawiła, że poczuł wstyd i pomyślał, że król nie może się przekonać, że on, Marc, okrył nazwisko de Marcel hańbą i niesławą.

- Kiedy Najjaśniejszy Pan znajdzie się w Anglii?

- Planuje obchodzić Boże Narodzenie w Paryżu, a potem przeprowić się przez Kanał.

Zatem znajdzie się tutaj pod koniec roku... Hrabia d'Oise okaże się z pewnością równie honorowy jak monarcha. I spłaci resztę okupu za pośrednictwem kogoś z królewskiego orszaku. Albo też zjawi się w Anglii osobiście. Tak czy inaczej, dla Marca będzie to oznaczało jedno: wolność i powrót do Francji.

Enguerrand wstał i ruszył ku drzwiom.

- Mamy mało czasu - powiedział. - I bardzo wiele do zrobienia, aby przygotować się na powitanie Najjaśniejszego Pana.

Marc dorzucił do ognia, dygocząc z zimna. Zaczynał żałować, że nie przyjął za-

proszenia na dwór i zrezygnował z możliwości odwiedzenia Windsoru. Zanosił się bowiem na to, że jego święta będą długie, samotne i... zimne.

- Będę potrzebowała nowej sukni - oznajmiła Isabella - by wystąpić godnie podczas uroczystości powitalnych.

- Sądzi Wasza Wysokość, że król Francji pamięta suknię, w której Waszą Wysokość ostatnio widział? - zapytała z uśmiechem Cecily.

- Od tamtego czasu zmieniła się moda - odrzekła Isabella. - Wiesz o tym dobrze. No a poza tym na zorganizowanie królewskiego powitania zostało bardzo mało czasu.

- Królewskiego powitania? Na cześć zakładnika? - zapytała Cecily z właściwą sobie niechęcią do wszystkich Francuzów.

- Na cześć króla - poprawiła ją Isabella, prostując się dumnie i demonstrując solidarność z tymi, w których żyłach płynie królewska krew. - Rozmawiałam z Enguerrandem - dodała zaraz - a on sądzi, że król będzie najpierw chciał udać się do Canterbury, a dopiero potem zawitać na dwór. Postanowiliśmy więc...

Z Enguerrandem? Postanowiliśmy? My?

- Postanowiliśmy? To znaczy kto?

- Enguerrand i ja. Ponieważ on będzie w Windsorze, poprosiłam go, żeby zorganizował prawdziwie królewskie powitanie.

- A czy my, Anglicy, nie potrafimy zaplanować powitania króla bez pomocy kogoś zakładnika?

- On jest lordem Coucy - powiedziała tonem surowym, godnym królewskiej córki.

- Zasługuje więc na traktowanie odpowiednie do jego pozycji.

Cecily wiedziała też, że ród Coucy jest jednym z najznamienitszych francuskich rodów i że hrabiego Coucy nie można traktować jak zwykłego rycerza.

Takiego na przykład jak Marc de Marcel.

- Lecz czy nie sądzicie, pani, że powierzając mu taką rolę, sprawicie, że on...? - Nie miała odwagi ponownie obrazić księżniczki. - Że to... obudzi w nim nadzieje, których, pani, nie będziesz mogła spełnić?

- Nadzieje na co?

Księżniczka uniosła pytająco brwi.

Cecily zarumieniła się. Miała na myśli to, że nie należało budzić jego żądz. Bo męczyżnę, którym powoduje żądza, trudno jest kontrolować. Podobnie jak powodowaną żądzą kobietę. Tak przynajmniej uczyła ją matka.

- Miałam na myśli to, że... jeżeli ty, pani, i on spędzicie razem zbyt wiele czasu, to... czy on nie stanie się zbyt śmiały?

Księżniczka lekceważąco machnęła na to ręką.

- Nie bój się, Cecily, Enguerrand jest wzorem rycerskich cnót.

Jednak de Marcel dowiódł, że wśród Francuzów cnoty rycerskie bynajmniej nie kwitną. Nawet Coucy może nie poprzestać na ukłonie czy tańcu.

- A jednak... traktować go jak Anglika... nie wydaje się rzeczą rozsądną...

Isabella wybuchnęła na to śmiechem.

- Jest okres Bożego Narodzenia. Dlaczego więc ktokolwiek miałby postępować rozsądnie?

Żeby zapobiec katastrofie, pomyślała Cecily, ale zmilczała.

Isabella była ekstrawagancka i uparta. I flirtowała z wieloma mężczyznami, jednak nigdy nie posunęła się dalej niż do niewinnych pocałunków i uścisków. Żaden z flirtów nie stworzył dla niej ryzyka i każdy został bez żadnych problemów zakończony.

Jednak teraz sposób, w jaki księżniczka mówiła o tym Francuzie, i fakt, że stwarzała okazje, żeby go widywać, były niepokojące.

Księżniczka i Coucy mieli przed sobą trzy tygodnie wspólnych zabaw. Trzy tygodnie świątecznych uciech. Trzy tygodnie pod rządami błaznów, podczas których cały porządek świata jest stawiany na głowie. Co będzie, jeżeli rzeczy zajdą dalej niż poprzednio?

Cecily nie mogła zadawać kolejnych pytań, bo wiedziała, że rozgniewa Isabellę. Postanowiła więc, że będzie ją mieć na oku i poszuka sprzymierzeńca, który jej pomoże nie dopuścić do niczego niestosownego. Ale kto się zgodzi na odegranie tej roli, a jednocześnie zachowa dyskrecję?

Marc de Marcel! – zaświtało jej nagle w głowie.

W pierwszej chwili chciała odrzucić ten pomysł, ale szybko doszła do wniosku, że ona i de Marcel mogliby się porozumieć. Nienawidził Anglików w równym stopniu, jak ona nienawidziła Francuzów, a poza tym z pewnością wstrętna byłaby mu myśl o romansie przyjaciela z angielską księżniczką.

De Marcel odrzucił jednak zaproszenie do Windsoru.

– No cóż – powiedziała, starając się o ton lekki, taki, jakim mówi się o rzeczach niezbyt ważnych – jeżeli król ma być po królewsku powitany, Coucy będzie potrzebował pomocy swoich rodaków. Może zatem jego przyjaciela powinno się zmusić do skorzystania z zaproszenia.

Isabella uśmiechnęła się.

– Najpierw karcisz mnie za moje zainteresowanie lordem Coucy, a później sama przychylasz się do moich pomysłów... Ten twój kawaler odrzucił jednak nasze zaproszenie.

– Zatem... – zaczęła, sama nie wierząc we własne słowa – ...przekonam go, by je przyjął.

– Cóż... słyszałam, że ten twój lampart groźnie pomrukuje. Czy on robi cokolwiek innego?

– Nie wiem – odrzekła Cecily. – Ale się dowiem. Zapewniam cię o tym, Wasza Wysokość.

Cecily namyślała się przez tydzień, aż w końcu pewnego dnia, gdy księżniczka była zajęta, kazała przyprowadzić Marca do siebie do Westminsteru.

Isabella miała rację, porównując go do groźnego dzikiego kota, pomyślała, kiedy Marc stanął przed nią. Nie było w nim nic miłego czy łagodnego. Rysy miał ostre, a twarz poraną bliznami. A mimo to ta twarz przyciągała jej uwagę...

– Dlaczego kazałaś mnie tutaj przyprowadzić, pani, niczym pospolitego więźnia? – zapytał.

– Jesteś przecież więźniem – odpowiedziała, czując delikatne ukłucie wyrzutów sumienia.

Wyraz cierpienia, który pojawił się po tych słowach na jego twarzy, sprawił, że omal nie kazała strażnikom puścić go wolno. Powstrzymała się jednak od tego i dała im tylko znak, żeby wyszli z komnaty. Musiała z nim zostać sama na samą, bowiem jej obawy o księżniczkę nie były przeznaczone dla uszu kogokolwiek poza nimi dwójkiem.

Gdy drzwi zamknęły się za strażnikami, wyprostowała się i podniosła dumnie głowę.

- Lord Coucy - powiedziała - w ostatnich tygodniach często bywa na dworze.

- Jest równie dobrym dworzaninem jak rycerzem.

- A ty nie, panie?

Wzruszył ramionami i zmarszczył brwi, ale nic nie odpowiedział.

Cecyli przeszła się po komnacie, poszukując w sobie odwagi, aby spojrzeć mu w oczy.

- Wyrażę się jaśniej. Lord Coucy spędza dużo czasu z lady Isabellą i boję się, że oni... - urwała i spróbowała ująć to inaczej, aby nie formułować oskarżeń. - Obawiam się, że lord Coucy mógł... zapalać... To znaczy... chciałam powiedzieć...

- Że mógł poczuć *tendresse*? - dokończył Marc rzeczowym tonem.

- Tak. Właśnie...

Spojrzała mu w twarz i zobaczyła, że na jego wargach igra cień skrywanego uśmiechu. A to sprawiło, że poczuła gniew.

- Jestem pewna, że wam nie podoba się to bardziej niż mnie.

- Moins.

Uniosła brwi.

- O, trudno mi uwierzyć w to, że jednak mniej.

- Ale - odparł - wszystko przebiega zgodnie z regułami dworskiej miłości, *n'est-ce pas*? To bardzo miła gra, każdy byłby prawdziwie zaszczycony tym, że królewska córka raczyła się nim zainteresować.

- Jej Wysokość rzeczywiście traktuje tę znajomość bardzo lekko i bardzo dobrze się bawi... A jednak... oni... spędzają ze sobą bardzo dużo czasu.

- Sądzę, że za bardzo się martwisz, pani.

Czyżby miał rację? Z jednej strony nie podobały jej się dworskie gry, które prowadzili, a z drugiej przyprowadzała ją o złość myśl, że ten impertynencki Francuz nie traktuje poważnie ukochanej córki angielskiego władcy.

- Lady Isabella jest księżniczką królewskiej krwi. Więc zabawianie się z nią, jak z pospolitą...

- Ród Coucy - wszedł jej w słowo - jest jednym z najznamienitszych rodów Francji.

Powiedział to gniewnym tonem i Cecyli zaczęła się obawiać, że w złości może odmówić jej pomocy. Przewyciężyła więc swoją niechęć i poprosiła:

- Wybaczcie mi. Widzę, że oboje jesteście lojalni wobec naszych przyjaciół. Powiem więc otwarcie, co mnie niepokoi. Otóż w zeszłym tygodniu zastałam ich samą na samą... stali bardzo blisko siebie...

Trafiła w czuły punkt. Marc wydawał się teraz równie zszokowany jak ona.

- Imbécile! - zakrzyknął.

Cecyli kiwnęła potakująco głową, bojąc się jednak zapytać, kogo ma na myśli -

Coucy'ego czy księżniczkę.

- No właśnie - przytaknęła. - Powinniśmy coś więc zrobić.

- My?

- Przyświeca nam przecież ten sam cel, prawda? Bo... sam widzisz, panie, jak lekkomyślnie postępuje twój przyjaciel. I jak źle to się może dla niego skończyć...

Spojrzał na nią zdziwiony.

- *Pardon?*

- *Votre aide* - powiedziała głośniej. - *Assistance*.

- Wiem, co znaczy to słowo - odrzekł. - I nie jestem głuchy.

Jego gniewne spojrzenie zdawało się mówić, że udzielenie jej pomocy jest ostatnią rzeczą, na jaką ma ochotę.

- A więc pomożesz mi, panie?

Wstrzymała oddech, czekając na jego odpowiedź. Patrzył na nią tak, jakby po raz pierwszy w życiu dostrzegł w niej ludzką istotę. I usiłował ocenić, kim jest. Poza tym, że *une femme Anglaise*.

- A co musiałbym zrobić? - zapytał w końcu.

- Chcę, żebyś przyjął zaproszenie do Windsoru na czas Bożego Narodzenia.

Na jego twarzy pojawił się wyraz rozczarowania.

- Po co? Co by to dało?

- Jeżeli będziemy działali wspólnie, to może uda nam się utrzymać księżniczkę i lorda Coucy z dala od siebie. Zabawy i uroczystości będą trwały ponad dwa tygodnie. To będzie czas, kiedy wszystko, cały świat, zostanie wywrócony do góry nogami. I mogą nadarzyć się okazje do...

Urwała, a wyraz jego oczu sprawił, że jej policzki pokraśniały. W następnej chwili uśmiechnął się w mało rycerski sposób.

- Okazją do czego? - zapytał w końcu.

Cecily naraz oczyma wyobraźni zobaczyła nie Isabelle i ciemnowłosego Engueranda, tylko siebie i tego opornego blondyna... gdzieś w półmroku sali oddających się namiętnemu pocałunkowi.

- Okazją do lekkomyślnych zachowań, które sprowadzą na nich kłopoty, kawalerze - powiedziała ostro. - Poważne kłopoty.

- Ależ - odrzekł - lady Isabella jest córką króla.

- Właśnie. - Musi mu jasno uświadomić, że cały ciężar winy w razie czego spadnie na Coucy'ego. - I dlatego to twój przyjaciel zostanie obarczony odpowiedzialnością za jej uwiedzenie.

Marc de Marcel stał teraz nieruchomo, jakby zastanawiał się nad wszystkim, co mu powiedziała. Milczał.

Cecily spojrzała na drzwi. Byli tu sami już stanowczo zbyt długo, postanowiła więc szybko wymóc na nim deklarację. Zrobiła krok w jego kierunku i spojrzała mu w oczy. Wiedziała, że na de Marcela może poskutkować tylko prośba.

- Proszę cię bardzo, panie - odezwała się słodkim głosem. - Przyjedź do Windsoru i pomóż przyjacielowi.

Na jego twarzy pojawił się wyraz niepokoju lub zatroskania. A więc znalazłam klucz do jego serca, pomyślała.

Westchnął.

- Jesteś, pani, równie bezlitosna jak angielscy rycerze, z którymi walczyłem.

To był dziwny komplement, a mimo to Cecily poczuła przyływ dumy. Marc wyraził w końcu pochwałę jej rodaków.

- A poza tym... - zawahał się - ...co ja zyskam na tym wszystkim?

Nie cofnął się, a nawet podszedł do niej bliżej. Cecily ani drgnęła. I nie spuściła oczu, mimo że jego spojrzenie było nieustępliwe. Teraz dopiero poczuła, że prosząc go o wsparcie, sama naraża się na kompromitację i utratę szansy na dobre zamążpójście.

- Zyskacie satysfakcję płynącą z tego, że uchronicie swego przyjaciela od nieszczęścia! - Teraz mogła się cofnąć i nareszcie swobodnie odetchnąć. - Czy to nie dosyć?

Zrobił kolejny krok w jej stronę. A wtedy coś dziwnego, coś, czego nigdy dotąd nie doznała, ogarnęło ją gorącą, słodką, obezwładniającą falą. Czyżby to było pożądanie? - przeszło przez jej myśl pytanie. Jeżeli Isabella czuje to samo do Coucy'ego, to we czworo już są zgubieni...

- Nie, hrabino - powiedział gniewnie de Marcel. - To nie dosyć. Twój rodacy trzymają mnie w niewoli. A ty na domiar złego chcesz teraz, żebym jeszcze tańczył, jak mi zagrasz, niczym twoja marionetka?

Czar prysł. Cecily poczuła ulgę, czując, że może nareszcie okazać gniew - równy temu, który on czuł.

- Pomagam wam osiągnąć coś, czego wy także pragniecie i czego nie osiągnęlibyście samodzielnie - powiedziała ostro. - Więc nie spodziewajcie się zbyt wielu *mercis*!

- Nie spodziewam się - odrzekł jej na to - ale oczekuję, że w zamian za pomoc w sprawie, która tak leży ci na sercu, pani, ty pomożesz mi wrócić do Francji.

- Ale... - zająknęła się zdumiona - ...co mogę zrobić w tej sprawie? Przecież sprawy traktatów i okupów są w rękach króla.

- Gdy przyjdzie czas, powiem, jak masz mi pomóc.

Co to mogło znaczyć? - zastanawiała się gorączkowo. Miała dać mu słowo, nie mając pojęcia, co obiecuje? Z drugiej strony dotyczyło to odległej przyszłości...

- Zgoda. Gdy przyjdzie czas, zrobię, co w mojej mocy, aby ci pomóc - oznajmiła, chwając samą siebie w duchu, że udało jej się nie złożyć przysięgi.

Marc patrzył na nią w milczeniu, jak gdyby próbując wyczytać z jej twarzy, czy może jej wierzyć.

- Nawet nasi królowie ogłosili rozejm - stwierdziła ugodowo. - Więc czy i my nie możemy uczynić tego samego?

- *D'accord* - odrzekł w końcu.

Uzyskawszy to, co chciała, wezwała od razu strażników, by wyprowadzili de Marcela. Kiedy została sama, zaczęła analizować jego słowa. Miała nadzieję, że nie poprosi jej o pomoc w ucieczce, bowiem tego na pewno nie zrobi.

- Wiesz, w końcu pojedę do Windsoru - powiedział Marc do Enguerranda, gdy wieczorem przy dogasającym ogniu siedzieli obaj nad szachownicą.

- A co sprawiło, że zmieniłeś zdanie? - zapytał Enguerrand, prostując się i krzyżując ręce na piersi. - Lady Isabella z pewnością z tobą nie rozmawiała.

- To prawda. Jednakże jej przyjaciółka, hrabina, uparła się, by mnie do zmiany postanowienia namówić.

- Hrabina? Nie sądzę, byś zrobił na niej zbyt korzystne wrażenie.

- Nie zrobiłem. Ale ty tak.

- *Moi?*

- Hrabina martwi się, że żywisz czułe uczucia dla lady Isabelli.

- Aha. Skoro tak, to mój plan działa.

- Działa tak dobrze, że hrabina boi się, że lady Isabella może w twoim towarzystwie nie być bezpieczna.

- Nie być bezpieczna? W towarzystwie Coucy'ego? - Enguerrand zrobił zdumioną minę, równocześnie puszczając do Marca oko. - Jak hrabina może tak myśleć? Jak może się martwić właśnie o to?

Rzeczywiście, Marc dopiero dzisiaj się zorientował, jak poważna dla Cecily jest ta sprawa, i uświadomił sobie, że ma do czynienia z kobietą równie lojalną wobec swej przyjaciółki jak on wobec swego najlepszego druha.

- Martwi się do tego stopnia, że błagała mnie, żebym przyjechał do Windsoru i pomógł jej rozdzielić ciebie i księżniczkę.

Na twarzy Coucy'ego pojawił się szelmowski uśmiech.

- Co ty, *mon ami*, z pewnością uczynisz - zabrzmiały jego ironiczne słowa.

Marc domyślił się, że przyjaciel oczekuje od niego czegoś wręcz przeciwnego.

- Wiesz, że ja nie potrafię działać podstępnie - powiedział tonem usprawiedliwienia. - Obawiam się, że mogę bardziej ci zaszkodzić, niż pomóc.

- Pomożesz mi, zabawiając po prostu lady Cecily.

Marc aż jęknął.

- Jak mam to zrobić, skoro mówiąc delikatnie, nie przepadamy za sobą?

- To bardzo łatwe. Po prostu dopilnuj, żeby się nie dowiedziała, że bardziej mi zależy na wpływach lady Isabelli niż na jej cnoście. Z całą resztą już sobie poradzę. Gdy odzyskam posiadłości, wszystkie zmartwienia hrabiny skończą się.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zamek Windsor, grudzień 1363

Pewnego wietrznego grudniowego popołudnia Cecily wyruszyła z Londynu do Windsoru, zmagając się ze wspomnieniami. W zeszłym roku towarzyszyła jej matka, a teraz podróżuje jedynie z Gilbertem. Przyjmowała jego obecność z wdzięcznością, choć młodzieniec wciąż mówił jedynie o swojej klęsce w pojedynku z de Marcelem.

- Siedziałaś wtedy blisko króla - zagadnął w chwili, gdy zobaczyli już przed sobą mury Windsoru. - Co o mnie mówił?

- Obawiam się - odrzekła Cecily - że król był rozczarowany.

Gilbert kiwnął głową, tak jakby spodziewał się tej odpowiedzi.

- No tak... - Westchnął. - Nic w tym dziwnego. Ale to wszystko przez to, że ci Francuzi byli doświadczonymi żołnierzami i brali udział w niezliczonych bitwach. A ja? Ja przecież niczego jeszcze nie dokonałem.

- Służyłeś mojemu ojcu we Francji! Byłeś...

„Byłeś przy nim w chwili jego śmierci” - chciała powiedzieć, lecz słowa uwięzły jej w gardle.

- Ale jedynie jako giermek. Nigdy nie uczestniczyłem w żadnej bitwie, a i teraz mogę brać udział tylko w tych turniejowych pojedynkach, które są jedynie zabawą. Tymczasem marzę o tym, aby być częścią czegoś wielkiego i ważnego. Jestem gotowy na prawdziwą próbę. Król Cypru ogłosił krucjatę. Myślę o tym, żeby wyjechać i do niego dołączyć.

- Więc i ty chcesz zginąć na polu walki? - zapytała Cecily tonem ostrzejszym, niż zamierzała.

Gilbert spojrział na nią i nagle jakby doznał olśnienia.

- Ty... ty, Cecily, wciąż nie pogrzebałaś swego ojca - powiedział.

Odwróciła głowę i zapatrzyła się na zamek.

- Oczywiście, że go pogrzebałam.

Naraz powróciły do niej wspomnienia. Zamknięta trumna, w której przywieziono ciało; msza żałobna odprawiana w słoneczny letni dzień. I to, że tego dnia od morza wiał wiatr.

- Byłeś przecież na pogrzebie.

- To prawda. Jednak jego grobowiec... nie został wykończony.

Zachnęła się na to, a równocześnie poczuła w sercu ukłucie bólu. Oskarżenie było słuszne. Po śmierci ojca tak cierpiała, że nie dopełniła swego obowiązku, a później odeszła także i jej matka. Do tej pory na ich wspólnym grobie wciąż nie było rzeźby przedstawiającej ich oboje. A przecież jej obowiązkiem było tego dopilnować i oddać w ten sposób hołd zmarłym rodzicom. Nie umiała jednak znaleźć w sobie siły, aby uzgodnić z kamieniarzem szczegóły wykonania prac.

Co za haniebną słabość, pomyślała teraz. Straszna, niegodna hrabiny Losford. Ale nie przyznała się Gilbertowi. Przedstawiła mu inne wytłumaczenie.

- Król potrzebował rzeźbiarza - powiedziała. - Wiesz o tym dobrze.

Rzeczywiście przez kilka ostatnich lat Jego Królewska Mość angażował wszystkich kamieniarzy, rzeźbiarzy, cieśli i murarzy do prac renowacyjnych i budowlanych w Windsorze i karał każdego, kto choćby próbował któregoś z tych ludzi podkupić i zatrudnić u siebie.

- Nic na to nie mogłam poradzić.

Wypowiadając te słowa, wiedziała, że król uczyniłby dla niej wyjątek i pozwolił rzeźbiarzowi skończyć grobowiec swego starego przyjaciela i jego żony.

- Upłynęły już trzy lata - powiedział Gilbert.

- Od śmierci matki upłynął niecały rok.

Gilbert uniósł brwi.

- Zwleknięcie jej nie wskrzesi.

- Wiem.

A mimo to czuła, że ukończenie grobowca, wykucie postaci rodziców w kamieniu będzie równoznaczne z przyznaniem, że oboje odeszli już na zawsze.

Tymczasem przekroczyli bramę Windsoru i ich rozmowę przerwała służba, która zjawiała się, by się zająć końmi i kuframi. Zwykłe powitanie u progu świąt. Zwykłe, jak co rok, jednak dla niej jakże inne niż wszystkie poprzednie.

„Pewnego dnia będziesz hrabiną, moja droga. I honor rodowego nazwiska będzie spoczywał w twoich rękach”.

Słowa matki się ziściły. Była już hrabiną, jednak mimo to nie potrafiła spełnić najprostsze obowiązku. A teraz na dodatek stało przed nią kolejne zadanie. Musiała udowodnić, że jest gotowa, że chce i potrafi objąć rządy w Losford wraz z mężem, którego wybierze dla niej król.

- Poproszę o zwolnienie rzeźbiarza ze służby na zamku.

Gilbert, wbrew jej oczekiwaniu, nie przyjął tych jej słów z uśmiechem.

- Kiedy? - zapytał krótko i z powagą i dowiódł w ten sposób, że nie jest już młodzieńcem. Stał się mężczyzną.

- Wkrótce. Przed Świętem Trzech Króli - obiecała.

W chwili gdy mury zamku Windsor ukazały się w oddali, Marc jechał obok swego przyjaciela i w otoczeniu licznych angielskich rycerzy. Potężny zamek stał na górującym nad rzeką stromym wzgórzu i sprawiał wrażenie nie do zdobycia. Część jego murów była stara, zdawała się liczyć nawet kilkaset lat i pochodzić z czasów tego normańsko-francuskiego bękartu, który przebył Kanał, by zostać władcą Anglii.

Gdy jednak przekroczyli zamkowe bramy, oczom Marca ukazały się piękne nowe gmachy ze świeżo ciosanego kamienia. Król Edward to prawdziwy budowniczy, pomyślał Marc z niechętnym podziwem, podejrzewając równocześnie, że owe najnowsze części zamku zostały w większości wzniesione za francuskie pieniądze.

Nie spodziewał się naturalnie królewskiego przyjęcia, jednak i tak okazało się wspaniałe. Powitała ich lady Isabella we własnej osobie, wychodząc im przy tym na spotkanie sama - tak jakby zamek należał tylko do niej. A Enguerrand ze swej strony pozdrowił ją tak, jakby był jednym z najznamienitszych gości.

Marc oddał konia pod opiekę stajennego, a potem stanął w bezpiecznej odległości od nich obojga, dając im czas na to, by, rozpromienieni, wymienili jakieś wypowiedziane szeptem uwagi. Naraz zobaczył w pobliżu otuloną płaszczem hrabinę, która także obserwowała księżniczkę i Coucy'ego.

Zrobiła w pewnej chwili taki ruch, jakby chciała przerwać ich powitanie, a wtedy ostry podmuch wiatru rozwiał połę płaszcza. Marc stanął przed nią, zasłaniając jej widok i próbował pomóc.

Podniosła głowę, zaskoczona, i rozchyliła usta. Marc mimowolnie pomyślał, że są piękne – kształtne i kuszące... Popatrzył jej w oczy i opuścił ręce, rugając się jednocześnie w duchu.

- Ta wyspa to najzimniejsze miejsce, jakie zdarzyło mi się w życiu odwiedzić.

- Tegoroczna zima jest najsroższa od lat – odrzekła mu na to lady Cecily. – Mróz przyszedł we wrześniu i nie opuścił nas aż do dnia dzisiejszego.

- A więc zgadzamy się co do tego, że pogoda jest w *Angleterre* okropna.

- Obwiniasz nas o to, że jest zimno? – zapytała z uśmiechem.

Pragnął obwiniać ich o wszystko, ale stojąc tak blisko niej, poczuł – wbrew sobie – ciepłą falę pożądania. *Mon Dieu*, co się ze mną dzieje, pomyślał. Czyż i bez tego nie mam dość kłopotów?

Zaschło mu w ustach, więc zanim zaczął mówić, musiał odchrząknąć.

- Nawet król nie potrafi kontrolować tego, co zsyła Bóg – odpowiedział.

I wydało mu się, gdy spojrzał na jej twarz, że te słowa wzbudziły w niej smutek. Cecily szybko odwróciła wzrok, a w następnej chwili wspięła się na palce, patrząc ponad jego ramieniem i próbując się przekonać, co się dzieje za jego plecami.

- Odsuń się, panie – poprosiła. – Nie widzę, co oni robią.

Marc tymczasem zrobił coś odwrotnego. Jeszcze dokładniej zasłonił jej widok.

- Nie można do tego stopnia ujawniać swoich zamiarów – powiedział.

- Wiem – odrzekła z westchnieniem. – Ale księżniczka...

- Cecily! – dobiegł ich głos lady Isabelli. – Proszę do mnie!

- Chodźmy – powiedziała Cecily do Marca, który tymczasem odsunął się już na bok. – Księżniczka osobiście zaprowadzi was do kwatery.

Cecily szła szybko, pragnąc bez wątpienia dogonić Isabellę i Coucy'ego i przeszkodzić im w rozmowie. Marc natomiast celowo zwolnił kroku i został z tyłu. Cecily, dotarwszy w następnej chwili do wrót wieży, była zmuszona poczekać na Marca.

Gdy oboje weszli do środka, natychmiast zobaczyli księżniczkę i Enguerranda stojących blisko siebie, głowa przy głowie. Zaraz potem kobiecy śmiech odbił się echem od kamiennych ścian.

No cóż, pomyślał Marc, mój druh zdecydowanie dąży do celu. Jest zatem całkiem jasne, że lady Cecily ma realny powód do niepokoju. Westchnął ciężko, dochodząc do wniosku, że znacznie łatwiej by mu było dowodzić wojskami podczas bitwy z przeważającymi siłami wroga niż udawać sprzymierzeńca hrabiny.

Położył rękę na ramieniu Cecily. Muszę opóźnić przybycie wroga, dając Enguerrandowi czas do swobodnego natarcia, pomyślał.

Cecily zmarszczyła brwi.

- Zostajemy z tyłu. Zgubimy ich.

Nie mogę jej powstrzymać siłą, pomyślał znowu. Muszę działać subtelnie.

- Nie możemy ich rozdzielić - powiedział. - Potrzebny nam plan... Tak jak podczas bitwy.

Popatrzyła na niego niepewnie.

- Plan polega na tym, że to ty musisz sprawić, żeby Coucy trzymał się z daleka od lady Isabelli. Po to sprowadziłam cię do Windsoru.

- Żeby to zrobić - oznajmił, gorzko żałując, że nie został w Londynie - muszę co-
kolwiek o niej wiedzieć.

Cecily, nie odrywając wzroku od księżniczki i jej towarzysza wyprzedzających ich na schodach, westchnęła zirytowana.

- Lady Isabella jest najstarszą i najbardziej ukochaną córką króla, osobą szczerą i oddaną przyjacielom i rodzinie, a także ubogim. I bardzo lubi wszelkiego rodzaju rozrywki i wesołe zabawy.

- A... dlaczego wciąż nie jest jeszcze zamężna?

Nie myślał o tym wcześniej. Teraz jednak wydało mu się to zastanawiające. Przecież mariaż Isabelli z odpowiednim człowiekiem, z jakimś potężnym władcą, byłby bardzo korzystny dla jej kraju.

- Rozważano wielu kandydatów do jej ręki - odrzekła, zniżając głos i zwalniając kroku Cecily. - Tak wielu, że nieznane mi są imiona wszystkich. Trwało to długo... Aż w końcu znalazł się pewien Gaskończyk, wysoko urodzony wielmoża, którego księżniczka zapragnęła poślubić.

- Sama wybrała sobie męża?

Cecily kiwnęła głową.

Marc spojrzał na schody i zobaczył, że Enguerrand i lady Isabella są już poza zasięgiem jego i Cecily wzroku.

- Nie wiedziałem, że jest wdową.

To zmieniałoby sytuację... Bo kobieta, która poznała już dotyk mężczyzny...

- Lady Isabella nie jest wdową - sprostowała Cecily. - Król zgodził się na to małżeństwo i poczyniono wszelkie przygotowania. Ale ona... kiedy już miała wejść na statek... po prostu rozmyśliła się...

- Zerwała zaręczyny? Król na to pozwolił? - zdumiał się Marc.

- Skoro to ona sama wybrała tego mężczyznę, jej ojciec pozwolił jej zmienić zdanie. - Cecily uśmiechnęła się. - Lady Isabella jest przyzwyczajona do tego, że robi to, co chce, i że nikt jej się nie sprzeciwia. Ma bardzo kochających i oddanych rodziców i zawsze dostaje to, czego pragnie.

- A więc... księżniczka ma wszystko, czego tylko sobie zażyczy...

Cecily wzruszyła ramionami.

- A ty, hrabino? Czy twoi rodzice także dawali ci wszystko, o czym zamarzyłaś?

Kiwnęła głową ze smutnym uśmiechem.

- Owszem, dopóki żyli.

Marc pożałował, że zadał to pytanie, przypominając jej o bolesnej stracie. On sam również stracił rodzinę, choć tak dawno, że nawet nie pamiętał, czy był kochany.

- Ale ty także nie masz jeszcze męża, pani - powiedział, bo nagle zapragnął dowiedzieć się dlaczego.

- Nie mam męża jedynie dlatego, że król go jeszcze dla mnie nie wybrał. Spodziewam się, że wyjawi jego imię, zanim dobiegnie końca obecny okres Bożego Naro-

dzenia. No ale nie mówmy o mnie. Opowiedziałam ci o lady Isabelli. A teraz twoja kolej: jaki masz plan?

- Wygląda na to - zaczął Marc z namysłem - że księżniczka jest uparta i kapryśna. Możliwe jest więc, że zapały mojego przyjaciela ostygną, gdy mu to uświadomię...

- Nie wolno ci źle o niej mówić! Czy chciałbyś, żebym ja mówiła źle o lordzie Coucy?

- O lordzie Coucy nie da się mówić źle. Podziwiają go nawet nasi wrogowie.

- A lady Isabella nie ma wrogów! I jest królewską córką.

- Ale skoro nie pozwalacie mi mówić o niej źle, to jak mam sprawić, by zapały Coucy'ego ostygły?

Tymczasem dotarli do szczytu schodów i zobaczyli, że Enguerrand wchodzi do komnaty. A księżniczka za nim.

Cecily chwyciła Marca za rękaw.

- Musimy coś wymyślić. - Spojrzała w stronę otwartych drzwi i przygryzła wargę. A już w następnej chwili uśmiechnęła się. - Już wiem! Podczas twojego pobytu w Windsorze to wy, a nie lord Coucy, będziecie zabawiali księżniczkę!

- Co takiego? Ja?

- No tak. Dzięki temu będzie jej bardzo trudno spędzać czas z waszym przyjacielem.

- Ależ... księżniczka nie może spędzać czasu ze zwykłym rycerzem...

- Jednak tak właśnie dzieje się we francuskich romansach. Na tym polega dworska miłość! No tak! Rycerz bez ziemi szukający natchnienia i znajdujący je u stóp wysoko urodzonej damy. Lady Isabella opowiadała mi takie historie...

Rycerz bez ziemi, pomyślał Marc. Ciekawe, czy lady Cecily wie, do jakiego stopnia to się zgadza z prawdą.

- A ty? - zapytał. - Czy ty, pani, będziesz zabawiać lorda Coucy?

- Oczywiście, że nie! - zaprotestowała żywo. - Ja mam się wkrótce zaręczyć. Nie mogę być zbyt często widywana w towarzystwie jakiegoś francuskiego zakładnika.

Lady Isabella tymczasem wyszła z komnaty, obejrzała się z uśmiechem przez ramię i pomachała ręką Coucy'emu, który wciąż był w środku.

Marc, unosząc brwi, spojrzał na lady Cecily.

- Winicie Coucy'ego za jego szaleństwo - powiedział szeptem, wnioskując z zachowania księżniczki, że jest ona tak samo roznamiętniona jak jego przyjaciel. - A ja sądzę, że lady Isabella jest tak samo winna jak on - dokończył, również szeptem.

- Jak możesz tak mówić? - oburzyła się cicho Cecily, po czym wskazując otwarte drzwi, oznajmiła pełnym głosem: - Będziesz dzielił komnatę z lordem Coucy.

Następnie wyprostowawszy się dumnie, przyłączyła się do księżniczki.

Jestem pewien, pomyślał Marc, że lady Isabella wybrała już sobie na te święta dworskiego kochanka. Natomiast ja, dodał w myśli, mam przed sobą trzy tygodnie szalonych zabaw, podczas których będę musiał udawać, że przeszkadzam Enguerrandowi w realizacji jego planów po to, by mu w rzeczywistości pomóc. Tegoroczne Noël z całą pewnością nie będzie dla mnie *joyeux*.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Odprowadziwszy Francuzów, Cecily udała się do królowej Filipy, by się jej pokłonić. Jej Królewska Mość przyjęła ją serdecznie, oprowadzając na początek po swoich nowych, świeżo wykończonych i udekorowanych komnatach.

- A to... - powiedziała Jej Królewska Mość, wprowadzając ją do ostatniej - ...to jest sala przeznaczona do tańca.

Cecily rozejrzała się z podziwem.

- Moja matka byłaby nią zachwycona - wyznała. - Uwielbiała tańczyć... - urwała i westchnęła ciężko.

Królowa spojrzała na nią ze współczuciem.

- To jest pierwsze Boże Narodzenie, które spędzisz bez niej - powiedziała, ujmując i serdecznie ściskając jej dłoń. - Ale wiesz, moje dziecko, twoi rodzice nie chcieliby wcale, żebyś przez resztę życia chodziła w żałobie.

- Wiem, Wasza Królewska Mość.

Cecily wielokrotnie to sobie powtarzała.

- Ostatnie lata były trudne, kochanie - mówiła dalej królowa - ale życie trwa dalej i idzie naprzód. Musimy dopilnować, byś wyszła za mąż. Obawiam się, że zbyt długo z tym zwlekaliśmy. A na samotną kobietę czyhają różne niebezpieczeństwa...

Czyżby królowa obawiała się o moją cnotę? - zadała sobie w duchu pytanie Cecily i głośno powiedziała:

- Zapewniam Was, Najjaśniejsza Pani, że nie macie się czego obawiać.

- Tak. Wiem, że nie zrobiłabyś niczego, co rozczarowałoby twoich rodziców.

- Ależ, Wasza Królewska Mość! Nie zrobiłabym niczego takiego. Podobnie jak lady Isabella nie zrobiłaby nigdy czegoś, co by rozczarowało Jego Królewską Mość i Was, pani.

Królowa uśmiechnęła się, jednak uśmiech zaraz zniknął z jej twarzy.

- Król był długo zajęty sprawami państwowymi, ale teraz myśli już o mężu dla ciebie.

- Jestem gotowa poślubić człowieka, którego wybierze dla mnie Najjaśniejszy Pan, Wasza Królewska Mość.

Cecily starała się przybrać wyraz twarzy, z którego dałoby się wyczytać zdecydowanie i nadzieję. Jednak prawda była taka, że pragnęła wyjść za człowieka, którego śmierć nie pograży jej w długotrwałym smutku. Nie byłaby w stanie znieść kolejnej straty.

Królowa przez dłuższą chwilę patrzyła na nią uważnie i w milczeniu.

- Co sądzisz - powiedziała w końcu - o lordzie Coucy?

Cecily ogarnęło przerażenie. Przecież to niemożliwe, pomyślała, żeby król zamierzał uczynić Coucy'ego czy któregokolwiek innego Francuza moim mężem i panem zamku Losford.

- Wydaje się... - odrzekła, ważąc starannie słowa - ...być nad wyraz rycerskim

wojownikiem...

- Isabella - powiedziała królowa z westchnieniem - usilnie nakłania Edwarda, by zwrócił lordowi Coucy jego znajdujące się w Anglii rodowe posiadłości.

- Ależ, Wasza Królewska Mość, czy Francuzowi należy oddawać ziemię, w której obronie mój ojciec oddał życie?!

- Czasami, moja droga - odrzekła łagodnym tonem królowa - musimy postępować wbrew temu, co podpowiada nam serce. Musimy też umieć wybaczać.

- Tak. Oczywiście, Najjaśniejsza Pani - zgodziła się posłusznie Cecily, odnawiając w duchu przyrzeczenie, że nie będzie płakać.

Jednak jak ma wybaczyć tym, co pozbawili życia jej ojca? Nie, to się nigdy po niej nie pokaże!

- Posłuchaj, Cecily - mówiła dalej królowa. - Chciałabym, żebyś teraz, w okresie świąt, towarzyszyła stale Isabelli.

Aha, pomyślała Cecily. Królową tak naprawdę martwi nie moje zachowanie, tylko postępowanie własnej córki.

- Zamierzam to uczynić, Wasza Królewska Mość - odrzekła. - Będzie to tym łatwiejsze, że księżniczka bardzo chce, żebym wraz z nią dobrze się bawiła w te święta, ostatnie przed moim zamążpójściem.

- Obawiam się, że trzymając ją przy sobie, postępowaliśmy samolubnie.

- Ale ona jest z tego zadowolona. Wiem o tym, Wasza Królewska Mość. Naprawdę.

- Jednakże... jest sama.

Cecily milczała, nie znajdując na to odpowiedzi. Pośród ciszy, która teraz zapadła, królowa zdawała się pogrążona w myślach. Być może myślała o przymierzach, które nie doszły do skutku, lub o straconych możliwościach. Gdyby bowiem Isabella wyszła za króla Kastylii albo księcia Flandrii czy króla Czech, to może król Edward zasiadałby teraz na francuskim tronie.

- Chodź - przerwała w końcu ciszę królowa. - Pokażę ci Wieżę Różaną. Malowidła nie są tam jeszcze ukończone, ale już wygląda wspaniale.

Królowa w Wieży Różanej nie mówiła już o Isabelli, jednak Cecily opuściła jej komnaty, mając pewność, że słusznie się martwiła. Okazało się bowiem, że musi chronić nie tylko Isabellę, ale także dopilnować, żeby w ręce Coucy'ego nie dostała się ani piędź angielskiej ziemi.

Ciekawe, czy Marc de Marcel był od początku wtajemniczony w plany Coucy'ego? - zadawała sobie Cecily pytanie. Czy naprawdę chciał nie dopuścić do tego, by Isabella i Coucy się do siebie zbliżyli? A może wręcz przeciwnie - postawił sobie za cel zniweczyć wszelkie jej wysiłki?

Zdecydowana się tego dowiedzieć, Cecily zaczęła szukać Marca w obrębie murów zamkowych. Znalazła go w psiarni, gdzie rozmawiał właśnie z opiekunem psów myśliwskich. Zanim tam weszła, wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. Wszystko, co było związane z polowaniem, przypominało jej o śmierci matki.

De Marcel, zobaczywszy ją, wstał, a psiarczyk ukłonił się i wycofał.

- Musimy porozmawiać - zwróciła się Cecily do Marca, gdy zostali sami. - Twój przyjaciel. Hrabia Coucy. Chce odzyskać położone w Anglii dawne dobra swej rodzi-

ny.

Marc zasępił się, słysząc te słowa.

- Przecież ma do nich prawo.

- Więc ty... wiedziałaś o jego zamiarach.

- Chęć odzyskania dawnych rodzinnych dóbr to nie jest przestępstwo.

- Czy ty także pragniesz potajemnie coś zagarnąć?

- Ja walczyłem za swego króla i swój kraj. Niepotrzebne mi angielskie ziemie.

- A jednak zabiliście mojego ojca!

Powiedziała to tak głośno że psy zaczęły ujadać i wrócił psiarczyk, by je uspokoić.

Wtedy Cecily dała znak zdumionemu jej słowami Marcowi, żeby wyszedł razem z nią na zewnątrz.

- Co miałaś na myśli, pani? - zapytał Marc de Marcel, gdy już się tam znaleźli.

- Ano to - odrzekła, starając się mówić spokojnym głosem - że moim zdaniem walczysz wystarczająco długo, by być tym, kto zabił mojego ojca.

- Mówisz o hrabim Losford?

- Nasze barwy to czerwień i złoto - powiedziała, podnosząc dumnie głowę. - A na naszej herbowej tarczy widnieją trzy romby.

Marc zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć, czy walczył z kimś, kto miał taki herb i takie barwy, ale pokręcił głową przecząco.

- Nigdy nie spotkałem go na polu walki.

- Został zabity przez Francuza.

Musiało tak być, bo przecież zginął na wojnie.

- A skąd ten Francuz był? Bo ja pochodzę z Doliny Oise.

- A jaka to różnica?

- Ludzie z Burgundii różnią się od mieszkańców Normandii czy Pikardii.

- W moich oczach się nie różnią. Ojciec zginął z ręki jednego z was.

- Ale nie z mojej.

- Jednak ty, tak jak i ten zabójca, jesteście Francuzami.

- Tak samo jak wasz król. On sam tak przecież twierdzi. A nawet uparł się, by odebrać Francję jej prawowitemu władcy! - Marc krzyczał teraz, bo udzieliła mu się wściekłość Cecily. - Jeżeli chcesz, pani, zobaczyć zabójcę swego ojca, zwróć oczy na niego! Dostrzeż jego zachłanność! Jego żądzę władzy!

- Nie chcę słuchać tych oszczerstw! Nic nie wiesz, panie, o naszym królu. Nie znasz go.

Marc zacisnął zęby, a potem odetchnął głęboko, by opanować złość.

- Nie muszę go znać - powiedział. - Tacy są wszyscy. Królowie, chłopci. Nawet ci, co się chwala swoją rycerskością. Są brutalni i okrutni. I dbają tylko o siebie.

- Więc i ty taki jesteś! Czy się mylę, panie?

Na jego twarzy pojawił się dziwny, bolesny grymas. Marc wyglądał teraz jak ktoś, kto stracił coś bardzo cennego.

- Nie mylisz się, lady Cecily.

Cecily nareszcie miała potwierdzenie. Stał przed nią człowiek, który pogwałcił wszelkie znane jej reguły. Jeżeli nawet nie zabił jej ojca, to zabijał innych.

- Mam rozumieć - powiedziała - że wiedziałaś, że Coucy chce wykorzystać księżniczkę, żeby odzyskać dawne dobra jego rodu?

- Czy jest to grzech równy wszystkim innym, o które mnie oskarżacie?

- Człowiek, który nie kieruje się zasadami w kwestiach błahych, nie będzie się nimi kierował także, gdy chodzi o rzeczy wielkie.

- A więc mam uważać naszą umowę za nieważną?

Zaprzagnęła powiedzieć „tak”, a potem odwrócić się do niego plecami i nigdy więcej z nim nie rozmawiać. Ale królowa prosiła ją o pomoc, a ten człowiek zdawał się być jej jedynym sprzymierzeńcem.

- Nie - odparła. - Bo ja nie mogę pozwolić...

Urwała, choć Coucy nie sprzeciwiał się jej ani nie zadawał pytań. Patrzył jej prosto w oczy i czekał.

I nic nie wypełniało panującej między nimi ciszy.

Po kilku chwilach Cecily odetchnęła głęboko. De Marcel nie przyznał ani nie zaprzeczył, że zamiary Coucy'ego były mu znane. Ale w końcu to, czego chciał Coucy, nie miało znaczenia. Królową obchodziły tylko pragnienia Isabelli.

- Czy myśl o romansie lady Isabelli z lordem Coucy naprawdę jest tobie wstrętna? - spytała w końcu.

- Tak - rzucił bez zawahania.

- A zatem to nas łączy i wyznacza nam wspólny cel.

- I tylko to. Nic więcej - odrzekł jej na to.

Za ich plecami rozlegało się teraz szczekanie psów, które psiarczyk wypuścił z psiarni, żeby się wybiegały.

Cecily pomyślała, że przebywała dziś w towarzystwie kawalera de Marcela stanowczo zbyt długo.

- A więc do wieczora - powiedziała i odprawiła go skinieniem głowy, po czym, nie oglądając się, poszła w stronę Okrągłej Wieży.

Marc odprowadził ją wzrokiem, starając się opanować złość. Próbował się oszukiwać, że to na nią jest wściekły, ale prawda była taka, że to jego postęпки wyprowadziły go z równowagi.

Więc i ty taki jesteś! - przypomniał sobie jej słowa.

Tak! Był taki. I stąd wiedział, jacy są inni.

Może nie zabił ojca Cecily, ale zabił wielu innych ludzi. Był jednak wojownikiem, a czego innego można się spodziewać po wojowniku podczas wojny?

Nie zmienia to faktu, że mężczyźni, których pozbawił życia, mieli żony, matki i córki, o czym nie myślał, kiedy walczył. Dopiero teraz, patrząc w oczy Cecily, uświadomił sobie, ile złych czynów w życiu popełnił.

Czy żałował? Nie, spełniał tylko swój obowiązek. Jakże mało wiedziała o mężczyznach i o tym, co działo się podczas wojny. Nikt na polu bitwy nie kieruje się kodeksem rycerskim. Nieważne, czy szlachetnie urodzeni, czy nie, jednakowo dopuszczają się nikczemności.

Ale ona nie mogła przecież o tym nic wiedzieć. Życie dworskie ma niewiele wspólnego z szarą, żołnierską codziennością. Poza murami zamku obowiązują inne zasady. W jej świadomości kodeks rycerski nakazuje szanować cnotę szlachetnie urodzonej damy, lecz nic nie wspomina o córkach lub żonach poddanych chłopów.

Kiedy wraz z Enguerrandem Marc brał udział w tłumieniu chłopskiego powstania

zwanego Żakierią, był świadkiem okropieństw, których dopuszczali się zarówno rycerze, jak i zbuntowani chłopci. Owe okrucieństwa śniły mu się do dzisiaj.

Teraz jednak panował pokój, a mimo to znowu był zmuszony postępować niezgodnie z własnym sumieniem. Tym razem musiał kłamać, aby chronić przyjaciela. Czy to było mniejszym grzechem?

Cecily szła wraz z księżniczką do Wielkiej Sali, nie mając pewności, czy Marc jej pomoże. Zważywszy na jego niechęć i ich kłótnię, wcale nie byłaby zaskoczona, gdyby odmówił.

- Czy go widzisz? - szepnęła Isabella, zanim przekroczyły próg.

Nie było potrzeby pytać, kogo ma na myśli.

- Nie, Wasza Wysokość.

Isabella westchnęła, po czym przywołałszy na usta uśmiech i przyjąwszy królewską postawę, weszła do sali. Wtedy zjawili się obaj Francuzi. Coucy, który czuł się wśród szlachty zupełnie swobodnie, wszedł natychmiast między zgromadzonych dworzan. Natomiast de Marcel stanął z boku, pod oknem, i przybrał minę, która mówiła, że z pewnością nie życzy sobie towarzystwa.

Cecily z westchnieniem ruszyła w jego stronę. Czy to możliwe, że ten człowiek będzie zdolny zabawiać księżniczkę? - zadawała sobie pytanie. Gdy się zbliżyła i zobaczyła jego ponurą minę, spodziewała się, że powita ją złośliwą uwagą. Tymczasem złożył przed nią ukłon.

- Jesteś gotowy? - zagadnęła, uśmiechając się dla utrzymania pozorów.

Wzruszył ramionami, nie zdradzając najmniejszego zapału. Nie zraziła się i podjęła kolejną próbę.

- Co powiedział lord Coucy? - zapytała. - Co mówił o księżniczce?

- On nie rozmawia ze mną o kobietach - odparł. - A poza tym sądzę, że ty, pani, za bardzo się martwisz.

Królowa także? - pomyślała Cecily, lecz nie powiedziała tego na głos.

- Pozwól zatem, że coś ci pokażę, panie. Widzisz ją? O tam?

Marc podniósł głowę. Czujnie. Tak jak to czynił przed bitwą.

- A teraz patrz uważnie. Widzisz, jak rozgląda się po sali? Nawet wtedy gdy z kimś rozmawia?

Kiwnął potakująco głową.

- Szuka go.

Gdy padły te słowa, Coucy znalazł się w zasięgu ich wzroku. Księżniczka od razu ruszyła w jego stronę.

- Nasz plan - szepnęła Cecily. - Dałeś słowo.

- Zostań tutaj, pani - odparł tylko i ruszył ku swojemu przyjacielowi, aby zdążyć przed księżniczką.

Szepnął mu też zaraz coś do ucha i obaj spojrzeli w stronę Cecily. Coucy uśmiechnął się szeroko i kiwnął głową. W mgnieniu oka znalazł się przy Cecily i zaczął ją bawić dowcipną rozmową. Przez to gdy zaczęła grać muzyka, znajdował się zbyt daleko od księżniczki, by poprosić ją do tańca.

Do Isabelli natomiast podszedł Marc. Ukłonił się nisko i poprowadził ją w krąg tańczących. Wszystko to odbyło się wprost zadziwiająco zgodnie z planem Cecily.

Zamiast się cieszyć, ogarnęło ją jednak dziwne uczucie. Zauważyła, że Marc tańczy z większą gracją i uśmiecha się z większą swobodą niż wtedy, gdy jego partnerką była ona sama.

To nie może być zazdrość, upomniała się w duchu. Na pewno nie. To ulga, bo postąpił zgodnie z tym, o co go prosiłam.

- On jest *un bel homme, n'est-ce pas?*

Na myśl, że Coucy dostrzegł jej błędzące spojrzenie, policzki Cecily spłonęły rumieńcem.

- Nie zauważyłam - rzuciła z pozoru obojętnie.

Kłamała. Zauważyła urodę Marca i dziwiła się, że sprawia on wrażenie bardziej swobodnego w towarzystwie księżniczki niż w jej własnym.

- On nie czuje się tutaj dobrze.

Nie czuje się dobrze? - zdziwiła się w duchu. Nie czuje się dobrze wśród wszystkiego, co ją otaczało przez całe jej życie?

- Dlaczego?

Jeżeli będą mówili o Marcu, Coucy nie będzie myślał o Isabelli. Stanowiło to jedyny powód, dla którego zadała to pytanie.

- A dlaczego człowiek jest taki, jaki jest? - odrzekł Coucy szybko. - Może z powodu urodzenia i własnych przeżyć? Dlaczego ty, piękna lady Cecily, jesteś właśnie taka, a nie inna? Dlaczego jesteś kobietą *très belle*, a jednak niezamężną?

Zrozumiała teraz, w jaki sposób ten człowiek oczarował Isabellę. Jego słowa dowodziły, że potrafi równocześnie nie zdradzić przyjaciela i powiedzieć komplement.

- Król ma ważniejsze sprawy na głowie od mojego ślubu - oznajmiła, mówiąc sobie równocześnie w duchu, że nie będzie się przeciw temu człowiekowi zwierzała, choćby jego maniere były najbardziej dworne. - A ty... dobrze znasz... kawalera de Marcela?

- Prawie od urodzenia. Marc de Marcel przybył na zamek mego ojca, gdy miał siedem lat. A ja wtedy byłem dwuletnim brzdącem.

Jeszcze kilka niewinnych pytań.

- A więc twój ojciec wziął go na wychowanie?

Coucy pokręcił głową.

- Mój ojciec zmarł w tym samym roku, w którym Marc u nas zamieszkał. Mój wuj, który został moim opiekunem, znajdował się daleko. Marc był dla mnie jak starszy brat... Jego rodzice już wtedy nie żyli.

Na dźwięk tych słów Cecily ogarnęło współczucie. Tak, współczuła mu, choć wcale tego nie chciała. Bowiem nie pragnęła pokrewieństwa uczuć z de Marcelem. Ani z żadnym innym Francuzem. Jednak to, że on przeżył taką stratę jak ona sama, zmieniło go nagle w jej oczach z wroga w ludzką istotę.

- Jak on to zniósł? Jak zdołał przeżyć stratę ich obojga?

Coucy ruchem głowy wskazał drugi koniec sali.

- No cóż... *On fait ce qu'on doit.*

Człowiek czyni to, co musi. Dobrze wiedziała, co to znaczy.

Tymczasem taniec dobiegł końca. Lord Coucy uklonił się Cecily z wielką gracją i poszedł prosto ku Isabelli.

Cecily nie była długo sama, bo zaraz zbliżył się do niej de Marcel. A gdy to zrobił,

ona omal nie wypowiedziała słów współczucia, omal nie przypomniała mu smutku, o którym on być może dawno zapomniał. Zwróciła się ku niemu i już miała przemówić... Powstrzymała się jednak, widząc, że z jego twarzy zniknął uprzejmy uśmiech, a w jego miejsce pojawił tak dobrze jej znany gniewny wyraz.

- Przez cały czas... gdy dotrzymywałem waszej księżniczce towarzystwa - odezwał się - chciała mówić jedynie o Enguerrandzie.

Dreszcz, który przeszedł Cecily na dźwięk tych słów, nie był spowodowany zimowym chłodem. Nie. Uświadomiła sobie, że sama, przebywając z Enguerrandem, mówiła wyłącznie o Marcu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Powróciwszy do Cecily po swym obowiązkowym tańcu z księżniczką, Marc obserwował przez kilka chwil karła odgrywającego rolę jednego z błaznów na królewskim dworze. Patrzył, jak ten mały człowieczek paraduje po sali – dumnie i z miną udzielnego władcy sprawującego rządu nad całym będącym w zasięgu jego wzroku światem. Władcy, którym wkrótce miał naprawdę zostać, jako że był to okres świątecznych zabaw.

Następnie wzrok Marca powędrował w stronę księżniczki i Coucy'ego, który teraz z właściwym sobie urokiem czarował lady Isabellę podczas gry w szachy.

– Oni nawet nie zadają sobie trudu, żeby udawać, że grają – powiedziała cicho Cecily, nie odrywając wzroku od księżniczki. – Wpatrują się w siebie, tak jakby wokół nich nie było nikogo.

Marc spojrzał na Enguerranda, który przestawił na szachownicy jeden ze swoich pionków, odsłaniając swego konia i wystawiając go na atak ze strony królowej Isabeli.

Głupi ruch czy mądry? – zapytał się w duchu i zaraz sam sobie odpowiedział. Znając Enguerranda – mądry.

– Leży ci na sercu jego dobro, prawda, panie?

– Co takiego?

Zaskoczony tym pytaniem, spojrzał na lady Cecily i natychmiast zorientował się, że ona, zamiast patrzeć na parę siedzącą nad szachownicą, uważnie się jemu przygląda.

– Leży ci na sercu dobro lorda Coucy, prawda? – powtórzyła. – Jesteście sobie bardzo bliscy. Troszczysz się o niego zapewne tak samo, jak ja o lady Isabellę.

Tak, zgodził się w myślach, sędzę, że tak jest. Przecież gdyby było inaczej, to czy dałbym się wplątać w całą tę historię?

– Lord Coucy swoim postępowaniem wystawia świadectwo nie tylko sobie, ale także i mnie – odparł.

– Czy dlatego że obaj jesteście Francuzami?

– Dlatego że on był moim uczniem.

Tak, Enguerrand był jego uczniem. I to takim, z którego on jako nauczyciel mógł być dumny.

– Nie zauważyłam, byś potrafił tańczyć z taką gracją jak on i tak jak on pięknie śpiewać.

– Uczyłem go sztuki wojennej, a nie tańca i śpiewu.

Nie uczył go też dworskiej sztuki prowadzenia intryg, bowiem ta była dla niego czymś całkiem obcym. Wojna była od niej znacznie łatwiejsza. Na wojnie człowiek miał cel jasno wytyczony. Wiedział, kto jest jego przyjacielem, a kto wrogiem. Świat jawił się w czarno-białych barwach.

– Enguerrand potrafi być miły. Przychodzi mu to z łatwością.

- A tobie nie - powiedziała twierdząco.

Marc dobrze o tym wiedział, ale zamiast przyznać jej rację, zachnął się. Nie powinien, ale poczuł się dotknięty, choć nie zważał na to, co sądzą o nim Anglicy...

Tymczasem... Jej zapach tak przyjemnie na niego działał. Przywodził na myśl wiosenne, rosnące na nadmorskich klifach, kwiaty po deszczu. Imponowała mu ta niebezpieczna mieszanina smutku i siły, wyniosłości i troski o drugiego człowieka, którą dostrzegał w Cecily.

- Mnie nie - przyznał w końcu. - Ja jestem człowiekiem wojny.

Spojrzeni na drugi koniec sali. Isabella przywołała gestem błazna, pochyliła się ku niemu i zaczęła mu coś szeptać do ucha. Potem, gdy błazen się oddalił, uśmiechnęła się nieśmiało do Enguerranda.

- To dobrze nie wróży - powiedziała do Marca ściszym głosem Cecily.

- Co masz na myśli, pani?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, błazen wskoczył na stojący na podwyższeniu stół i dał znak minstrelom, którzy zagrali krótko, uciszając salę.

Wówczas Isabella wstała i klasnęła w dłonie.

- Ogłaszam - oznajmiła silnym głosem - że od tej chwili rządzi nami błazen. I macie mu być posłuszni, tak jak posłuszni bylibyście królowi!

Rozległy się stłumione, nieco wymuszone śmiechy, lecz nikt nie zaprotestował, bo błazen miał błogosławieństwo księżniczki. I wszystko to stanowiło nieodłączną część bożonarodzeniowych zabaw.

- Ale... - powiedział Marc, patrząc na Cecily - ...skoro błazen należy do lady Isabelli...

Cecily kiwnęła poważnie głową - na znak, że jego domysły są słuszne.

- ...to jej życzenia będziemy spełniać - dokończyła.

- A teraz - zawołał błazen - każdy rycerz bierze stojącą obok niego damę w ramiona!

Wszyscy zgromadzeni w Wielkiej Sali wybuchnęli śmiechem, a Marc doszedł do wniosku, że błazen odgaduje pragnienia wielu par. A zwłaszcza jednej. Bowiem w drugim końcu sali Isabella i Enguerrand, uszczęśliwieni, usłuchali rozkazu.

- Musisz mnie objąć - szepnęła Cecily. - Bo Isabella nas głośno upomni.

Marc nie był pewien, czy Isabella, stojąca teraz w ciasnych objęciach lorda Cocucy, w ogóle na nich spojrzy. Ale wiedział, że to nie ma najmniejszego znaczenia. Objął Cecily w pasie i przyciągnął do siebie z nadzieją, że ona nie wyczuje, jak mocno bije mu serce.

Cecily tymczasem nie spojrzała mu w oczy. Nie kusiła go swymi rozchyłonymi ustami. Odwróciła głowę i patrzyła na zatłoczoną salę.

- Widzisz ich? - zapytała szeptem, dotykając prawie jego torsu piersiami.

Zacisnął zęby, żałując, że nie ma na sobie zbroi, a potem rozejrzał się i pokręcił przecząco głową.

Cecily westchnęła.

- Domyślam się - powiedziała - że gracie w tę grę z jeszcze większą niechęcią niż ja.

Potwierdził nieznacznym skinieniem, choć prawda była inna. Trzymając w ramionach tę femme Anglaise, nie czuł żadnej niechęci. Wręcz przeciwnie. Nagle stało się

mu obojętne, czy pochodzi ona z rodu Plantagenetów czy Valois. Liczyło się tylko pożądanie i gdyby nie była córką hrabiego Losford, pocałowałby ją.

- Obróć się tak, żebym mogła widzieć salę - szepnęła.

Już miał to zrobić, gdy przeszkodził mu głos błazna.

- Niech nikt się nie rusza!

Cecily podniosła wzrok i patrzyła teraz Marcowi prosto w oczy.

- Widzisz ich? Jakkolwiek? Czy sądzisz, że...

Błazen przebiegł po stole.

- Teraz możecie się poruszyć - zawołał.

Marc odetchnął i cofnął się o krok, a błazen wydał kolejny rozkaz:

- Stańcie teraz do siebie plecami i szepcie się rękami zgiętymi w łokciach!

Do uszu Marca dobiegł śmiech Enguerranda i wtórującej mu księżniczki. Zaraz zobaczył, że oboje opierają się o siebie plecami, a on bierze ją pod ramiona. Z tym swoim przeklętym uśmieszkiem.

Odwrócił się do Cecily plecami, zadowolony, że nie musi dłużej patrzeć na jej usta i opierać się pokusie. Zgiął łokcie i połączył się z nią zdecydowanym uchwytem. Naokoło nich stały pary z ramionami odciągniętymi do tyłu i wypiętymi w przód pierściami. Marc zamknął oczy i wyobraził sobie Cecily z dumnie wypiętą pierśią, gdy nagle usłyszał:

- Podskakujcie!

Zawahali się, ale zaraz udało im się równocześnie podskoczyć. Nie wszystkim parom powiodło się tak dobrze. Jedni poupadali na podłogę, inni jedynie się zakołysali, by złapać równowagę.

A wszystko to wśród gromkiego śmiechu.

Serce Marca biło coraz szybciej.

- Stop! Teraz panowie odwracają głowy w lewo!

Marc odwrócił głowę i dostrzegł nagi dekolt Cecily, a niżej przysłonięte materiałem sukni wzgórki jej piersi.

- Damy odwracają głowy w prawo!

Teraz wargi Marca niemal dotykały skroni Cecily, były tak blisko, że wystarczył nieznaczny ruch, by mógł złożyć na jej skroni pocałunek.

Naokoło rozbrzmiewał śmiech. Jedni śmiali się radośnie, a inni nerwowo. Marc zacisnął usta.

I zauważył, że Cecily zrobiła to samo.

- Czy nie dość - powiedział cicho - że zostaliśmy pokonani w bitwie? Musicie jeszcze nas w ten sposób upokarzać?

- Nie tylko wy, Francuzi, doznajecie upokorzenia podczas tej zabawy. Doznają go wszyscy jej uczestnicy.

- Teraz, panowie - zawołał znowu błazen - każdy z was szeptem powie jakiś sekret do ucha swojej damy.

Marcowi przemknęła przez głowę szalona myśl. Myśl o tym, że powie Cecily prawdę.

„Nie martwcie się, pani. Mieliście rację. Lorda Coucy nie interesuje księżniczka. On tylko chce odzyskać swoje położone w Anglii dobra. Cnota lady Isabelli jest bezpieczna.

Czy ona, usłyszawszy to, się uśmiechnie? Czy wtedy z jej twarzy zniknie wyraz z troskowania?

Nie. Ona wtedy zapłonie gniewem. Ujawni oszustwo Coucy'ego, sprawiając, że nie odzyska on ani piędzi swojej ziemi, a oni z Markiem stracą pozycję gości i wrócą do Tower.

- Nie słyszę was! - zawołał błazen. - Jeżeli nie chcecie zwierzyć się damie, wyjawicie swój sekret głośno, tak żeby wszyscy go usłyszeli!

Naokoło rozległ się szmer przyciszonych głosów. Trzeba koniecznie coś wymyślić, pomyślał Marc. Cokolwiek. Coś nieszkodliwego. Przecież ona nic o mnie nie wie.

- Nie znoszę pasternaku - wyszeptał szybko, bez zastanowienia, pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy.

Cecily zamrugnęła zaskoczona, a po chwili milczenia roześmiała się głośno i tak gwałtownie, że omal nie zgięła się w pół, ciągnąc jego rękę.

Marc nigdy nie słyszał tak szczerego i wesołego śmiechu. Cecily śmiała się serdecznie i śmiała się z niego.

- To nie jest wcale takie *comique* - powiedział bez przekonania, bo sam wybuchł śmiechem, który przypominał mu, jak to jest być dzieckiem.

- Nie będzie ci tak wesoło, pani, kiedy będziecie musieli wyjawić swój własny sekret.

- Ja nie mam sekretów - odrzekła za jego plecami zaczepnie.

- A teraz damy! Wasza kolej! - krzyknął błazen.

- Widzisz? - zatryumfował Marc, wiedząc, że nikomu nie wolno sprzeciwić się błaznowi.

- Po pierwsze, rozplećcie ręce i stańcie twarzami do siebie.

Marc się zawahał. Opuścili powoli ręce i obrócili się z ociąganiem. Cecily stała teraz ze spuszczonej oczami, bo wyjawiając sekret, nie chciała patrzeć Marcowi w oczy.

- Teraz obejmijcie się ramionami.

Spojrzała w górę i ich oczy spotkały się. Oboje czuli się skrępowani. Marc przez wełniane rękawy poczuł ciepło emanujące z jej ciała. Gdyby się trochę przysunął, jej piersi zetknęłyby się z jego torse, a wtedy...

- Teraz damy!

Głos błazna przywołał go do rzeczywistości.

- Każda z was ma powiedzieć swemu kawalerowi, co jest w nim najbardziej pociągające!

Cecily podniosła głowę, a Marc w jej ciemnozielonych, szeroko otwartych oczach dostrzegł zaskoczenie.

- A więc? - odezwał się szorstkim tonem. - Widzisz coś, co się wam podoba?

- Twoje włosy.

- Moje włosy?

Marc spodziewał się, że usłyszy coś, za co zazwyczaj można podziwiać mężczyznę; za siłę, waleczność i odwagę czy za biegłość we władaniu mieczem. Ale za włosy?

Zaskoczony, podniósł rękę i ich dotknął. Nigdy nie zwracał na nie uwagi ani tym

bardziej nie dotykał ich. A teraz poczuł ku swemu zdziwieniu, że są miękkie i lekko się kręcą...

- Jak to: moje włosy?

Wzruszyła ramionami.

- Musiałam coś powiedzieć. A na twoje włosy, panie, jako pierwsze padł mój wzrok - odrzekła, a Marc w tej samej chwili poczuł, że ktoś go kopie w goleń.

Błazen.

- Połóż rękę na jej barku, tam gdzie jej miejsce!

Usłuchał i powoli opuścił dłoń.

- A teraz damy! Niech każda położy rękę na tej części ciała swego kawalera, która jej się podoba!

Cecily zarumieniła się, a i Marc poczuł, że twarz mu płonie. Gdy podniosła rękę, by dotknąć jego skroni, wstrzymał oddech. Gdy jej palce zanurzyły się w miękkich, złotych, falujących włosach, z trudem stłumiła jęknięcie. Żar bijący z jego skroni zdawał się ogrzewać jej palce.

Byli bardzo blisko siebie. Cofnęła lekko dłoń, a jej palce przesunęły się po jego policzku, by potem obrysować kontur jego twarzy. Przez chwilę czuła się tak, jakby byli zupełnie sami. Widziała tylko Marca i gdyby błazen teraz zażądał, by wyjawiała swój sekret...

- Damy! Pochylcie się w przód! - rozkazał błazen.

Cecily usłuchała. Marc, ręką spoczywającą na jej barku, przyciągał ją do siebie.

- Bardziej!

Usłuchała ponownie. Podobnie jak Marc.

- A teraz, szeptem, każda z was powie swemu kawalerowi, co on ma zrobić.

- Pocałuj mnie - powiedziała Cecily, zanim zdążyła pomyśleć.

A Marc ją pocałował.

Otoczona jego ramionami, czując na ustach jego gorące wargi, poddała się czarowi chwili. Smakował francuskim winem i podobnie upajał. Wszystko wokół przestało mieć znaczenie. Zostali tylko oni, niczym para skrytych kochanków...

Naraz rozległy się śmiechy i czar przysł.

Cecily odsunęła się gwałtownie i przykryła usta dłonią, tak jakby pragnęła zetrzeć z nich dotyk i smak Marca. „Nie zrobiłabyś niczego, co rozczarowałoby twoich rodziców” - rozebrzmiały w jej głowie słowa królowej. Tymczasem, jako hrabina Losford, pocałowała francuskiego zakładnika na oczach całego dworu. Ile osób w sali to widziało?

Dały się słyszeć pełne zażenowania kobiece chichoty, którym zawtórował niski męski śmiech. Kilka dowcipnych dam kazało swoim kawalerom podskakiwać, śmiać się albo śpiewać, choć Cecily wcale tego nie zauważyła. Zauważyła natomiast, że niejedna para - tak jak ona i Marc - przerywa pocałunek.

I że to samo, z widocznym ociąganiem, czynią Isabella i Enguerrand.

Spojrzała znowu na Marca. Marszczył brwi, ale nie wiedziała, czy był zagniewany. Bo co do tego, że żałował, nie miała wątpliwości. Ona zresztą też tego żałowała - w żadnych innych okolicznościach nie mogłoby to się wydarzyć.

Jej rozmyślenia ponownie przerwał głos błazna.

- Teraz odsuńcie się od siebie!

Cecily powitała to polecenie z westchnieniem ulgi. I zrobiła krok do tyłu. Marc jednak nie poruszył się. Stał, nie odrywając wzroku od jej twarzy. Jego pierś wznosiła się i opadała jak po długim biegu, a wyraz twarzy był zarazem dumny i groźny.

- Przepraszam - powiedziała. - Tak mi przykro...

Była to prawda. Naprawdę było jej przykro. Nie mogło być inaczej.

- Nie powinnam...

Pokręcił głową.

- Co zamierzałaś powiedzieć, pani?

- Nie rozumiem... Kiedy?

- Chodzi mi o ten sekret, który miałaś mi wyjawić, zanim błazen zmienił rozkazy.

Zamierzałam powiedzieć, że chciałam, żebyś mnie pocałował... - pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno.

- Nie lubię polowań, zwłaszcza na dzika - odrzekła po chwili. Nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

Marc spojrział na nią zaskoczony.

- Dlaczego?

Temat był zbyt bolesny, by miała ochotę go poruszać.

- A dlaczego ty, panie, nie znosisz pasternaku?

Zrozumiał aluzję i zrezygnował z dalszych indagacji. Wzruszył ramionami, po czym oboje rozejrzeli się po sali. Błazen, zadowolony z siebie, wywinął kilka koziołków, a minstrele zagrali, dając tym samym znak, że zabawa się skończyła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Marc powiódł wzrokiem po sali, czując się jak rycerz zrzucony z konia w trakcie bitwy. Kiedy trzymał Cecily w ramionach, kiedy ją całował, zapomniał o całym otaczającym go świecie. I wcale mu się to nie spodobało. Nie mógł sobie pozwolić na utratę kontroli, zwłaszcza tutaj, w Anglii, pośród wrogów.

Postanowił w duchu, że będzie ostrożniejszy i bardziej skupi się na pomocy przyjacielowi.

- Gdzie lady Isabella położyła dłoń? - zagadnął cicho.

- Lepiej zapytaj - odrzekła lady Cecily ostrym tonem - gdzie lord Coucy położył swoją.

Marc mimowolnie zapatrzył się na jej usta, które przed chwilą całował... Odechnął zaraz głęboko i zacisnął wargi.

- Kłócimy się - powiedział po chwili - starając się bronić ich honoru. A tymczasem oni nas ignorują i wszem wobec oddają się przyjemnościom...

Cecily uśmiechnęła się niespodziewanie.

- Wybacz mi, panie - poprosiła. - Ja... nie zawsze jestem taka ostra.

- Nie wierz jej - dobiegł ich głos lady Isabelli, która właśnie do nich podeszła wraz z Enguerrandem. - Jest bardzo ostra. Gdy tylko zobaczyła cię, panie, podczas turnieju, życzyła ci, żebyś znalazł się w błocie.

- Ale to życzenie się nie spełniło. Lady Cecily musiała być bardzo rozczarowana.

Wypowiedziawszy te słowa, Marc spostrzegł, że na jej twarzy pojawia się na moment wyraz nienawiści. I... doznał ulgi. Łatwiej mu było radzić sobie z jej gorącą niechęcią niż z czułością.

Lady Isabella mówiła dalej:

- Przed nami trzy tygodnie świątecznych obchodów. I w tym okresie każdy z gości musi coś zrobić dla zabawienia pozostałych. Zaśpiewać, zatańczyć albo też wymyślić coś innego. Wiem, że ty pięknie śpiewasz - powiedziała do Enguerranda, zwracając na niego pełne zachwytu spojrzenie. - A ty, panie? - zapytała Marca. - Co potrafisz?

- Właśnie - włączyła się Cecily. - Jakie masz talenty, prócz talentu do zrzucania z koni młodzików?

- Ja - odrzekł Marc - zostawiam popisy śpiewacze innym.

- I bardzo ci za to jesteśmy wdzięczni - zażartował Enguerrand. - Bo masz głos jak skrzecząca żaba.

Isabella przyjęła ten żart ze śmiechem i powiedziała:

- Jestem pewna, że coś wymyślisz, panie.

- Już wiem! - zawołała Cecily, mierząc Marca od stóp do głów wzrokiem. - Zabawimy się w przebieranki.

- A za co lub za kogo się przebierzesz, *mon ami*? - zapytał Marca Enguerrand.

- To będzie niespodzianka - odrzekła szybko Cecily.

I na tym stanęło. Marc wprost nie mógł w to uwierzyć. Od razu pożałował, że dał się Coucy'emu namówić na przyjazd do Windsoru. Jako doświadczony wojownik znał dobrze zasady obowiązujące na polu bitwy czy podczas turnieju, jednak reguły rządzące dworskim światem były mu nieznane. Miał wrażenie, jakby stąpał po kruchym lodzie, który z każdym kolejnym krokiem mógł się pod nim załamać.

- Nie dam się traktować niczym należąca do minstrelki mała - powiedział gniewnym tonem do Cecily.

- Ależ nie martw się - odrzekła. - W przebraniu będziesz nie do poznania. Poza tym większości widzów nie będzie obchodziło, czyja twarz kryje się pod maską.

- Ale jak, w ciągu zaledwie tygodnia, mam wymyślić sobie przebranie? A także scenkę, którą będę musiał odegrać?

- Z moją pomocą - powiedziała z rozbrajającym przekonaniem.

- A jak długo trwa przygotowanie kostiumu?

- Bardzo długo. Ale my nie będziemy musieli swoich kostiumów przygotowywać. Jego Królewska Mość uwielbia przebieranki i urządzano je na dworze przez długie lata. Z pewnością uda się nam coś znaleźć.

Nazajutrz rano, gdy się już rozwidniło, Cecily znalazła się sam na sam z Markiem w wielkiej podziemnej sali prawie całkowicie wypełnionej drewnianymi skrzyniami. Zamierzali znaleźć coś, co podsunie im pomysł na scenkę, którą mieli odegrać podczas dworskiej zabawy. Zadanie okazało się trudne, bo skrzyń było mnóstwo, a w każdej kryła się ogromna liczba damskich sukien i rycerskich strojów.

W pewnej chwili Cecily znalazła męską pelerynę z kapturem, ozdobioną złocistym haftem przedstawiającym słońce.

Rozpoznała ją natychmiast i omal się nie rozplakała.

- Wiesz, pani, co to jest? - zapytał ją Marc.

- Wiem - odrzekła ze smutkiem. - Mój ojciec nosił kiedyś bardzo podobną. Zaprojektowano ją dla samego króla z myślą o turnieju. Reszta dworu nosiła stroje czerwono-zielone, ale rycerze najbliżsi królowi ubrani byli właśnie w takie peleryny, ozdobione złocistym słońcem.

- A... kiedy on zmarł? - zapytał Marc ostrożnie. - Mam na myśli twojego ojca.

Mówił tonem łagodnym, lecz mimowolnie sprawił jej przykrość. Przywołał bowiem dla Cecily bardzo bolesny temat.

- Ponad trzy lata temu - odrzekła. - W okresie Wielkiej Nocy.

Tak, ojciec zginął w czasie, który symbolizował tryumf życia nad śmiercią.

- Słyszałem, jak twoi rodacy mówią o Czarnym Poniedziałku. Czy to było wtedy?

Ona też o tym dniu słyszała. Szeptano o nim ze zgrozą.

- Mniej więcej - powiedziała, nagle zawstydzona faktem, że nie zna dokładnej daty. Tak bardzo wstrząsnęła nią wiadomość, że nigdy o nic się nie dopytywała.

- Jeżeli to się zdarzyło tamtego dnia, to nie sądzę, że twój ojciec, pani, zginął z ręki jakiegoś Francuza. Bardziej prawdopodobne jest, że zginął z ręki Boga.

Te słowa przypomniały Cecily, że król Edward wyraził kiedyś podobną opinię. Jego zdaniem sam Bóg zabrał w Czarny Poniedziałek jego bliskiego przyjaciela, nakazując mu w ten straszliwy sposób zakończyć kampanię. Nie zamierzała jednak o tym rozmawiać z jakimś Francuzem.

- Bóg decyduje o śmierci każdego człowieka - powiedziała po chwili milczenia, po czym zmieniła temat, wskazując drugi koniec pomieszczenia. - Pójdź teraz tam, panie - poleciła Marcowi - a ja poszukam w skrzyniach tutaj.

Marc usłuchał, oddalił się powoli, a ona nie odprowadziła go wzrokiem.

- Lady Cecily, zobacz! - zawołał Marc z drugiego końca pomieszczenia i podniósł w górę dwa drągi, na których zatknięte były nieco sfatygowane końskie łby z materiału. - Co to jest? Dziecięce zabawki?

- Tak - potwierdziła z uśmiechem Cecily, podchodząc bliżej. - To zabawki dla dzieci. Ale używano ich także podczas dworskich zabaw. Nam też się mogą przydać - dodała, gładząc jedną ze szmacianych końskich głów, której brakowało jednego ucha.

- Koni używa się podczas bitwy.

- Nie, bitwy nie zainscenizujemy, bo do niej potrzeba wielu jeźdźców. A nas jest tylko dwoje. Już wiem! Urządzimy pojedynek.

Marc się rozpromienił.

- Pojedynek! To coś, na czym się znam - powiedział tak, jakby już w tej chwili był gotów stanąć do walki.

- Nasz pojedynek musi być komiczny - oznajmiła Cecily. - Król lubi się śmiać podczas świątecznych zabaw.

Uklękła przed otwartą skrzynią i przekonała się, że Marc odkrył prawdziwy skarbiec - pełen starych szat i masek, wśród których znajdował się między innymi duży łeb królika.

- Zwierzęta! - zawołała Cecily. - To będzie pojedynek zwierząt!

Wspólnie wyciągnęli ze skrzyni jeszcze dwie głowy, a Cecily wzięła jedną z nich.

- Która dla ciebie? - spytała.

- Na pewno nie królik.

- No to czym chcesz być?

Cecily trzymała teraz dwie głowy, jedną w prawej ręce, a drugą w lewej.

- Wybieraj.

Marc spoglądał niepewnie, to na jedną głowę, to na drugą.

- To jest jelen - domyślił się, wskazując jej lewą rękę, w której trzymała brązową głowę z rogami. - Ale to? Co to jest?

- Koza?

- Nie chcę być ani królikiem, ani kozą.

Założył ręce na piersi. Gestem znamionującym nieustępliwość.

- Zachowujesz się jak istny osioł.

- Osioł to zwierzę powolne, które nie poddaje się rozkazom.

Uniosła brwi.

- No właśnie - powiedziała zniecierpliwiona. - Skoro nie chcesz mojej pomocy, to rób sobie, co chcesz. Możesz nawet stanąć przed wszystkimi bez przebrania i zaskrzeczeć jak żaba. Mnie to już nie interesuje.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła ku drzwiom.

- Zaczekaj - odezwał się po krótkim wahaniu, ale Cecily nie zatrzymała się.

- Zaczekaj! - zawołał ponownie, tym razem głośniej. - Czy chcesz mi pomagać tyl-

ko wtedy, kiedy słucham twoich rozkazów?

Odwróciła się gwałtownie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie zapytałaś mnie ani razu o zdanie.

- Zapytałam. Ale tobie nic z moich propozycji się nie podobało.

- Muszą być jeszcze inne możliwości.

- Nie mamy już czasu, by ich szukać. Tym bardziej że ty nigdy dotąd nie bawiłaś się w przebieranki i musisz się jeszcze wiele nauczyć.

- To prawda. Ale chyba z tego powodu nie muszę być osłem? - uśmiechnął się wreszcie. - Choć Enguerrand nieraz tak mnie nazywał.

Cecyli próbowała, ale nie zdołała powstrzymać śmiechu.

- Kimże ja jestem, by spierać się z lordem Coucy?

Wciąż siedząc na podłodze wśród odrzuconych kostiumów, Marc podniósł w górę dwie zwierzęce głowy.

- Wybieram jelenia - powiedział z westchnieniem. - I co teraz?

Cecyli uśmiechnęła się.

- Teraz - powiedziała - wymyślimy scenkę, którą odegramy.

I która, dodała w myśli, nie skończy się tak, jak spodziewa się kawaler de Marcel.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdy Marc wchodził do Wielkiej Sali, miał na sobie głowę jelenia, ale czuł się jak osioł. Pocieszał się tylko, że jego twarz jest całkowicie zakryta i dzięki temu nikt go nie rozpozna.

Resztę jego ciała skrywała lekka drewniana konstrukcja imitująca wierzchowca w wielobarwnym czapraku. Konstrukcja ta chwiała się i chygotała z każdym jego krokiem, więc udawanie, że jedzie konno, Marcowi przychodziło z tak wielkim trudem, że zaczął żałować, że nie zgodził się raczej zatańczyć albo zaśpiewać.

Rozejrzał się po sali, patrząc przez otwory w głowie jelenia. Lady Cecily stała w drugim jej końcu, w masce królika i ubrana w opończę była nie do rozpoznania. A gdy zrobił niepewny krok do przodu, także ruszyła z miejsca, powoli i majestatycznie.

Marc zrobił drugi krok, a lekka drewniana konstrukcja imitująca jego konia zakłótyła się niczym łódź i zderzyła z czymś, czego nie widział. Na sali rozległy się śmiechy. Marc w przypiływie irytacji ruszył zdecydowanie do przodu, a w tej samej chwili dał się słyszeć trzask łamanego drewna. On jednak zignorował to i parł nadal naprzód, ciągnąc za sobą odłamany kawałek swego „wierzchowca”.

W następnej chwili zderzył się z Cecily. Poruszała się szybciej, niż się umówili, i zamiast z wdziękiem go minąć, wbiła głowę swego konia w jego uszkodzoną drewnianą konstrukcję i zniszczyła ją prawie całkowicie.

Zaskoczony siłą jej ataku, Marc stracił równowagę i padł na ziemię niczym rycerz strącony podczas prawdziwego pojedynku z prawdziwego konia. Oszołomiony, ściągnął z głowy maskę jelenia i przekonał się, że stoi nad nim nie hrabina Losford, tylko sir Gilbert. I że to sir Gilbert jest jego pogromcą.

Młodzieniec zerwał z głowy maskę królika i z rękami uniesionymi w geście zwycięzcy, tryumfował. Nie mógł się wprost nacieszyć swoją zemstą. Marc, potłuczony i z bolącym kolaniem, nie bardzo mógł się podnieść o własnych siłach, zatem Gilbert, z szerokim uśmiechem, wyciągnął do niego rękę, by mu pomóc.

- Jesteśmy kwita - powiedział.

Marc przyjął jego pomoc, a gdy stanął wreszcie na nogach, uścisnęli sobie dłonie przy wtórze ogólnego aplauzu.

- To ona to zaplanowała? - zapytał Marc w chwilę później, gdy, kulejąc, opuszczał wraz z Gilbertem scenę.

- Nie powinienem był jej na to pozwolić - odrzekł sir Gilbert, unikając jego wzroku.

- A ja nie powinienem był traktować naszego pojedynku tak poważnie.

- Ale okazaliście się lepsi ode mnie, panie - przyznał sir Gilbert. - Daliście mi lekcję, dzięki której kiedyś być może uratuję swoje życie.

- Mnie także potrzebnabyła lekcja - odrzekł Marc. - Jestem wam wdzięczny za wybaczenie, panie.

Sir Gilbert wzruszył ramionami i podniósł na Marca wzrok.

- Ja wam wybaczyłem, ale ona nie - powiedział, a Marc, podążając wzrokiem za jego spojrzeniem, zobaczył, że lady Cecily właśnie wychodzi z Wielkiej Sali.

Cecily obudziła się nazajutrz rano, żałując, że wczoraj naraziła Marca na tak wielkie upokorzenie. Wstydziała się tego. Teraz nie rozumiała, jak mogła sądzić, że upokarzając de Marcela, sprawi, że śmierć ojca będzie mniej bolesna.

Rodzice nakazywali jej zawsze strzec honoru rodu, a tymczasem ona ponownie dopuściła do tego, że jej emocje wzięły górę nad obowiązkiem. Marc był dumnym wojownikiem przebywającym w niewoli, a ona upokorzyła go, kierując się małostkowymi, osobistymi motywami.

Zasługiwał oczywiście na karę - za to, co uczynił Gilbertowi. I za to, że ją pocałował.

Jednak jej to nie usprawiedliwiała. Gdyby jej przyszły mąż dowiedział się o tej mistyfikacji, z całą pewnością zacząłby się zastanawiać, czy hrabina Losford zasługuje na tytuł i pozycję odziedziczone po przodkach.

Odrzuciła nakrycie, wstała z łóżka i zaczęła się ubierać. Obiecała sobie stanowczo, że dziś poprosi królową, by zwolniono rzeźbiarza z prac w Windsorze i pozwolono mu na powrót do Losford, by dokończył prace.

Jak postanowiła, tak zrobiła. Podeszła do królowej Filipy, gdy po zakończeniu koncertu minstrelki w jej apartamentach inne damy dworu już się oddaliły. I przedstawiła swoją prośbę.

- Pomówię z Edwardem - obiecała królowa. - I sędzę, że rzeźbiarz zjawi się w Losford zaraz po Święcie Trzech Króli. A tymczasem ty, moje dziecko, pamiętaj, że żałoba nie może trwać wiecznie. Baw się i korzystaj z życia.

- Tak, Najjaśniejsza Pani - odrzekła Cecily i przyszło jej na myśl, że za bardzo się martwi o swą przyszłość i o Isabellę. Zwłaszcza to ostatnie zmartwienie spowodowało na nią jedynie kłopoty. - A zatem - dodała, z wielkim wysiłkiem udając wesołość - co zostało zaplanowane na jutro?

Królowa odpowiedziała dopiero po chwili.

- Polowanie na dzika.

- Ale... - zająknęła się Cecily i chwyciła królową za rękę w obawie, że ugną się pod nią kolana - ...myślałam, że dzików już nie ma.

- Łowczy przysięga, że widział jednego w zeszłym tygodniu. A poza tym Edward uparł się, że podczas uczyty w dzień Bożego Narodzenia musimy mieć na stole łeb dzika.

Cecily kiwnęła głową, niezdolna wypowiedzieć więcej ani słowa.

Królowa zaś mówiła dalej:

- Co do mnie, to zamierzam pozostać w ciepłych komnatach i grzać się przy ogniu. A ty? Zostaniesz ze mną, prawda?

Cecily jeszcze przed śmiercią matki nie lubiła polowań, a po jej śmierci zaczęła wprost ich nie znosić. Nawet nie pamiętała, kiedy ostatnio była na polowaniu. Teraz także nie miała obowiązku w nim uczestniczyć. Wolałaby wraz z królową słuchać słodkiej muzyki i grzać się w ciepłe ognia na kominku, ale nie byłoby to zachowanie godne hrabiny Losford.

- Dziękuję za zaproszenie, Najjaśniejsza Pani. Ale... pojedę na polowanie.

- Jesteś pewna?

- Przecież Wasza Królewska Mość sama powiedziała, że powinnam się bawić i korzystać z życia - odparła, choć wiedziała, że to nie będzie zabawa.

Bała się polowania i dlatego właśnie musiała przezwyciężyć ten strach. Dla rodziców i dla siebie.

A także dla Marca, przed którym nie chciała okazywać słabości. Żadnej słabości.

Nazajutrz o świcie Marc stawił się na miejscu zbiórki przed polowaniem, gotowy spędzić dzień z bronią w ręku i wśród samych mężczyzn. Z dala od kobiet, dworskich zabaw i przede wszystkim hrabiny Losford.

Unikał jej od czasu tych nieszczęsnych przebieranek, które miały miejsce dwa dni temu. Młody Gilbert powiedział mu wtedy, że lady Cecily mu nie wybaczyła. No cóż, ale on także jej nie wybaczył. I nie miał jej nic więcej do powiedzenia.

Teraz gotował się na spotkanie z dzikiem. Nie będzie zmuszony do prowadzenia żadnych gier. Zasady znowu choć na chwilę staną się proste.

Marc dosiadł swego wierzchowca i w tej samej chwili dostrzegł przyjaciela, który uwijał się z uśmiechem wśród innych uczestników polowania.

W następnej chwili zbliżył się do niego król.

- Wy jesteście de Marcel - powiedział, zatrzymawszy obok niego swego wierzchowca.

Marcowi na moment zabrakło słów.

- *Votre Majesté* - odrzekł dopiero po chwili, nie opuszczając głowy.

- Postąpiłście honorowo podczas przedstawienia.

- Muszę przyznać, że dzięki lady Cecily - odrzekł Marc, czując, że palą go policzki mimo mrozu.

- Czy jesteście tak samo sprawni, polując na dzika, jak władając kopią i mieczem?

- Niektórzy mówią, że tak - odrzekł Marc, nie mogąc powściągnąć pełnego dumy uśmiechu.

- To świetnie - powiedział król. - Jedźcie zatem u mego boku.

To zaproszenie było wielkim komplementem. Marc przyłączył się do otaczającej króla Edwarda grupy panów z postanowieniem, że im wszystkim, nie tylko królowi, pokaże, co potrafią Pikardyjczycy.

Spodziewał się, że spędzi ten dzień tak, jak lubi najbardziej, z dala od kobiet i ich intryg, z dala od lady Cecily. Skarcił się w duchu i obiecał sobie jeszcze raz, że nie będzie o niej myślał... gdy nagle zobaczył ją wśród uczestników polowania.

Otulona, aby nie zmarznąć, posłała mu takie samo niechętnie spojrzenie jak w dzień turnieju, kiedy się poznali.

Marc zwrócił się do króla:

- Czy dwórki, Najjaśniejszy Panie, uczestniczą w polowaniach na dzika?

Król spojrział na hrabinę i zmarszczył brwi.

- Jej matka - powiedział - straciła życie podczas polowania na dzika i od tamtej pory nigdy nie widziałem lady Cecily na polowaniu.

Marc mimowolnie wyobraził sobie tę tragiczną scenę. I brutalność tego obrazu zaparła mu dech w piersi. Na polu bitwy nieraz widywał śmierć w jej najbardziej

odrażających postaciach. Ale tam ginęli mężczyźni, nie kobiety.

Marc przeprosił króla i zbliżył się do Cecily.

- Mówiłaś, pani, że nie lubisz polowań - zaczął.

- Nie potrzebuję na to twojego pozwolenia, panie.

- Z pewnością bym go nie udzielił.

- Czy mam przez to rozumieć, że Francuzki mają zwyczaj kryć się tchórzliwie za murami zamków?

Nie poczuł się urażony. Podejrzewał, że Cecily w ten sposób próbuje okiełznać swój strach i zaczął się obawiać, że to osłabi jej czujność, a to podczas polowania mogło się skończyć tragicznie.

- Król - zwrócił się do niej - powiedział mi o twej matce, pani.

Ściągnęła wodze tak gwałtownie, że jej koń szarpnął głową.

- To było prawie rok temu - odrzekła.

Marc widział, że to za mało, aby uleczyć głębokie i bolesne rany. Rozdarty, spojrział na króla, a potem na nią.

- Nie powinnaś, pani, jechać sama. Bez nikogo u swego boku.

Uśmiechnęła się z taką słodką serdecznością, jakiej u niej dotychczas nie widział. Tak jakby próbowała nagrodzić za okazaną jej troskę. Jednak gdy skinęła głową w stronę zbliżającego się jeźdźca, Marc uświadomił sobie, że jej uśmiech nie był przeznaczony dla niego.

- Sir Gilbert będzie ze mną - oznajmiła.

Młodzieniec uśmiechnął się z dumą i zajął miejsce u jej boku. Marc tymczasem poczuł się tak, jakby ponownie został rzucony na kolana.

- Opiekujcie się nią - powiedział i zawrócił swego wierzchowca, by przyłączyć się do króla.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Odprowadzając Marca wzrokiem, Cecily odetchnęła głęboko.

- Wszystko w porządku? - zapytał Gilbert, patrząc na nią z troską.

Kiwnęła głową, ale nie uwierzył jej.

- Nie miałem racji, nalegając, byś spróbowała się uporać z przeszłością - powiedział. - De Marcel ma chyba słuszość. Jest jeszcze na to wszystko za wcześnie. I na nagrobek, i na to polowanie. To naprawdę może poczekać.

Przez krótką chwilę miała ochotę zgodzić się z nim, ale zaraz nakazała sobie przejawić siłę charakteru hrabiny i pokręciła głową.

- Jestem gotowa - oznajmiła po krótkiej chwili milczenia.

Spotkanie z Markiem sprawiło, że się opanowała. Skoro nie mogła pomścić śmierci ojca, walcząc z bronią w ręku, pomyślała, mogę chociaż oddać hołd matce swoim zachowaniem.

Pokrzepiona tą myślą, położyła dłoń na ramieniu Gilberta.

- Nie martw się - powiedziała, wdzięczna mu za to, że jej towarzyszy. - Będę się trzymała na uboczu.

Dołączyli do niewielkiej grupy asystującej królowi, w której Cecily była jedyną kobietą. Znaleźli się w pobliżu monarchy, ale nie tak blisko jak Marc. Bo król, ku jej zdumieniu, dopuścił Marca na dwa kroki od siebie.

- Gdybym zwyciężył w pojedynku podczas turnieju, to ja znalazłbym się przy Najjaśniejszym Panu - powiedział cicho Gilbert.

Tymczasem Cecily, widząc Marca tak wyróżnionego, ku swemu zdziwieniu poczuła dumę, a nie gniew. Wtedy odwrócił się i popatrzył na nią zupełnie innym wzrokiem niż do tej pory. Naraz pochylił się w siodle i szepnął coś do ucha królowi, który spojrzał na nią ze zmarszczonymi brwiami.

- Cecily - zawołał. - Nie powinnaś dziś uczestniczyć w polowaniu. Wieje wyjątkowo zimny i przenikliwy wiatr.

Zacząła się mimowolnie zastanawiać, czy król okazał troskę sam z siebie, czy za sprawą Marca. Bez względu na to, jak było, to nie przez wiatr się o nią obaj martwili.

- Rycerz, który spada z konia - odrzekła - dosiada go ponownie, Najjaśniejszy Panie.

Po chwili milczenia król skinął głową i wszyscy jedną grupą ruszyli do Windsor-skiego Lasu.

Jechali kilka godzin, nie natrafiając na zwierzynę, aż Cecily zaczęła mieć nadzieję, że w końcu myśliwi przekonają się, że w Anglii nie ma już dzików. Z drugiej jednak strony królewski łowczy nie zaprowadziłby ich aż tak daleko, gdyby nie był pewien. Wiedział bowiem, podobnie jak cały dwór, że król życzył sobie, aby w dzień Bożego Narodzenia do Wielkiej Sali, na złotym talerzu, został wniesiony łeb bestii z jabłkiem w pysku.

Z każdą kolejną godziną jazdy Cecily czuła się coraz swobodniej. Niepokój już prawie całkiem ją opuścił. Nie martwiła się nawet tym, że Gilbert niecierpliwi się i raz po raz wyrывa do przodu.

W pewnym momencie Marc obejrzał się na nią, a ona pomachała do niego, tak jakby nie pragnęła w tym momencie być w żadnym innym miejscu na świecie. I jakby cieszyła się, że jest właśnie tutaj.

Jednak gdy usłyszała odległy skowyt psów, wstrzymała oddech. Oznaczał on, że zwierzyna została wytropiona. I że zaczyna się pogoń. Była to chwila, którą uwielbiała jej matka, i z pewnością tego tragicznego dnia ruszyła naprzód i dołączyła do myśliwych...

Uczestnicy zostawili Cecily z tyłu, a po chwili wjechali między drzewa i zniknęli jej z oczu. Stchórzyłaś, powiedziała do siebie. Nie jesteś godna nosić tytułu hrabiny.

Tętent kopyt i szcęk uprzęży ucichły. Cecily została sama wśród nagich drzew i rozjeżdżonego śniegu. Nadstawiła ucha i nasłuchiwała aż do chwili, gdy do jej uszu dobiegał jedynie szum wiatru poruszającego bezlistnymi gałęziami. Zsiadła z konia i przycupnęła na zwalonym pniu, otuliwszy się podbitą futrem peleryną.

Podniosła głowę i obejrzała się za siebie. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna zawrócić i spróbować po śladach z powrotem trafić do zamku. Tam mogłaby się przyłączyć do siedzących przy ogniu dwórek królowej i powiedzieć im, że jedynie ziąb zmusił ją do powrotu.

Kuląc się w podmuchach wiatru, spojrzała w górę. Zimowe niebo zaszło białymi chmurami. Zanosiło się na śnieg.

Tak, pomyślała, powinnam ruszyć w drogę powrotną, zanim śnieg zasypie ślady.

Marc z radością powitał skowyt psów. Spiął konia ostrogami, galopując obok króla, zadowolony, że Cecily jest bezpieczna z tyłu, pod opieką Gilberta. Mógł w pełni cieszyć się z polowania.

Pogoń była długa, a zwierzę przebiegłe. Czas mijał, a myśliwym wciąż nie udawało się zbliżyć do niego na tyle blisko, by zaatakować. Łowczy zarządził przerwę, by naradzić się z królem.

Marc, korzystając z chwili spokoju, obejrzał się za siebie i, ku swemu zaskoczeniu, zauważył wśród zgromadzonych mężczyzn Gilberta. Wyteżył wzrok, spodziewając się zobaczyć w pobliżu także i Cecily, ale nigdzie jej nie było.

Zawrócił konia i podjechał prosto do Gilberta.

- Gdzie ona jest?

Gilbert, zaskoczony, rozejrzył się naokoło.

- Nie wiem.

- Jak to nie wiesz, chłopcze? Miałeś na nią uważać.

- A próbowaliście, panie, kiedyś powiedzieć lady Cecily, co ma robić?

Młody głupiec. Nie ma pojęcia, jakie niebezpieczeństwa jej grożą.

- Mogła spaść z konia albo...

- Król rusza!

Gilbert spiął konia i przyłączył się do reszty myśliwych, jakby zapominając o Cecily. Zresztą nikt o niej nie myślał.

Nikt prócz Marca.

Jeszcze się rozejrzał, próbując się zorientować, gdzie jest. Nie znał dobrze okolicy, a na domiar złego ścigając dzika, tak często kluczyli, że nie byłby w stanie zawrócić i trafić do miejsca, z którego wyruszyli. Samotne poszukiwanie Cecily mogło się zatem skończyć jedynie tym, że by zabłądził. Sądząc po odgłosach, polowanie zbliżało się ku końcowi. Postanowił, że skoro tylko zabiją dzika, zorganizuje grupę poszukiwawczą. Był pewien, że król, dowiedziawszy się o zniknięciu Cecily, również będzie zaniepokojony.

Rozejrzał się jeszcze raz po opustoszałym lesie i ruszył w ślad za pozostałymi. Dogonił ich w miejscu, gdzie dzik został osaczony. Zwierzę było młode i silne, ale już zmęczone ucieczką. Zanosiło się więc na to, że zostanie zaraz zabite.

Jeden z psów gończych za bardzo się zbliżył i dzik zahaczył go szablami. Pies zakowyczał z bólu i w tej samej chwili łowczy wypuścił cztery kolejne, które zaatakowały, uniemożliwiając dzikowi ucieczkę.

Wszyscy zwrócili oczy na króla, który miał dostąpić zaszczytu dobicia zwierzęcia. Zanim jednak zdążył do niego podejść z włócznią, dzik w ostatniej, desperackiej próbie ratowania życia wyrwał się psom i zaczął uciekać w głąb lasu.

Jak się zaraz miało okazać, biegł właśnie tam, gdzie znajdowała się lady Cecily. Marc nie zastanawiając się, natychmiast ruszył za nim.

Szczekanie psów było coraz bliżej. Cecily podniosła głowę i z niepokoju zastygła w bezruchu. Sądziła, że polowanie już się skończyło. Nasłuchiwała, usiłując się zorientować, z której strony dobiegają ją odgłosy gonitwy, gdy naraz ku swemu przerażeniu usłyszała chrząkanie i tupot racic dzika.

Skoczyła na równe nogi. Jej koń, puszczony wolno, oddalił się, szukając ździebeł trawy pod śniegiem. Cecily próbowała do niego podbiec, lecz przemoczone buty i spódnice spowalniały jej kroki. W pewnej chwili także i koń usłyszał rozjuszone, ranne zwierzę i galopem uciekł między drzewa.

Skowyt i tupot racic wciąż się zbliżały. Cecily poczuła się tak, jakby to sama śmierć nieubłaganie nadciągała, by odebrać jej życie. Wtedy doszedł ją tętent kopyt koni, a po krótkiej chwili zobaczyła nadjeżdżającego Marca. Wpadł na polanę, zeskoczył z siodła i dobył miecza. Zanim zdążył wypowiedzieć słowo, bestia wyłoniła się nagle spośród zarośli i znieruchomiała, wpatrując się w Cecily.

- Nie ruszaj się - ostrzegł ją Marc.

Nie musiał jej ostrzegać. Cecily poruszyć się nie była w stanie. Potrafiła jedynie wpatrywać się w zakrwawioną, sapiącą bestię. Znowu odezwało się szczekanie psów, a dzik w swoim ostatnim desperackim ataku rzucił się wprost na Cecily...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Marc stał obok niej i obejmował ją swoim silnym ramieniem. Wokół panował chaos... Król, myśliwi, konie i ujadające psy. Wszyscy zgromadzili się wokół martwego dzika, którego dobiła Cecily. Wciąż jednak była w szoku. Właśnie uratowała życie Marcowi, który sam z mieczem w ręku stanął naprzeciwko rozjuszonego, rannego zwierzęcia.

Podeszli z Markiem do zwalonego pnia i usiedli.

- *Ça va bien?*

Jego głos zabrzmiał kojąco. Zbyt osłabiona, by mówić, Cecily kiwnęła tylko głową. Po czym spojrzała w dół, na swoje dłonie. Wciąż nie mogła uwierzyć, że żyje.

Przez cały czas żałoby, najpierw po ojcu, a potem po matce, nie odwiedziła jej nigdy myśl o własnej śmierci. Nie przyszło jej do głowy, że i ona sama jest śmiertelna. Myślała jedynie o długich latach, które ma przed sobą, i o konieczności spełnienia oczekiwań rodziców.

Tymczasem niewiele brakowało, a straciłaby życie w taki sam sposób jak jej matka.

- Zawdzięczam ci życie, pani - powiedział Marc.

Pokręciła głową.

- To ty ryzykowałeś, aby mnie uratować.

Świadomość tego faktu kłóciła się ze wszystkimi jej przekonaniem na jego temat; ze wszystkim tym, co chciała na jego temat sądzić. Miała go za wroga i starała się z całych sił podsycać ku niemu swoją niechęć, bo nie wierzyła, że można jemu zaufać. Jemu czy jakimkolwiek innemu Francuzowi.

A teraz rzeczywistość zakpiła sobie z jej przekonania i fakt ten wydał się jej niemal równie niepokojący, jak śmierć, która dzisiaj zajrzała jej w oczy.

Tymczasem pospieszył ku niej królewski sługa z winem. Gilbert, blady jak ściana, mamrotał niewyraźnie słowa przeprosin. Coucy zaczął szukać jej zaginionego konia, a król kazał przynieść lektykę, w której czym prędzej zanosą ją do zamku.

- Nie - zaprotestował Marc. - Lady Cecily pojedzie ze mną.

- Dasz radę, Cecily? - spytał ją król poważnym głosem.

Cecily chwyciła Marca za rękę i wstała. Następnie wyprostowała plecy i podniosła wysoko głowę. Po raz pierwszy w życiu poczuła się godna swego tytułu.

- Tak - odrzekła krótko.

A Marc aż do chwili, gdy podsadził ją na swego wierzchowca, nie wypuszczał jej ręki ze swojej dłoni.

Tego wieczoru, gdy Marc wszedł do Wielkiej Sali, ze wszystkich stron posypały się gratulacje. Pozostali zakładnicy, a także dworzanie, wszyscy bez wyjątku poklepywali go po plecach i podnosili w górę kielichy, dając znak, że piją za jego zdrowie.

Marc próbował wyjaśniać, że to nie tak, że było inaczej, że Cecily sama się obro-

niła, a także i jego ocalała od śmierci. Nikt jednak nie chciał tego słuchać. Marc zapragnął, by Cecily wszystko sprostowała. Był zresztą pewien, że ona nie pozwoli na to, by otrzymywał wszystkie te niezasłużone pochwały.

I wtedy, jakby przywołana jego myślami, Cecily weszła do Wielkiej Sali. Kroczyła wyprostowana, z podniesioną głową. I tak spokojna jak ktoś, kto spędził cały dzień, grzejąc się przy ogniu.

Widocznie, pomyślał Marc, to jej pozycja daje jej tę zadziwiającą siłę, która pozwala stawać twarzą w twarz ze śmiercią z równym spokojem, jak iść przez życie.

A zaraz potem zauważył, że razem z Cecily idzie lady Isabella i że obie, pośród rozstępującego się tłumu, zmiierzają prosto do niego.

- Rozumiem - zaczęła księżniczka - że wszyscy jesteśmy wam winni podziękowanie za uratowanie lady Cecily. Jednak... czy ona sama wyraziła już swą wdzięczność tak, jak należy?

- To ja - odrzekł Marc - powinienem powiedzieć *merci*. Usiłowałem zabić dziką, ale mi się to nie udało. I to lady Cecily pozbawiła go życia. Nie mówiła o tym Waszej Wysokości?

Lady Isabella uniosła brwi.

- Opowiedziała, choć bez wdawania się w szczegóły. Skoro jednak było tak, jak mówicie, kawalerze, to pokłońcie się teraz i podziękujcie damie.

Cecily zmarszczyła brwi, lecz księżniczka, nie zwracając na nią uwagi, przechyliła głowę, jakby czekając na to, aż Marc spełni jej życzenie.

- Oczywiście, w imię mojej szczerzej wdzięczności. Mężczyzna, któremu uratowano życie, nie mógłby jej nie okazać - powiedział Marc, mając nadzieję, że wystarczy, jeżeli szybko skinie głową.

- Podobnie jak kobieta - odezwała się Cecily, patrząc mu prosto w oczy. - Gdybyście, panie, z taką odwagą nie zastąpili zwierzęciu drogi, nie byłoby mnie teraz między żywymi.

Marc czekał, spodziewając się, że Cecily powie coś więcej; choćby że opíše wszystko, tak jak było. Dzięki temu zebrani dowiedzieliby się, że omal nie straciła życia w taki sam sposób jak jej matka.

Nie zrobiła tego jednak. Wpatrywała się w niego tylko - uparcie i nieruchomo.

- Idźcie teraz oboje - odezwała się lady Isabella - i podziękujcie sobie nawzajem z dala od wszystkich. Ogień na kominku w komnacie w wieży strzegącej bramy został rozpalony. I nie ma tam nikogo - dodała z uśmiechem. - Tylko nie zasiedźcie się tam.

Cecily chciała zaprotestować, lecz księżniczka odwróciła się i odeszła. Stali naprzeciwko siebie w milczeniu, czując narastające między nimi napięcie. Opuściła wzrok i nie podnosiła go przez kilka dłużących się niemiłosiernie sekund. Wówczas, jakby porozumieli się bez słów, w tej samej chwili wyszli z Wielkiej Sali, idąc ramię w ramię.

Kiedy dotarli do wskazanej przez lady Isabellę komnaty, Marc odezwał się jako pierwszy:

- Kazano mi *encore* powiedzieć *merci*. A więc: *merci*, pani.

Na tym poprzestał, uznawszy że spełnił swój obowiązek. Teraz stał i czekał, choć nie bardzo wiedział na co.

Czy chciał, żeby mu powiedziała, że cieszy się, że on żyje? Czy pragnął usłyszeć podziękowanie za to, co zrobił? Czy może po prostu chciał, by ona na niego spojrzała – tak jak kobieta patrzy na mężczyznę?

Nie wiedział. Jednak Cecily nie zrobiła żadnej z tych rzeczy. Nie wypowiedziała ani słowa, nie spojrzała na niego ani razu. Przez kilka chwil wpatrywała się w ciemność za oknem, a potem tylko lekko wzruszyła ramionami. Tak jakby to, co się wydarzyło, nie miało żadnego znaczenia.

Marc objął ją nagle za ramiona i obrócił twarzą do siebie. Zmusił, by na niego spojrzała.

– Wasza matka straciła życie podczas polowania – powiedział bez ogródek. – A mimo to... niczego po sobie nie pokazujesz.

– Jestem hrabiną Losford – odrzekła, prostując się dumnie. – Nie wolno mi okazywać uczuć wszem wobec.

Zwłaszcza przed tobą, dodała w myślach.

– No, a ja... – mówił dalej Marc – ...ja czuję... czuję się bardzo wdzięczny. I cieszę się, że żyję. A także że ty żyjesz, pani.

Powinien był wypuścić ją z ramion, ale nie uczynił tego. Przeciwnie – przygarnął ją mocniej i zajrzał jej w oczy. Pragnął do niej dotrzeć, zobaczyć, co kryje się w jej sercu i duszy.

– A wy? – zagadnął. – Wy się nie cieszyacie? Nie czujecie żadnej wdzięczności?

Wypowiedział te słowa i natychmiast ich pożałował. Na twarzy Cecily malowały się ból i niepewność – uczucia, które dotąd usiłowała ukrywać.

– Tak, czuję wdzięczność – powiedziała powoli, patrząc mu prosto w oczy. – I jednocześnie mam poczucie zdrady. Nie powinienesz mnie ratować... Ja w ogóle nie powinnam była przeżyć.

Wypuścił ją z ramion i nieco się odsunął.

– Widziałem w życiu – odrzekł – niejednego człowieka padającego podczas bitwy od ciosu, który mógł być równie dobrze wymierzony we mnie. I żaden z tych ludzi, nawet ciężko ranny, nie żałował, że żyje, a także nie miał mi za złe, że ten cios mnie ominął.

– Pewnie żaden nie miał wam za złe... Ale niejednen z pewnością zazdrościł wam tego... – powiedziała i zasznurowała usta, tak jakby chciała ukryć przed nim, co naprawdę czuje.

Jednak w następnej chwili zaszła w niej jakaś zmiana.

– Czy pamiętasz... – zaczęła niepewnie – ...śmierć swoich rodziców? To znaczy... czy byłeś przy nich, gdy umierali?

Dziwna zmiana tematu, pomyślał Marc i pokręcił głową.

– Mój ojciec stracił życie pod Crécy, gdzie zginął także ojciec Enguerranda.

Marc miał wtedy jedenaście lat. Był za mały, żeby iść na wojnę.

– A twoja matka?

– Ledwie ją pamiętam.

Matka zmarła podczas porodu, razem z noworodkiem, jego malutkim bratem.

– Ja nie byłam przy śmierci żadnego z moich rodziców. – Mówiła teraz szeptem, a on nie był pewien, czy mówi do niego, czy może do siebie. – Oboje tak po prostu... tak nagle... odeszli. Inni ludzie opowiadają o ostatnich chwilach spędzonych wraz ze

swymi bliskimi. Nawet z tymi, których zabrała Czarna Śmierć. Inni... mieli choćby kilka godzin na to, żeby się przygotować... Żeby się pomodlić i wezwać księdza. - Pokręciła głową. - A ja... mnie nawet nie pozwolono jej zobaczyć.

Wzdrygnęła się lekko.

- To dlatego, że chciano was ochronić.

Przecież, pomyślał, znacznie gorzej by było, gdyby zobaczyła zmasakrowane ciało...

- Wydaje mi się - powiedziała, patrząc na niego swymi zielonymi, pełnymi teraz bólu oczami - że chroniono mnie aż za bardzo.

Marc, słysząc te słowa, zrozumiał, pod jak czułą opieką dorastała. Uświadomił też sobie, że jej rodzice, wychowując ją w ten sposób, nie nauczyli bronić się przed cio-
sami, które wymierza życie. Nie nauczyli niczego prócz poczucia obowiązku.

Choć zdawał sobie sprawę, że nikt wobec drugiego człowieka nie jest w stanie odgrywać takiej roli, chwycił ją za rękę, pragnąc osłonić przed każdym złem i cierpieniem, jakie może przynieść życie.

- Przed śmiercią nie ma ucieczki - powiedział. - Ani przed życiem.

Na jej twarzy pojawiały się na przemian smutek, ból i determinacja. W końcu jednak jej twarz złagodniała i Cecily przestała zaciskać usta. Wtedy spojrzała na Marca oczami, które nie dostrzegały w nim już jedynie wroga.

- Ani przed tobą, Marcu de Marcel - powiedziała.

Naraz poczuł, że żadne jego mechanizmy obronne, żadne wewnętrzne bariery, które wznosił przeciwko Anglikom, a także przeciwko niej - nic a nic go nie chronią.

Objął ją ramionami, przyciągnął bardzo blisko do siebie - tak jakby to mogło zapewnić jej bezpieczeństwo i osłonić przed wszystkim, co jej zagrażało. Oparła się o niego i złożyła głowę na jego piersi, w której bardzo mocno i szybko biło serce.

- Cecile. *Je veux t'embrasser. Je peux?*

Nie był człowiekiem nawykłym do proszenia, jednak wydawało mu się, że gdyby pocałował ją bez pozwolenia teraz, kiedy była taka poruszona, zdradziłby jej zaufanie. Poprosił ją zatem i to jej pozostawił decyzję.

Gdy wszystkie te myśli przemknęły mu przez głowę, nastąpił cud, cud najprawdziej-
szy - Cecily podniosła głowę, spojrzała mu w oczy i się uśmiechnęła. Wtedy on pochylił głowę i ich usta spotkały się w pocałunku łagodnym niczym modlitwa dziękczynna. Wyrażał on to, czego Marc nie potrafiłby wyrazić słowami...

- No cóż, to wygląda na bardzo szczere podziękowanie - dał się słyszeć głos Isabelli.

Cecily zeszywniała, a Marc opuścił rękę. W drzwiach komnaty stali Enguerrand i księżniczka. I oboje patrzyli na nich z uśmiechem.

Marc dopiero teraz rozejrzał się i zauważył czekające na nich wino i ławę wy-
moszczoną poduszkami.

- Już skończyliśmy.

Cecily powiedziała to tak, jakby nic się nie stało. A jednak była do tego stopnia wyprowadzona z równowagi faktem, że Isabella i Enguerrand tak się ich kosztem zabawili, że wyszła natychmiast z komnaty, nie posyłając w ich stronę nawet jednego spojrzenia.

Oni tymczasem byli już zajęci wyłącznie sobą. Isabella nalała wina do kielicha

zbliżyła go do ust Enguerranda. A Marc w tym momencie uświadomił sobie, że Cecily martwiła się przede wszystkim z powodu stanu uczuć lady Isabelli, która najwyraźniej była w Enguerrandzie zadurzona.

Marc był tak wstrząśnięty tym odkryciem, że aż się potknął, wychodząc z komnaty. Dotychczas, pomimo ostrzeżenia Cecily, uważał postępowanie Enguerranda za nieszkodliwą rozrywkę, za zabawę, która umili mu czas pobytu w niewoli. I która oprócz tego może mu przynieść dodatkową nagrodę w postaci zwrotu majątków.

Igranie z uczuciami królewskiej córki jest znacznie poważniejszą sprawą.

Przyszła mu na myśl Cecily i natychmiast poczuł odzew własnego ciała. Pocałunek był delikatny, wręcz nieśmiały, nie wiedział, co by było, gdyby im nie przerwano. Wyobraził sobie jej rozpuszczone włosy, jej suknię zsuwającą się na podłogę oraz usta – głodne i zachęcające. Kolejny pocałunek wystarczyłby, by on z łatwością uległ wdziękom hrabiny.

Wrócił myślami do przyjaciela i księżniczki. Zabawa we flirt w Wielkiej Sali może być czymś nieszkodliwym. Jednak co będzie, jeżeli któregoś wieczora w jakimś ustronnym miejscu, lady Isabella ofiaruje Enguerrandowi coś więcej niż tylko pocałunki? Co będzie, jeżeli w chwili szaleństwa, po wypiciu wina, księżniczka się zapomni i posunie się dalej, ofiarowując swoje ciało?

Który mężczyzna owładnięty namiętnością, potrafiłby w takich okolicznościach odmówić?

Żaden, pomyślał Marc. Nie potrafiłby tego żaden – nawet mój przyjaciel, zacny hrabia Coucy. A później, myślał dalej, gdy chwile namiętności miną, gdy słońce wzejdzie i kochankowie spojrzą sobie w oczy, oboje uświadomią sobie, że właśnie uczynili coś nieodwracalnego.

Król Edward był dotychczas łaskawy. Jednak gdyby odkrył, że jego córka została zhańbiona, z pewnością zawrzałyby gniewem i nie pozwoliliby mężczyźnie, który wszedł do łóża jego córki, dalej żyć.

Tej nocy Cecily nie spała dobrze. Śniła niespokojny sen, że księżniczka przyłapuje ją w ramionach Marca, i miotała się na posłaniu. A później, gdy już po raz któryś oskarżyła sama siebie o głupotę, uświadomiła sobie, że powinna się martwić również o to, co zaszło w komnacie w wieży, gdy Isabella i Enguerrand zostali w niej sami.

Gdy jednak nazajutrz rano stanęła twarzą w twarz z księżniczką, powstrzymała się od jakichkolwiek uwag. Po tym, co sama zrobiła, nie mogła przecież czynić księżniczce wyrzutów ani nie mogła krytykować jej za to, że szukała okazji do przebywania sam na sam ze swym kawalerem.

– Cieszę się – powiedziała do niej Isabella – że wreszcie się bawisz. Że robisz głupstwa z kimś całkiem nieodpowiednim...

– Tak jak ty, pani? – odrzekła mimowolnie Cecily.

– O! Widzę, że się niepokoisz. Ale... powiedz mi, czy martwisz się o swojego czy o mojego kawalera bardziej?

– On nie jest mój.

– On uratował ci życie! A ty uratowałaś życie jemu! To historia żywcem wzięta z dworskiej poezji! A wy oboje jesteście jej bohaterami.

- Ależ nie! Wcale nie - zaprotestowała gwałtownie Cecily. - Nie mów tak, pani, bo... co będzie, jeżeli plotki na ten temat dotrą do uszu mojego przyszłego męża?

- Twój przyszły mąż uzna cię wtedy za pannę tym bardziej godną zostać jego żoną! - Isabella pogroziła Cecily palcem. - Żadnych smutnych min więcej. Chcę wiedzieć, jak się weselisz razem z Markiem de Marcelem! Baw się, korzystaj z życia, gdy ono daje ci taką szansę. Masz po temu okazję po raz ostatni. Przyjmij słodki przysmak, gdy życie ci go ofiarowuje.

- Słodki przysmak, który po chwili rozpuści się na języku...

Czy będę później, w przyszłości, pamiętała smak ust Marca? - zadała sobie w duchu pytanie Cecily.

- Być może - zgodziła się z nią księżniczka. - Jednak nie skosztowawszy przysmaku, będziesz tego gorzko żałować. Do końca świątecznego okresu zostało ci niewiele czasu. Potem twoja szansa przepadnie.

Czy księżniczka tymi słowami próbuje przekonać mnie czy samą siebie, zastanowiła się Cecily. Tak czy inaczej, jej argumenty przemawiają do mnie. Bo przecież wkrótce będę kobietą zamężną, zamkniętą w domu na resztę życia, znającą tylko obowiązki. I nigdy więcej nie zobaczę Marca de Marcela.

Ta ostatnia myśl sprawiła jej ból - wielki, dojmujący ponad wszelkie spodziewanie.

- Zostało tylko kilka dni - powiedziała.

- No właśnie! - Isabella uśmiechnęła się. - A teraz idź już. Znajdź swego kawalera. I zostaw mnie samą, bo nadchodzi Enguerrand.

- Enguerrand? Znowu? Ależ, pani, co pomyślą wasi rodzice... po tym, co przeżyli...

- ...po ślubie mojego brata? - dokończyła księżniczka.

Cecily kiwnęła głową. Książę ożenił się przed dwoma laty bez pozwolenia Kościoła. I dopiero po długich miesiącach i interwencji samego papieża ten grzech został mu odpuszczony.

- No cóż... matka wciąż o tym myśli. - Isabella z westchnieniem pokręciła głową.

- Uważa, że powinna była zapobiec temu ślubowi...

Nie dokończyła, a w następnej chwili na jej twarz powrócił uśmiech.

- Nie martw się o mnie - poleciła Cecily, po czym chwyciła ją za rękę i mocno je uścisnęła. - I idź już. Znajdź swego kawalera.

Cecily oddaliła się, ale nie poszła szukać Marca. Miała bowiem do zrobienia coś pilniejszego. Skoro stawiała czoło rozjuszonemu dzikowi, teraz przyszedł czas, by stanęła twarzą w twarz z rzeźbiarzem noszącym imię Peter.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nazajutrz rano Marc obudził się przed Enguerrandem. Nie wróżyło to dobrze. Poprzedniego wieczoru po powrocie do swej komnaty nie rozmawiali ani o księżniczce, ani o hrabinie, ani o pocałunkach. Bowiem za każdym razem gdy Marc próbował sformułować pytanie, przychodziły mu do głowy jedynie ostre słowa.

Czy księżniczka znaczy dla ciebie więcej niż dobra, które chcesz odzyskać? Czy zdajesz sobie sprawę z ryzyka, gdybyś ty... gdyby ona...?

Marc milczał, bo wiedział, że sama taka sugestia jest czymś wprost niewyobrażalnym.

Tymczasem dziś po południu, gdy siedzieli obaj naprzeciwko siebie nad szachownicą, Enguerrand niemal uczynił taką sugestię pod jego adresem.

- No jak tam, *mon ami*? - zagadnął. - Czy ty przypadkiem nie zaczynasz odczuwać *tendresse* w stosunku do pewnej *femme Anglaise*?

- Co takiego? Jaką *femme* masz na myśli?

Enguerrand roześmiał się na to głośno.

- Nadobna hrabina - powiedział - jest prawdziwą pięknoscią.

- Mnie się wydaje zimna jak lód.

- Nie była taka w stosunku do ciebie wczoraj wieczorem. Wydawało mi się, że ona...

Jak to możliwe, pomyślał Marc, skoro patrzyłeś tylko na księżniczkę?!

- Spędzałem czas z hrabiną jedynie dlatego, że chciałem odwrócić jej uwagę od ciebie i tych twoich podchodów.

- Aha, rozumiem.

- Hrabina uważa, że względy, jakie okazujesz księżniczce, zagrażają jej sercu.

- Aha.

- Czy tak jest?

- A któż zna serce kobiety?

Była to szczerza odpowiedź...

- Chodzi ci tylko o odzyskanie dóbr rodowych. O nic więcej?

- *Bien sûr, mon ami*. I o to, żeby spędzić miło czas.

Marcowi wydało się, że jego przyjaciel udzielił tej odpowiedzi zbyt pośpiesznie.

- Jesteś pewien? Bo jeżeli rzeczy zajdą za daleko...

- Twoja sugestia obraża nas oboje.

A więc tak! Marc usłyszał taką odpowiedź, jaką chciał usłyszeć. Jednak czy Enguerrand mówił prawdę? Czy mógł mu wierzyć?

- Szach i mat! - powiedział Enguerrand i uśmiechnął się bez troski. - Zaakceptuj swoje obecne życie, tu, w Anglii - dodał zaraz, poklepując Marca po ramieniu. - I ciesz się nim, ile tylko potrafisz.

- Mam cieszyć się życiem? Będąc zakładnikiem?

- Jeżeli życie pozwala ci spędzać czas z piękną, szlachetnie urodzoną kobietą,

dziękuj za takie błogosławieństwo Bogu. Doceniaj podarunki losu, jakimi są pokój i kobieca uroda wtedy, gdy los ci je ofiarowuje. Ja tak robię.

Cecily jest piękna, to prawda, przyznał w duchu Marc. I od chwili gdy ją poznałem, nie zaznałem spokoju.

- Wolałbym zostać uwolniony i wrócić bezpiecznie do domu. A ty nie? - zagadnął i pomyślał, że na miejscu Enguerranda bardzo by tego pragnął. Bo przecież on miał dom; wspaniały zamek, stojący wysoko, na skale. Gdy tymczasem Marc spędzał życie, mieszkając w posiadłościach innych i walcząc za ich sprawę. No ale cóż, tak wyglądał los każdego rycerza. Marc był z tym losem pogodzony, jednak nieraz zapytywał sam siebie, jak by to było, gdyby walcząc, bronił czegoś, co jest jego własnością, co należy do niego...

- Oczywiście - odpowiedział Enguerrand na jego pytanie. - Jednak tutaj poznałem kwiat rycerstwa, wielu z nich wkrótce wyruszy na krucjatę. I kto wie... może i ja pewnego dnia się do nich przyłączę...

Enguerrand, choć widział w życiu tak wiele, wciąż wierzył w rycerskie ideały. Marc natomiast od kiedy poznał Cecily, zaczynał tęsknić za życiem, jakiego nigdy nie zaznał.

Przyjacielski kuksaniec w ramię wytrącił go z zamyślenia. Enguerrand stał nad nim, klepiąc się po brzuchu.

- Chodź. Czeka na nas obiad. Ostatni taki obfity posiłek przed postem w Wigilię.

Marc wstał z ociąganiem. Co powie Cecily, kiedy mnie zobaczy? - zastanowił się w duchu. I co ja jej odpowiem?

Zaraz jednak doszedł do wniosku, że najlepiej by było dla nich obojga, gdyby nie powiedzieli ani słowa.

Tego dnia przed południem Cecily, patrząc na wchodzącego do komnaty rzeźbiarza, uświadomiła sobie, że od czasu, gdy go ostatnio widziała, minęło wiele miesięcy.

- Upłynęło sporo czasu od naszej ostatniej rozmowy - powiedziała, gdy on się już pokłonił.

Niski, siwowłosy człowiek kiwnął potakująco głową.

- Tak, pani - potwierdził krótko.

- Tutaj, w Windsorze - mówiła dalej Cecily - spisaliście się doskonale. Król jest z waszej pracy zadowolony.

Rzeźbiarz Peter uśmiechnął się na to z dumą.

- Usłyszeć taką opinię to dla mnie wielki zaszczyt.

- Ponieważ wasza praca tutaj dobiegła końca, uzyskałam pozwolenie, by was poprosić o ukończenie prac w Dover... - Westchnęła ciężko i dokończyła: - W grobowcu moich rodziców.

- A czy ty, pani... podjęłaś decyzję co do ostatnich szczegółów?

Cecily prawie nie pamiętała szczegółów, bowiem wszystkim, co się wiązało z zaprojektowaniem nagrobka ojca, zajmowała się matka. Ona natomiast po jego śmierci nie była w stanie długo dojść do siebie. Zwłaszcza że na rysunkach obok figury ojca, leżącego jakby we śnie, widniała druga. Figura jej matki.

A ten widok doprowadzał ją do spazmatycznego płaczu.

- Czy... - zapytała teraz rzeźbiarza - ...czy moja matka nie dokonała już wyboru?

Rzeźbiarz kiwnął głową.

- Rzeźbę przedstawiającą twojego ojca, pani, hrabina już wybrała. Zasugerowała też, jak ma wyglądać figura przedstawiająca ją samą. Ale teraz, pani, musisz za-
twierdzić jej wybór.

- No cóż... ja... już bardzo dawno nie oglądałam tych szkiców... Podejmę decyzję -
zakończyła pośpiesznie rozmowę - przed twym wyjazdem do Dover...

Rzeźbiarz spojrział na nią zaskoczony i wyszedł.

Wkrótce w zgiełk rozbawionego dworu wkroczyła Wigilia Bożego Narodzenia. I zamiast grać w kości albo śmiać się z fikającego koziołki błazna, wszyscy dworzanie, zachowując najgłębszą powagę, udali się nocą na mszę.

Marc stłumił ziewanie. Był religijny, ale bez przesady. Wiedział, że wszystko jest w rękach Boga i że człowiek, starając się być nie większym grzesznikiem niż to konieczne, może się jedynie modlić o życiowe powodzenie. Znał jednak takich ludzi, którzy w zwykłych wydarzeniach widzieli zrządzenie boże. I wiedział, że niektórzy z nich twierdzą, że grad, który spadł na angielską armię w Czarny Poniedziałek, mógł zostać sprowadzony jedynie przez Boga. Przypomniawszy sobie, że Cecyli mówiła, że jej ojciec właśnie tamtego dnia stracił życie.

Jestem ciekaw, pomyślał, czy hrabia Losford był świadkiem tego wydarzenia, a jeżeli tak, to czy zgadzał się z tymi, którzy uważali je za boską interwencję. Doświadczenie życiowe i wojenne Marca dowodziło, że światem nie rządzi Bóg, ale Diabeł. Choć z drugiej strony, kimże on był, by wydawać o tym osąd?

Jednak dziś w nocy wszystko wydawało mu się jakieś inne. Choć był zakładnikiem w obcym, zimnym kraju, pod nieznanym niebem, dostrzegał na nim wszystkie znajome gwiazdy, które, niczym aniołowie w dzień Bożego Narodzenia obserwujący pasterzy, zdawały się i jego mieć na oku.

Poruszył się niespokojnie i zaraz wspomniawszy słowa przyjaciela: „Dziękuj Bogu”. Ale za co? Skoro cały czas myślał o Cecyli i dwóch cudownych pocałunkach...

Gdy weszli do kościoła, rozmowy dworzan ucichły. Marc zobaczył ją jak zwykle u boku lady Isabelli. Enguerrand w milczeniu podążył wzrokiem za jego spojrzeniem. I żaden z nich w tej chwili nie myślał o Bogu.

Głowa Cecyli była pochylona, ale Marc nawet z tej sporej odległości dostrzegł, że płacze.

Czy jest tak uczuciowa, że sama myśl o narodzinach Chrystusa wzrusza ją do łez? Czy chodzi o coś innego? Może o wspomnienia i jej osobistą stratę?

Po polowaniu zarzucił jej, że nie daje nic po sobie poznać, ale wczorajszego wieczoru, gdy dowiedział się o jej żalobie, zrozumiał, dlaczego stara się skrywać emocje. Po śmierci rodziców została na świecie sama i równie samotna jak on, Marc de Marcel.

Po nabożeństwie, gdy mieli właśnie wyjść z kościoła na siarczasty mróz, Enguerrand szepnął Marcowi do ucha:

- Przyłącz się do nas, przyjacielu. Zamierzamy się posilić.

Marc od razu poczuł głód. Tego dnia pościł, nie jadł ani nie pił, a świąteczna ucztą miała się odbyć dopiero za dobrych kilkanaście godzin.

- Nic nie słyszałem o królewskim bankiecie...

Enguerrand pokręcił głową z uśmiechem.

- To niewielkie, nieformalne przyjęcie. Isabella, Cecily i kilkoro innych osób - powiedział, po czym poprowadził Marca do niezbyt wielkiej, znajdującej się w nowej części zamku komnaty, która dzięki złoceniom i malunkom na ścianach przypominała ogród pełen kwiatów.

Zastali tu księżniczkę i Cecily, a oprócz tego jeszcze kilkanaście osób. I zaraz zorientowali się, że w tym otoczeniu nie obowiązują żadne dworskie obyczaje. Enguerrand natychmiast po wejściu do komnaty podszedł do księżniczki.

Cecily na widok Marca otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. Od razu podszedł do niej.

- Nie spodziewałam się ciebie tutaj spotkać, panie - powiedziała.

Jej głos był cichszy niż zwykle, lecz łzy zdążyły wyschnąć.

Nie miał pojęcia, co jej odpowiedzieć. Mało wiedział o kobietach czy o ich uczuciach i potrzebach. Wychował się przecież bez matki i siostr, w otoczeniu samych mężczyzn. Nie umiał rozpoznać, czy Cecily cieszy się, że go widzi, czy może jest wprost przeciwnie?

Postanowił zadać jej proste pytanie.

- Czy Boże Narodzenie zawsze spędzasz, pani, na królewskim dworze?

Westchnęła, jakby z ulgą przyjmując fakt, że rozpoczął rozmowę.

- Spędzamy... to znaczy... większą część zimy nasza rodzina spędzała na dworze. A teraz ja czynię tak samo.

Spędzali większą część zimy z dala od zamku Losford. Z dala od tej niezdobytej fortecy. No cóż, gdy wieją zimowe wiatry, inwazja jest mało prawdopodobna. Hrabia, ojciec Cecily, nie musiał zimą czuwać, mógł opuścić swój zamek na okres Bożego Narodzenia, a nawet na dłużej.

Dla Marca było to jednak dziwne; gdyby on sam miał swój dom, gdyby miał własne miejsce na ziemi, nie opuszczaliby go nigdy.

Uroczysty nastrój panujący podczas mszy zniknął, gdy biesiadnicy zasiedli wszyscy przy jednym długim stole. Jak przystało w dzień postu, podano ryby przyrządzone na rozmaite sposoby i z różnymi dodatkami. Zaraz pięknie ozdobioną komnatę wypełnił śmiech i gwar lekkich rozmów. A gdy Cecily i Marc usiedli obok siebie, nikt na nich nawet nie zwrócił uwagi.

- Wyrosłaś, pani, nad morzem? - zapytał Marc.

Cecily uśmiechnęła się, tak jakby myśl o rodzinnych stronach wywołała u niej wspomnienie szczęśliwych dni.

- Widywałam morze każdego dnia. Wschody słońca są nad morzem takie piękne. Można je obserwować z murów obronnych. Powinieneś zobaczyć taki wschód.

- Bardzo bym tego chciał - odrzekł Marc, a ona zarumieniła się na to i odwróciła wzrok.

Bo przecież nie wolno jej zapraszać Francuza do zamku, który jest najważniejszą twierdzą obronną na wybrzeżu.

Popęłniła błąd i postanowiła teraz czym prędzej odwrócić od tego tematu jego uwagę.

- Ale po co rozmawiać o Dover... - zaczęła, spoglądając w dół na swój talerz - ...

gdy znajdujemy się w najpiękniejszym zamku chrześcijańskiego świata.

Marc popatrzył na ściany komnaty i jej sufit.

- Widzę, że twój król buduje nie tylko potężne zamki, ale także piękne.

- Jesteś tym zaskoczony?

- Mojemu krajowi król Anglii przyniósł tylko spustoszenie i śmierć.

- Spustoszenie? To dziwne słowo na określenie bitwy.

- Ja nie mówię o bitwach.

- A o czym?

- O paleniu miast i niszczeniu pól. O pozostawianiu za sobą spalonej ziemi, na której nie ma już nic, czym mógłby się pożywić człowiek czy jego zwierzęta.

Zachnęła się. Ojciec nie opowiadał jej o wojnie. Jednak ona i tak wiedziała, że takie postępowanie nie jest godne chrześcijańskich rycerzy.

- Jestem pewna, że mój ojciec nie mógłby zrobić czegoś podobnego.

Marc w pierwszej chwili był jej słowami zaskoczony, ale zaraz poczuł, że mu jej żal.

- Ach, moja biedna hrabino. Ty nie masz pojęcia, jak wygląda życie na zewnątrz zamkowych murów.

Musiała mu w duchu przyznać rację. Bowiem ostatnio, z każdym dniem, coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że wie bardzo mało, że mnóstwo z tego, co powinna wiedzieć, pozostaje wciąż jej nieznanne.

Czyżbym zbyt długo zachowywała się jak dziecko? - zadała sobie pytanie. Przypomniała sobie, że zawsze myślała, że na obowiązki ma jeszcze czas.

Tak, to wszystko prawda. Na tym polega jej słabość. Lecz ona na pewno się z nią przed nim nie zdradzi.

- To raczej ty nie masz pojęcia, jak szlachetni i odważni są Anglicy - powiedziała, spodziewając się, że de Marcel zacznie, jak zwykle, się z nią sprzeczać.

On tymczasem ciężko westchnął.

- Moi rodacy także nie zawsze postępują honorowo - przyznał.

Usłyszawszy nutę smutku w jego głosie, nic nie odpowiedziała.

Posiłek się zakończył. Goście kolejno kłaniali się księżniczce, a potem wychodzili. Zostali tylko ona i Marc. A także lord Coucy.

Cecily przystanąła, oczekując, że Coucy się do nich przyłączy, ale on nachylił się tylko do Marca i powiedział:

- *Mon ami!* W dzień świętego Stefana jedziemy powitać króla Jana.

Marc skinął na to głową, a ona na dźwięk tych słów poczuła gniew. Oto król Francji wracał do Anglii i miał być uroczyście witany, podczas gdy jej ojciec leżał w grobie. Muszę pamiętać o tym gniewie, pomyślała. I postarać się, by wyrugował z mojego serca słabość do Marca de Marcela.

Marc zamienił jeszcze kilka słów ze swoim przyjacielem, po czym opuścił komnatę razem z Cecily. Gdy szli przez labirynt korytarzy i schodów, obejrzała się przez ramię, lecz nie zobaczyła Coucy'ego.

- Został z księżniczką - powiedziała. - Czy można mu ufać?

- *Bien sûr* - odrzekł Marc tonem oburzenia.

- A jednak dopiero co przyznałeś, że twoi rodacy nie zawsze są ludźmi honoru.

- Coucy jest - odparł od razu.

- A zatem jest wyjątkiem.

- Wcale nie. Nasz król także jest człowiekiem honoru.

- Ale jego syn postąpił niehonorowo.

- Król się poświęca, by naprawić to, co zrobił książę d'Anjou. A ja nikogo nie podziwiam tak bardzo jak jego. Ach, trzeba go było widzieć pod Poitiers.

Poitiers. To ta zwycięska bitwa. Ojciec Cecily wrócił wtedy do domu uśmiechnięty i przywiózł mnóstwo złota z okupów wziętych przez siebie do niewoli Francuzów. Wszyscy w domu myśleli po jego powrocie, że to koniec wojny i że pokój będzie trwał zawsze.

- Pod Poitiers? A co się wtedy zdarzyło?

- Lord Losford ci nie opowiadał?

Pokręciła głową.

- Nie opowiada się o bitwach dwunastoletniej dziewczynce.

- Więc ja ci opowiem. Tę historię każdy powinien usłyszeć.

Przecięli szybko górny dziedziniec i weszli do wieży. Tu Marc zatrzymał się u stóp schodów, tak jakby nie mógł opowiedzieć tej historii, idąc.

- Tutaj - powiedział. - Siadaj, pani.

Cecily usłuchała. Spoczęła na twardym, kamiennym stopniu i czekała, aż on zacznie mówić.

- Mielśmy znaczną liczebną przewagę - zaczął Marc. - I wszyscy myśleli, że bez trudu wygramy bitwę. Atakowaliśmy jednak miejsce, które było dobrze umocnione.

- I mieliście do czynienia z lepszym dowódcą.

Każdy w Anglii wiedział, że syn królewski Edward jest zaraz po swym ojcu największym wodzem w całym chrześcijańskim świecie.

Marc zmarszczył brwi, ale w następnej chwili skłonił lekko głowę, jakby przyznając Cecily rację.

- W każdym razie z dzielniejszym - powiedział, po czym pokręcił głową. - Nasi dowódcy... ci dowodzący na flankach, ohydni tchórze, wycofali się i zostawili króla na polu bitwy bez obrony.

- Jesteś tego pewny? - zapytała zdumiona Cecily, nie mogąc uwierzyć, że tak postąpili rycerze. - Byłeś tam?

Marc kiwnął głową i westchnął.

- Byłem. Dopiero co pasowano mnie na rycerza. Z drugiego końca pola walki zobaczyłem, że oni zaczynają uciekać. Ruszyłem w tamtą stronę, ale znajdowałem się za daleko. I oddzielało mnie od króla zbyt wielu Anglików. Nie mogłem się do niego dostać... Król walczył dalej, samotnie, jedynie ze swym synem, młodym Filipem. Ten malec był w wieku, w jakim są giermkowie. A jednak nie przestraszył się i nie uciekł.

- To naprawdę godne podziwu.

- Króla otoczyli wrogowie. Wołali do niego, żeby się poddał albo ginął, tak jakby on był zwykłym człowiekiem, a nie królem. „Gdzie jest mój kuzyn?” - zapytał ich król. „Gdzie jest książę Walii?” Bo przecież będąc monarchą, mógł się poddać tylko człowiekowi, którego pozycja czyniła go godnym przyjęcia jego rękawicy. Tymczasem Anglicy zaczęli kłócić się między sobą, bo każdy chciał zagarnąć okup, biorąc naszego króla do niewoli.

Cecily bardzo pragnęła powiedzieć Marcowi, że kłamie, że żaden angielski rycerz nie zrobiłby czegoś takiego, ale wiedziała, że zawsze mówi on prawdę.

- Co było potem? - spytała.

- W końcu pewien francuski rycerz, żyjący na wygnaniu i walczący po stronie Anglików, podszedł do króla i obiecał zaprowadzić go do księcia Walii. Dopiero wtedy król mógł poddać się z honorem, wręczając księciu swoją rękawicę.

- Rozumiem teraz, dlaczego go tak podziwiacie - powiedziała Cecily.

Przyznała mu rację i jej słowa były równoznaczne z przeprosinami. Ich spojrzenia spotkały się teraz, a Cecily dostrzegła w Marcu człowieka rozczarowanego życiem, a nawet rozgoryczonego.

- Sama chyba byłam zaślepiona - dodała.

Marc uśmiechnął się ze smutkiem, nie odczuwając satysfakcji ze zwycięstwa.

- Tego właśnie dowiedliśmy, *n'est-ce pas*?

Jego opowieść odkryła przed nią coś, na co ona była dotychczas ślepa. Czy była także zaślepiona, kiedy patrzyła na ojca?

Bo przecież nikt jej dotychczas nie opowiedział o jego śmierci.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nazajutrz Cecily zmagą się z dniem Bożego Narodzenia.

Najpierw odbyła się msza o świcie, potem msza w południe i w końcu zaczęła się najwspanialsza i najradośniejsza uczta w roku, która wywołała potok wspomnień o jej rodzicach.

Wśród śmiechu i gwaru Cecily także usiłowała się uśmiechać i prowadzić lekkie rozmowy. Jednak w miarę jak upływały godziny, spędzane na ucztowaniu i przy wtórze śpiewów, ją ogarniał coraz głębszy smutek. W tym roku po raz pierwszy w życiu była w ten dzień sama. Zupełnie sama. I, co gorsza, z wątpliwościami, które w jej sercu zasiał Marc de Marcel. Po raz pierwszy w życiu uświadomiła sobie, że świat jest pełen ludzi tchórzliwych, postępujących haniebnie i okrutnie. I że wojna różni się ogromnie od jej dotychczasowego o niej wyobrażenia.

Tego dnia nie widziała się z Markiem, ale wątpliwości, które on zasiał w jej sercu, wciąż jej towarzyszyły. Od tak dawna chodziła w żałobie po ojcu, nie wiedząc, jak stracił życie.

A może raczej... dotychczas nie chciała tego wiedzieć?

Teraz to się zmieniło. Teraz, powiedziała sobie, pragnę poznać prawdę o jego śmierci. I Gilbert będzie musiał mi ją wyjawić.

Gdy zapadł już wieczór, przywołała skinieniem ręki Gilberta, po czym kazała mu iść za sobą na korytarz. Gilbert, podochocony winem, poszedł za nią z uśmiechem, który jednak, na widok jej powagi, zniknął po chwili.

- Co się stało? - zapytał.

- Wczoraj wieczorem - odrzekła - usłyszałam, co stało się pod Poitiers. Dowiedziałam się, w jaki sposób wzięliśmy króla Francji do niewoli, nie okazując mu należnego szacunku.

Gilbert odwrócił wzrok. Jego milczenie i zmieszanie dowodziły, że to oskarżenie jest słuszne.

- Czy mój ojciec... - zapytała Cecily. - Czy on...?

- Nie, Cecily - odrzekł szybko Gilbert, nie czekając, aż ona skończy zdanie. - Twój ojciec przez cały czas był koło księcia. Był człowiekiem honoru. Nie wątp w to nigdy.

- Więc opowiedz mi o tej drugiej bitwie.

- O której?

Gilbert jakby nie rozumiał.

- O tej, w której ojciec poniósł śmierć.

Młodzieniec zmieszał się znowu, a w następnej chwili na jego twarzy pojawił się wyraz bólu. Wyglądało to tak, jakby przypominał sobie jakieś okropne sceny.

- Twój ojciec był odważnym człowiekiem...

- Jestem o tym przekonana - odrzekła ostro, choć teraz wcale tego pewna nie była. - Ale chcę wiedzieć, jak to się stało.

Marc mówił o tchórzostwie i o okrucieństwie Anglików tryumfujących nad Francuzami... Czy Francuzi byli równie okrutni dla jej ojca?

- Czy on... cierpiał?

- Czy cierpiał?

- No... gdy umierał. Czy umarł szybko i Bóg okazał się dla niego łaskawy?

Były to pytania, których nie zadawała, dopóki Marc nie uświadomił jej, jak wygląda prawdziwe oblicze wojny.

- To nie stało się podczas bitwy.

- Co takiego?

- On nie zginął podczas bitwy.

- Nie rozumiem.

Nikt dotychczas nie zasugerował jej niczego podobnego, a ona przez cały czas winiła o śmierć ojca Francuzów.

- Czy był chory?

Na twarzy Gilberta malował się ból.

- Zabił go grad.

- Co?

- Burza. Czarny Poniedziałek.

Na dźwięk tych słów zrobiło jej się zimno. Słyszała o tej burzy. Słyszała o tym, że pogoda raptownie się zmieniła i grad spadł na nich z nieba tak nagle jak plagi na Egipt. Słyszała też, że potem sam król nabrał przekonania, że Bóg chce, żeby zawarty został pokój z Francją.

Ale nikt jej nigdy nie powiedział, że ta burza zabiła jej ojca. A skoro tak, to... co jeszcze przed nią ukrywano?

- Mów dalej - dodał takim tonem, że Gilbert nie był w stanie jej się sprzeciwić.

Westchnął tylko i zaczął.

- Zima była sroga. Francuzi kryli się tchórzliwie za murami Paryża, nie kwapiąc się do tego, by stoczyć z nami walkę na otwartym polu. Król postanowił przenieść armię tak, by przed nadejściem lata znalazła się poza terytorium wroga. Minęła Wielkanoc. Trwała jeszcze wiosna, ale pogoda była już jak w lecie. Piękna. Ciepła. Słoneczna. Maszerowaliśmy, a nasz nastrój się poprawiał. Dostrzegaliśmy już przed sobą wieże Chartres, gdy nagle...

Cecily czuła tę radość, tę nadzieję. A równocześnie wiedziała, co im grozi. Zaciśnęła pięści i słuchała z zapartym tchem.

- Gdy nagle - mówił dalej Gilbert - niebo pociemniało i zerwał się wiatr. Po czym... na kształt rozstępujących się z woli Boga wód Morza Czerwonego otworzyło się nad nami. I posypał się z niego grad. Grudy lodu tak wielkie jak kurze jaja, twarde niczym kamienie. Spadły na nas, nie oszczędzając nikogo. I raniąc boleśnie zwłaszcza łuczników, którzy walczyli bez zbroi...

Ten krótki opis wystarczył, by Cecily oczyma wyobraźni zobaczyła ten straszny obraz. By przed oczyma jej duszy pojawili się ludzie śmiertelnie ranieni przez sypiące się z nieba grudy twardego jak kamień lodu.

- Ale mój ojciec - powiedziała - miał na sobie zbroję? Ta zbroja go przecież chroniła...

- Pod wpływem uderzenia metalowa siatka kolczugi wbiła mu się w głowę.

- A czy on jeszcze żył? - zapytała szeptem Cecily, zamykając oczy. - Czy żył, kiedy go znalazłeś?

Gilbert, milcząc, kiwnął głową.

- Jak długo? - dopytywała się, chwytając go za ramię. - Jak długo jeszcze żył?

- Umarł dopiero na drugi dzień.

Puściła jego ramię i zgarbiła się pod brzemieniem tej wiadomości. A więc cierpiał. Zmaltretowany, zakrwawiony, czekał, by zabrała go śmierć. Nie zginął podczas walki za swego króla. Ta śmierć przyszła z nieba w postaci deszczu twardych niczym kamień grud lodu. Jakby został zabity przez... mściwego Boga. Albo... jeszcze gorzej... przez Boga, który był całkiem obojętny na jego los i los każdego innego człowieka.

Świadomość takiej śmierci stanowiła brzemień, które jej matka nosiła w samotności. Ponieważ ona była aż tak słaba i do tego stopnia niegodna swego przyszłego tytułu.

Marc miał rację. Ona, Cecily, hrabina Losford, mając głowę nabitą osłodzonymi przekonaniem, nie miała pojęcia, jak okropne jest życie. Naraz wszystko się załamało i uległo jakby rozpadowi. Dobro. Zło. To, co słuszne. To, co niesłuszne. Wszystko straciło dawny sens. A ona pozostała z pytaniem, jak ma teraz żyć, jak ma wypełniać swoje obowiązki i postępować tak, jak spodziewali się po niej rodzice.

- Czy umarł w spokoju? Czy znalazł się przynajmniej ksiądz, który udzielił mu ostatniego namaszczenia?

- Tak. Twój ojciec wyspowiadał się przed śmiercią. Dostał rozgrzeszenie.

Cecily poczuła ulgę. Chociaż tyle.

- A inni? - zapytała. - Czy wielu innych spotkała wtedy śmierć?

- Tak. Ale twój ojciec był jedynym lordem.

Cecily przypomniała sobie tych łuczników bez zbroi i pomyślała, że ich ciała bez wątpienia zostały pochowane w ziemi wroga. Ich żony, córki i matki nie mogły znaleźć ukojenia, modląc się na ich grobach.

Pomyślała też, że winna jest Marcowi przeprosiny. Tak, powiedziała do siebie, przeproszę Francuza...

I doszła do wniosku, że świat naprawdę stanął na głowie.

Marcowi zdawało się, że dzisiejsze świąteczne ucztowanie ciągnie się w nieskończoność.

Zapadł już zmrok, a nikt się nie kwapił, by udać się na spoczynek. Cecily gdzieś zniknęła, a bez niej wszystko wydawało mu się nudne i męczące.

Nawet Enguerrand był jakiś nie w humorze. Księżniczka pełniła swoje królewskie obowiązki, a on patrzył na nią z drugiego końca sali z wyrazem twarzy, jakiego Marc u niego dotychczas nigdy nie widział.

Czy można mu ufać? - przypomniał sobie pytanie Cecily. Co zaszło po tym, jak wczoraj wieczorem oni oboje z Cecily opuścili tamtą piękną komnatę? I co działo się z Enguerrandem teraz, gdy nie odrywał wzroku od Isabelli? Na jego twarzy malowało się coś, czego Marc nie poznawał. Tęsknota? Radość? A może szczęście? Marc nie umiał rozsądzić. Wiedział tylko, że nie wróży to nic dobrego.

- Chodź ze mną.

Usłyszał głos Cecyli, a w następnej chwili poczuł jej dłoń na ramieniu, gdy pochyliła się nad nim.

- Chciałabym z tobą porozmawiać na osobności.

Marc wstał i wyszedł za nią na korytarz.

- Dokąd idziemy? - zapytał.

- Do komnaty, którą dzielę z dwiema innymi dwórkami lady Isabelli. Obie są teraz w Wielkiej Sali.

Nie zaprotestował i pozwolił się zaprowadzić do Okrągłej Wieży. Gdy weszli, Cecyli zamknęła drzwi, po czym spojrzała mu prosto w oczy.

- Muszę cię przeprosić - powiedziała. - A właściwie powinnam przeprosić wszystkich Francuzów. Z tym że przede wszystkim ciebie, bo ciebie właśnie najbardziej obraziłam.

- Ale za co? - zapytał zaskoczony.

- Miałeś rację. Mój ojciec nie zginął z ręki żadnego Francuza.

- Zatem zabiła go choroba?

Pokręciła głową.

- Zabił go zamarznięty deszcz. Nie mam pojęcia za jakie grzechy...

W jej spojrzeniu widział determinację, usta drżały, a po policzkach spłynęły pojedyncze łzy. Marc objął ją i przyciągnął do siebie.

- Wojna jest okrutna - powiedział, wiedząc, że te słowa to marne pocieszenie.

Cecyli pokręciła głową.

- Tak głupio postępowałam, obwiniając cię i wszystkich twoich rodaków...

Marc był tak zdumiony tym, że przyznała się do błędu, że w pierwszej chwili nie wiedział, co odpowiedzieć.

- A czy to przynosi ulgę? - zapytał po dłuższej chwili. - To znaczy... czy jest ci lżej, gdy już wiesz, jak umarł twój ojciec?

Patrzyła na niego przez chwilę z poważnym wyrazem twarzy.

- Nie - zabrzmiała w końcu jej odpowiedź, a zaraz potem następne, gorzkie słowa: - I pomyśleć... że się dowiaduję, że on nie poległ z honorem podczas walki, tylko... stracił życie w taki błahy sposób. Jak ja mam to znieść?

Marc wypuścił ją z ramion i przeszedł się po komnacie, zastanawiając się, jak do niej przemówić, jak ją upomnieć za to, że nie myśli o innych i płacze tylko nad sobą.

- Zachowujecie się tak, jakbyście byli jedyną osobą na świecie, która kogoś straciła - powiedział w końcu. - A tymczasem... śmierć jest wszędzie. Każdy kogoś traci.

- A ty? Straciłeś matkę? Ojca? Kogoś jeszcze? - zapytała prawie szeptem.

- Tak - przyznał. - Matkę, ojca i dopiero co urodzonego brata. I tylu towarzyszy broni, że nie potrafię ich zliczyć. A także... - zawahał się - ...a także kobietę - dookończył i spojrzał na jej twarz, na której odmalowało się zdumienie.

- I nie pograżyliście się w żałobie? - zapytała, nie zauważając jakby jego pozostałych strat. Zaraz jednak dodała: - Sądzę, że ja nie miałabym tyle siły co ty. By znieść śmierć tak wielu moich bliskich.

- A jaka ona była? Ta kobieta? - zapytała, podniósłszy na niego spojrzenie.

- Jasnowłosa. I miała niebieskie oczy...

I spoglądała na niego - wówczas młodego giermka wybierającego się na wojnę -

z zachwytem i podziwem.

- Pobraliście się?

Odchrząknął zawstydzony.

- Ona... była niższego... pochodzenia. A poza tym ja poszedłem na wojnę...

- A spotkaliście się jeszcze później?

- Tylko raz.

Okazała się przeciętnej urody, mizerną córką młynarza, która pod jego nieobecność, zamiast usychać z tęsknoty, wyszła za rzeźnika. I urodziła syna.

- I straciłeś ją - powiedziała Cecily.

Pomyślała, że ona zmarła, a tymczasem umarło tylko jego wyobrażenie o niej, jego złudzenia, które tak długo mu towarzyszyły.

- Ona wyszła za innego. A poza tym nie była warta tego, by za nią tęsknić.

- A... było dziecko?

Marc wzdrygnął się, bo przypomniał sobie, że niewinne maleństwo żony rzeźnika zmarło wkrótce po urodzeniu.

- Owszem. Ale nie moje. Widziałem w niej jedynie to, co chciałem widzieć.

Cecily pokiwała głową.

- Ja chyba robiłam to samo. Żyłam w oderwaniu od prawdziwego świata... A tymczasem...

W jej głosie rozebrzmiał smutek. Widział wyraźnie, jak jest wrażliwa i krucha. Obudziła w nim czułość - równie głęboką jak jej smutek i żaloba.

- Cecily - zaczął szeptem - ja chciałbym...

Podniosła na niego oczy, w których odbijało się jego pragnienie. Odchrząknął i odgarnął kosmyk włosów, który opadł jej na czoło. - Życie nie jest łatwe. Ani sprawiedliwe - powiedział. - Ale to... ta chwila... należy do nas.

Cecily uśmiechnęła się i podała mu usta.

Cecily nie potrafiłaby powiedzieć, jak to się stało. Może był to gest przeprosin? Może w ten sposób prosiła go o wybaczenie za to, że go źle traktowała? Albo też szukała pocieszenia i zapomnienia?

Całowała go i zastanawiała się nad tym gorączkowo, dopuszczając wszystkie te możliwości. Wszystkie poza jedną: że Marc stał się jej bliski.

A potem przestała się zastanawiać i nie myślała już wcale. Cieszyła się bliskością i poczuciem bezpieczeństwa. Czuła się teraz tak, jakby jej cała nienawiść do Francuzów zajęła się ogniem i wybuchła niepowstrzymaną namiętnością.

Opadli oboje na łóżko. Okrywał jej szyję pocałunkami, wędrował ustami coraz niżej i niżej... Jego dłonie błędziły po jej ciele w delikatnych dotykach i muśnięciach.

Je t'aime.

Obnażył jej piersi, a ona przywarła do niego całym ciałem, szukając jeszcze większej bliskości. Nie czuła zimna. Był tylko żar, który sprawiał, że pragnęła zrzucić z siebie suknię i pończochy, obnażyć skórę i wystawić ją, nagą, na jego gorące pocałunki. Czuć te pocałunki na szyi, na ramionach i niżej... na piersiach...

Lecz nagle znieruchomiał, ciężko westchnął i usiadł.

Cecily zamrugnęła i wróciła do rzeczywistości.

- Ja... Ty...

Nie znajdowała słów. A on milczał.

Odwróciła wzrok, rozpaczliwie szukając świata, który знаła. Ale ten świat zniknął. Zacisnęła pięści, uświadamiając sobie nagle, że to, czego się obawiała w przypadku Isabelli, omal nie stało się z nią samą. Omal nie zawiodła pamięci swoich rodziców.

Oddychała już wolniej. Poprawiła na sobie suknię i spojrzała mu w oczy.

- Nie możemy...

Na to on, zaciskając usta, kiwnął tylko głową, po czym wstał i poprawił na sobie tunikę.

- Byłaś dla mnie, pani, bardzo łaskawa, opowiadając mi o śmierci twojego ojca - powiedział.

Tak jakby nie zdarzyło się nic więcej.

- Skrzywdziłam cię.

Pokręcił głową.

- Ta zabawa w przebieranki, ta gra, którą prowadziliśmy, to udawanie przed innymi, sprawiło, że zbyt łatwo zapomnieliśmy...

- Nie udało się nam - przerwała Cecily - zrobić tego, co sobie zaplanowaliśmy.

Odetchnął głęboko.

- Lepiej będzie, jeżeli pozostaniemy wrogami - powiedział.

Kiwnęła głową.

- Już nigdy więcej nie znajdziemy się sam na sam - oznajmiła stanowczo, tak jakby to mogło zapobiec temu, co nie powinno się więcej zdarzyć między nimi.

- Enguerrand i ja wyjeżdżamy jutro rano. Jedziemy powitać króla.

- Enguerrand i Isabella będą przez kilka dni z dala od siebie.

- Tak jak my. - Westchnął. - A ja wkrótce po przyjeździe króla wrócę do Francji.

Był to cios, którego się nie spodziewała. Ostatnio bowiem udawało jej się ignorować myśl, że on będzie musiał pewnego dnia wyjechać.

- Król przywiezie okup?

- Tak - odrzekł, marszcząc brwi. - Albo wróci hrabia. Albo przyśle kogoś w swoim zastępstwie.

- Rozumiem - stwierdziła krótko, tak jakby to ją mało obchodziło. - Zatem jutro się pożegnamy.

- Nie jutro. Dziś. Teraz.

Zamknęła za sobą drzwi. I nastąpi zakończenie. Tak jak sobie życzyła.

- Tak, oczywiście. Tak będzie najlepiej.

- Nie zobaczę was więcej - powiedział.

- Ach... Ale może... jeszcze rano?

Pokręcił głową

- Nie, oczywiście, że nie - wycofała się, wiedząc, że to spotkanie jutro rano utrudniłoby tylko rozstanie. - Powinieneś teraz - powiedziała, robiąc ręką nieokreślony gest - wrócić do Wielkiej Sali beze mnie.

Odwrócił się do niej plecami i otworzył drzwi.

- Żegnaj - powiedziała wyraźnie, tak żeby ją usłyszał.

Zawahał się, ale się nie obejrzał. A potem do jej uszu dobiegł szept:

- *Adieu.*

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Marc nie poszedł do Wielkiej Sali, tylko od razu udał się do komnaty, którą dzielił z Enguerrandem. Postanowił, że potraktuje to, co zaszło między nim a Cecily, jak sen. Że uzna całą tę namiętność, całą tę czułość za nocny zwid, który należy zignorować. Za coś, co zniknie, gdy przyjdzie świt.

Pomyślał też z ulgą, że jutro wyjedzie. Opuści dwór angielski i angielską ziemię, na której, próbując ratować swego przyjaciela, sam wpadł w pułapkę, uległ szaleństwu podobnemu do tego, które – sądząc po tym, co zaobserwował tego dnia w Wielkiej Sali – ogarnęło także Enguerranda.

Położył się, ale nie mógł zasnąć. Było już bardzo późno, gdy usłyszał, że drzwi się otwierają i zobaczył migotliwe światło świecy.

Enguerrand wszedł chyłkiem do komnaty, w rozchełstanej koszuli, wnosząc ze sobą zapach miłości. Marc usiadł na posłaniu, by zobaczyć twarz przyjaciela i spojrzeć mu w oczy.

- Gdzie byłeś? – zapytał ostro.

Enguerrand usiadł na brzegu swego łóżka i postawił świecę.

- Żegnałem się.

- Z kim?

- Czyżbyś mnie przesłuchiwał?

- Byłeś z nią!

Usłyszawszy te słowa, Enguerrand przestał nagle być dumnym hrabią, a stał się po prostu zwykłym mężczyzną. Któremu zabrakło gładkich słów. Zgarbił się i opuścił głowę, podpierając ją obiema rękami. A w następnej chwili chwycił się za włosy i pokiwał na potwierdzenie głową.

Marc milczał, bowiem dobrze wiedział, jak czuł się jego przyjaciel. Sam znalazł się w podobnej sytuacji.

Gdy Enguerrand podniósł wreszcie głowę, Marc w nikłym świetle świecy zobaczył w jego oczach pustkę. I smutek – równie wielki, jak ten, którego sam doznawał.

- Co my teraz zrobimy, *mon ami*?

Co my zrobimy? Enguerrand powiedział „my”! Użył liczby mnogiej, tak jakby wiedział o Marcu i Cecily wszystko to, do czego Marc próbował się nie przyznawać, nawet przed samym sobą.

- Co zrobimy? – powtórzył Marc. – Ano wyjedziemy jutro na spotkanie króla. A potem jak najszybciej wrócimy do Francji...

I zapomnimy o wszystkim, co się tutaj zdarzyło, dodał w myślach, w złudnej nadziei, że to zakończy sprawę.

Na drugi dzień rano, gdy Cecily walczyła ze sobą, by nie myśleć o Marcu, u jej drzwi zjawiał się rzeźbiarz Peter.

- Miałeś przyjść dopiero w Święto Trzech Króli – zaczęła, próbując się go pozbyć,

bo wciąż nie była gotowa na rozmowę o nagrobku.

Nie znalazła nawet szkiców, o których poprzednio mówili.

- To prawda, pani - przyznał rzeźbiarz. - Ale wyruszam do Dover ze wszystkimi, którzy mają witać francuskiego króla... - Przerwał, gdy spojrzała na niego zaskoczona. - A ty, pani, nie jedziesz z nimi?

- Nie - odrzekła Cecily, której król Edward nie nakazał przyłączenia się do witających francuskiego monarchę. - Ja wybiorę się do domu dopiero na wiosnę...

Po krótkiej rozmowie poleciła rzeźbiarzowi jechać do Dover i wykończyć nagrobek zgodnie ze wskazówkami jej matki.

- Obejrzę go, kiedy wrócę - zakończyła.

- Ale wtedy będzie za późno, by coś w nim zmienić - powiedział rzeźbiarz.

- Skoro tak, to nie będzie żadnych zmian. To ty rozmawiałeś z moją matką. Zrób więc tak, jak sobie życzyła.

Rzeźbiarz z cichym „Tak, pani” wyszedł z jej komnaty. A ona, gdy się oddalił na tyle, by nie móc nic słyszeć, uderzyła pięścią w stół i rozplakała się, nie mając pewności, co spowodowało te łzy. Czy to, że straciła złudzenia, czy może Marca de Marcela.

Przed południem w dzień Świętego Stefana Marc dosiadł konia całkiem już gotowy do wyjazdu. To znaczy do opuszczenia Windsoru, a także Cecily i całej *Angleterre*.

Siedząc już w siodle, pochylił się ku znajdującemu się tuż obok Enguerrandowi.

- Widziałeś ją? - zapytał.

- Nie. - Enguerrand pokręcił głową. - Nie widziałem od czasu gdy... - Gdy opuściłem jej łóżko, dokończył w myśli. - A ty?

Marc także pokręcił głową.

Skierowali wierzchowce w stronę bramy, a gdy tylko przez nią przejechali, Enguerrand obejrzał się przez ramię i podniósł rękę w pożegnalnym geście. Marc natomiast zacisnął zęby i, trzymając mocno wodze, wbił wzrok w drogę, która prowadziła do Francji, do domu, do jego ojczyzny.

Spróbował przywołać wspomnienia swego kraju. Zieleń wiosny, tak bardzo cieszącą oczy; skałę, na której, wysoko nad rzeką, stał należący do hrabiów Coucy warowny, wspaniały zamek... I wszystko to wydało mu się teraz dziwnie odległe. Poczul się tak, jakby opuścił swój kraj rodzinny nie wtedy, gdy przyjechał do Anglii, tylko wtedy, gdy wyruszył na wojnę.

A gdy pomyślał o domu, to zdołał oczyma wyobraźni zobaczyć jedynie Cecily. Czyli osobę, której przecież postanowił nigdy więcej nie widzieć.

W bladym słońcu późnego poranka Cecily i Isabella wymknęły się tylko we dwie na szczyt Okrągłej Wieży. Gdy kawalkada odjeżdżających znalazła się za bramą nowego dolnego dziedzińca, lord Coucy obejrzał się i pomachał ręką. Marc tymczasem jechał niewzruszenie naprzód i patrzył się przed siebie.

Cecily spojrzała na księżniczkę, która wyglądała na bardzo zasmuconą, i pomyślała, że ten czas rozłąki powinien pozwolić im obu oderwać się od wspomnień o świątecznych zabawach. Gdy Enguerrand wróci, Isabella będzie już zajęta innymi roz-

rywkami.

A ona? Zapewne wkrótce wyjdzie za mąż i postara się całkowicie zapomnieć o Marcu.

- Pojechali... - przerwała ciszę lady Isabella.

Cecily kiwnęła głową. Pojechali i wszystko się skończyło.

Isabella odwróciła się i ruszyła ku schodom, a Cecily poszła za nią, szukając w myślach jakiegoś błahego tematu.

- Ta ich podróż - powiedziała - zostanie dokładnie opisana. Bo królowa posłała z nimi kronikarza. Froissart opisze wszystko ze szczegółami.

Isabella nawet nie kiwnęła głową.

- Oni zmarzną - odezwała się po dłuższej chwili, oglądając się w stronę bramy.

Cecily pomyślała, że te słowa są jak echo jej własnych myśli. Przed chwilą wyobraziła sobie Marca w zimnej zbroi i przemoczonej pelerynie na ramionach. Martwiła się o jego zdrowie.

- Zróbmy coś wesołego - zaproponowała, pragnąc za wszelką cenę zmienić nastrój księżniczki. - Poszukajmy błazna Roberta. On nas rozweseli.

Lecz Isabella wzruszyła tylko ramionami. Apatycznie, tak jakby rozstanie z Enguerrandem odebrało jej całą energię. A potem pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia, co zrobię - powiedziała cicho.

- W związku z czym? - zapytała Cecily.

A wtedy Isabella spojrzała na nią jak kobieta.

- W związku z nim - padła jej odpowiedź.

- Nie zrobisz nic, pani. Okres Bożego Narodzenia minął. Skończyły się nasze zabawy. Obie o tym zapomnimy. I będziemy żyły dalej.

Jednak Isabella, zamiast się uśmiechnąć, pozbyć się melancholii i przytaknąć, pokręciła głową i popatrzyła na Cecily smutnym, pustym wzrokiem.

- Ja... chcę być z nim.

Padły z jej ust takie zwykłe, proste słowa. Które jednak oznaczały coś całkiem niemożliwego.

- Będiesz z nim, Wasza Wysokość. W Londynie.

Dwór ponownie miał ruszyć w drogę. Za pięć dni mieli wszyscy spotkać się w Londynie i tam powitać po królewsku francuskiego monarchę. Może i Marc nie wyjedzie tak od razu do Francji i jeszcze się zobaczą.

- Wiesz, że nie to mam na myśli. Ty pragniesz tego samego, prawda?

- Ja?

Cecily spróbowała się roześmiać.

- Co masz na myśli, pani?

- Czas, który z nim spędziłaś... Sposób, w jaki na niego patrzysz... Pocałunek...

Czyżby Isabella dostrzegła to, do czego ona nie chciała się przyznać nawet przed sobą?

- Ale... to przecież... była tylko zabawa. Zarówno dla mnie, jak i dla ciebie, pani.

Isabella pokręciła głową.

- Nie. To było coś więcej. Bo widzisz... ja... robiłam pewne rzeczy...

Księżniczka przerwała i zamknęła oczy.

- Jakie rzeczy? Co robiłaś, pani?

- Ja z nim byłam w łożu.

Cecily zaniemówiła. Oto stało się to, czego się najbardziej bała i czemu próbowała zapobiec. Zajęta Markiem i własnymi uczuciami straciła czujność.

Zaczerpnęła powietrza, próbując zebrać myśli.

- Czy jesteś...? - urwała.

Jak zadać to pytanie? Tylko mężczyźni mogli mieć nieślubne dzieci. Ale przecież nie kobieta! Zwłaszcza królewska córka. A jednak, pomyślała Cecily, muszę zadać to pytanie. Muszę wiedzieć.

- Czy jesteś, pani, brzemienna?

- Nie. Nie wiem. Nie sędzę. To było... tylko ostatniej nocy.

Ostatniej nocy. Wtedy, kiedy ona, Cecily, zmagająca się z tymi samymi pragnieniami, tymi samymi uczuciami, kiedy uświadomiła sobie, że Marc jest jedynym mężczyzną, którego pragnie i którego będzie pragnąć przez całe życie.

Objęła przyjaciółkę, osłaniając ją od wiatru. Gdy wejdą do środka, nie będą mogły powiedzieć nic więcej. Bo w pałacu ściany mają uszy.

- A więc zaczekamy. Zaczekamy i zobaczymy.

Isabella pokręciła gwałtownie głową.

- Jeżeli nawet nie jestem... to... chcę zostać jego żoną!

Cecily już miała wyliczyć powody, dla których to było niemożliwe. Jednak rozumiejąc, że jest już za późno - zarówno dla księżniczki, jak i dla niej samej - zapytała tylko:

- A twoi rodzice, pani? Nic im nie powiedziałaś, prawda?

- Rodzicom? Jakżebym mogła. Oni mi nigdy niczego nie odmówili, ale to... - Księżniczka westchnęła. - A jednak... ojciec był gościnny, prawda? - Ożywiła się nagle. - Więc może z czasem...

- Ale królowa? Najjaśniejsza Pani z pewnością będzie się... wahała?

Królowa... Jak ona to przyjmie? - zastanawiała się Cecily. - I jak ja spojrzę jej teraz w oczy?

- A poza tym, gdybyście się pobrali, musielibyście wyjechać do Francji.

- Ojciec już się zgodził oddać Enguerrandowi jego posiadłości w Anglii - powiedziała księżniczka, podnosząc dumnie głowę. - Moglibyśmy tam zamieszkać.

Tylko miłość może być tak ślepa, pomyślała Cecily. Coucy był jednym z największych francuskich wielmożów. I z pewnością nie zamieniłby jednego z najpotężniejszych majątków i zamków na jakiś skrawek ziemi gdzieś na północy Anglii.

- A lord Coucy? - zapytała, pragnąc to księżniczce delikatnie zasugerować. - Czy on chce tego samego co ty?

- Cóż... - odrzekła z wahaniem księżniczka - ...wiem, że traktat nie wymaga, by po powrocie króla Jana do Anglii on musiał tutaj nadal przebywać. Ale nie powiedział... A ja... nie zapytałam...

Cecily westchnęła.

- Na razie nie możemy nic zrobić. Musimy poczekać...

Tak, musimy czekać i modlić się, żeby księżniczka nie była brzemienna, pomyślała. A także prosić Boga o zmiłowanie nie tylko dla niej, ale... i dla mnie.

Isabella, znękana, kiwnęła głową.

- Ani słowa o tym, Cecily. Nikomu.

Cecily przyjęła ten zakaz jako oczywistość. A mimo to, gdy schodziły z wieży, zapragnęła powiedzieć o tym Marcowi.

I mu podziękować.

Bo to nie ona zeszłej nocy uratowała samą siebie przed losem Isabelli. To Marc cofnął się w porę. I to honor Marca, honor, w który tak długo wątpiła, uratował ich.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Gdy skończył się okres Bożego Narodzenia, dwór wrócił do Londynu. Francuski monarcha wjechał uroczyście do miasta w asyście dwustu francuskich kawalerów i zamieszkał w Pałacu Savoy. A po jego przyjeździe nadal trwały królewskie zabawy.

Isabella i Cecily liczyły dni dzielące księżniczkę od ostatniego okresu kobiecej słabości, próbując się zorientować, czy jest brzemienna. A gdy król Edward miał przyjąć swego królewskiego gościa w Westminsterze, Isabella z płaczem postanowiła zostać w łóżku i zmusiła Cecily, by ta wymyśliła historyjkę o jej nagłej choć niegroźnej chorobie. A potem dni płynęły, a one wciąż nie były pewne, czy księżniczka nosi dziecko lorda Coucy.

Aż wreszcie, w pewien mroźny styczniowy wieczór były burmistrz Londynu wydał w swoim domu przyjęcie dla obu monarchów.

Księżniczka, nie mogąc się tym razem ukryć we własnych komnatach, przygotowywała się do niego bardzo starannie. Wiedziała bowiem, że podczas przyjęcia ponownie zobaczy się z lordem Coucy.

- Kiedy go zobaczę... - powiedziała do Cecily - to... co mu powiem?

Cecily nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie.

- Nie martw się, pani - odrzekła. - Wyglądasz pięknie.

I przemknęło jej przez myśl, że ona sama, gdyby kiedyś, w wysnionej przyszłości, spotkała ponownie Marca, powiedziała by zapewne: „Tęskniłam za tobą”. W następnej chwili zganiła za tę myśl samą siebie. Marc de Marcel to przecież francuski zakładnik. Człowiek, który był jej przydatny do pewnego celu, a nie ktoś jej bliski. Tak sobie powiedziała, a potem, podczas zabawy, starała się o nim nie myśleć.

Rozmawiała z kawalerami i wdowcami, a nawet zatańczyła z jednym z nich. Gdy taniec się skończył, zadała sobie w duchu pytanie: „Jak by to było dzielić łóżko właśnie z nim?”. Spróbowała to sobie wyobrazić i wtedy mimowolnie ujrzała w wyobraźni Marca. Ogarnął ją głęboki żal. Isabella ma przynajmniej co wspominać, pomyślała, gdy tymczasem ja...

Nie, nie! Nie powinnam tak myśleć, upomniała się. Marc postąpił honorowo i jestem mu za to naprawdę szczerze wdzięczna.

Jej wzrok zaczął błądzić po sali pełnej nowo przybyłych francuskich kawalerów, którzy towarzyszyli królowi Janowi. I w pewnej chwili natrafił na postać wysokiego, barczystego, jasnowłosego mężczyzny, stojącego na uboczu i sprawiającego wrażenie, jakby nie czuł się tutaj swobodnie.

Dokładnie tak jak przed kilkoma tygodniami, w dniu, kiedy się poznali.

Mężczyzną tym był Marc de Marcel.

Cecily nie podeszła prosto do Marca. Zmierzała do niego, rozmawiając po drodze z innymi gośćmi, meandrując z pozoru bez celu przez salę, niczym strumień, który jednak nieubłaganie dąży ku swemu ujściu.

Marc, obserwując ją z daleka, zbierał się w sobie. Mobilizował siły, by stanąć z nią twarzą w twarz. To, co było między nimi, minęło – wiedział o tym. Odeszło w przeszłość razem ze świątecznymi zabawami, a także z ich nieudanym planem rozdzielania Enguerranda i Isabelli. Teraz lady Cecily była znowu angielską hrabiną. A on – jedynie francuskim zakładnikiem. Kiedy stanęła przed nim, przez dłuższą chwilę patrzył w jej zielone oczy, które co noc mu się śniły.

Uklonił się nisko.

– Ktoś kiedyś mnie pouczył – odezwał się – że rycerz powinien witać damę ukłonem.

Skłoniła lekko głowę.

– Widzę – odrzekła – że podczas pobytu w Anglii nauczyłeś się bardzo wiele.

– Tak, pani. Dowiedziałem się i doświadczyłem rzeczy, których nie spodziewałbym się spotkać w Anglii.

I których nigdy nie zapomnę, dodał w myśli i uśmiechnął się smutno. Odpowiedziała mu równie smutnym uśmiechem.

– Podobnie jak ja, kawalerze. Podobnie jak ja.

Było to całkiem bezpieczne. Tu, w tłumie, nic im nie groziło. Nikt bowiem nie zdziwiłby się, widząc rycerza i damę grzejących się przez chwilę przy kominku i prowadzących lekką, niezobowiązującą konwersację.

– Nie sądziłam, że cię znowu zobaczę – powiedziała Cecily, zniżając głos.

– Ani ja, że zobaczę ciebie, pani.

– Nie wyjecha... – Zawahała się. – Myślałam, że już opuścicie Anglię.

– Nie, pani.

Jej uniesione brwi pytały: „Dlaczego?”. Jednak on nie mógł na to pytanie udzielić odpowiedzi. Prawda wyglądała tak, że nie wracał do domu. I nie miał pojęcia, dlaczego taki właśnie los go spotyka.

Od chwili, gdy król Jan postawił stopę na angielskiej ziemi, czekał na królewskie słowa, które mu obwieszczą, że jest wolny. Czekał na nie w porcie w Dover i w drodze do Canterbury. A potem przez całą drogę z Canterbury do bram Londynu. Na próżno. A gdy przy wtórze powitalnych okrzyków bramy Londynu zamknęły się za całym królewskim orszakiem, nie miał już dłużej żadnych złudzeń – był zakładnikiem i wrócił do więzienia.

– Ale... nie widziałam cię, panie, gdy król przyjechał do Westminsteru – powiedziała Cecily. – Nie należysz do jego dworu?

Lord Coucy przyłączył się do dworzan króla Jana i zamieszkał w pałacu nad rzeką. Ale dla Marca nie było tam miejsca. Nie było go także w Tower.

– Jestem teraz gościem naszego dzisiejszego gospodarza, Henriego Picarda – odrzekł.

– Ale dlaczego... – zapytała, dotykając jego rękawa – ...dlaczego nie jesteście razem z lordem Coucy i pozostałymi francuskimi rycerzami?

– Lord Coucy jest wielkim panem, arystokratą. A ja tylko zwykłym rycerzem.

A mimo to wpatrywała się w niego z rozchylonymi ustami i... gdyby przysunął się do niej bliżej... gdyby byli sami...

– Ach, lady Cecily, wreszcie cię znalazłam! – przerwał im donośny głos pani domu.

– Lady Isabella czeka już w moich komnatach, gdzie zaraz zaczną grać minstrele.

Zostawcie więc mężczyzn, niech sobie grają w swoje kości, i przyłączcie się do nas.

Marc złożył głęboki ukłon.

- Pani, nasza gospodyni przygotowała zapewne coś wyjątkowego - padły z jego ust spokojne, uprzejme słowa.

Cecily cofnęła rękę i skłoniła głowę. Była znowu hrabiną. Pozwoliła się gospodyni poprowadzić na górę wąskimi drewnianymi schodami.

Marc został sam i nie odprowadzał jej wzrokiem.

- Tu jesteś, *mon ami* - usłyszał nagle głos Enguerranda. - Bardzo dawno się nie widzieliśmy.

Uścisnęli sobie dłonie i poklepalili się po ramionach. Tak jakby nic się nie zmieniło. A potem Marc zwierzył się Enguerrandowi, że czeka tu na okazję, by porozmawiać z królem.

- Na temat mojego powrotu do domu - dodał z naciskiem. - Chyba to nie jest zbyt śmiało z mojej strony? Bo chcę przecież jedynie tego, co mi obiecał hrabia przed moim wyjazdem do Anglii. To znaczy chcę wrócić do Francji przed Wielkanocą. Poproszę króla, żeby mi to umożliwił. Honor przecież wymaga, by Najjaśniejszy Pan sprawił, by spełniło się to, co zostało obiecanie. A ty? Czy nie jesteś gotowy opuścić Anglię?

Nastąpiła chwila milczenia. Tak jakby Coucy zastanawiał się.

- Życzę ci wszystkiego najlepszego - powiedział w końcu, po czym się oddalił i poszedł się przyłączyć do towarzystwa grającego w kości.

Upłynęła godzina, zanim król Jan przerwał grę i wyszedł na zewnątrz do wygodki. Gdy wracał przez wąski korytarzyk, Marc zaszedł mu drogę, padł przed nim na kolana i pochylił nisko głowę.

- Najjaśniejszy Panie!

- De Marcel? To ty? Nie wiedziałem, że tutaj jesteś.

Te słowa wystarczyły za odpowiedź. Taką, jakiej Marc się obawiał. Na jego zapytanie o okup lub o kogoś, kto miałby go zastąpić w niewoli, król tylko, milcząc, pokręcił głową.

- A zatem - powiedział Marc - wasz przyjazd tutaj, Najjaśniejszy Panie, oznacza jedynie powrót do domu dla tych, którzy byli trzymeni w waszym zastępstwie na mocy traktatu?

- Tak - potwierdził król. - Wróciłem tutaj i oddałem się w niewolę... Jednak nie w zastępstwie pozostałych zakładników.

- Ale... - zaczął Marc i zamilkł, zawiedziony i rozczarowany.

- Wielkanoc nie tak blisko. Jest jeszcze czas - odparł król tonem pocieszenia i położył rękę na ramieniu Marca. - Jest ci źle? Nie jesteś dobrze traktowany?

Jestem więźniem! - zapragnął zawołać Marc, ale powstrzymał się.

- Dlaczego tutaj wróciliście, Najjaśniejszy Panie? - zapytał, wątpiąc, czy powód tej królewskiej podróży ma coś wspólnego z honorem.

- No cóż, traktat i jego warunki... - odrzekł na to król. - Dla Francji konieczność płacenia okupu oznacza ruinę. Mam więc nadzieję, że... jeżeli porozmawiam z Edwardem... to dojdziemy jakoś do porozumienia.

A więc król przybył tutaj, żeby negocjować wysokość rujnującego Francję okupu,

żeby nie wypuszczać z rąk złota. Martwił się o złoto! A los rycerza był mu całkiem obojętny. Tak pomyślawszy, Marc odważył się zapytać:

- I rozmawialiście, Najjaśniejszy Panie, z królem Edwardem?

- Jeszcze nie. Ale mam nadzieję, że porozmawiam z nim wkrótce. Może nawet jutro.

Król zakończył na tym rozmowę i się oddalił. A Marc wstał z kolan, czując takie zmęczenie jak po trwającej cały dzień bitwie.

Wrócił do swojej ciasnej izdebki ze świadomością prawdy, którą znał już przedtem, ale próbował ją ignorować. Nie będzie żadnego okupu. Żadnego wyzwolenia. Marc de Marcel zestarzeje się tutaj, w tym zimnym kraju w rękach Anglików. Opuuszczony przez ludzi, dla których honor jest jedynie słowem.

Tak blisko, a równocześnie tak daleko od lady Cecily.

Chyba że... Chyba że zdecydowałyby się pogwałcić zasady rycerskiego honoru. Skoro zrobił to nawet syn królewski, uciekając z niewoli i łamiąc dane przez siebie słowo, to dlaczego zwykły rycerz bez jednego sou przy duszy nie miałby postąpić tak samo?

Cecily, słuchając w komnatach żony Picarda zaproszonych przez nią minstreli, czuła się jak w pułapce i myślała tylko o tym, żeby się stąd wyrwać. Marc był tuż obok, a ona bardzo pragnęła zobaczyć go ponownie.

Nie zadawała sobie pytania dlaczego. Nie zastanawiała się też, co się stanie, gdy jej pragnienie się spełni. W końcu, gdy już czuła, że dłużej nie wytrzyma, wyszeptała do Isabelli kilka słów usprawiedliwienia, po czym wstała i wyszła z komnaty.

Kiedy znalazła się na schodach, spojrzała w dół, zamierzając zejść na parter. A równocześnie za jej plecami dało się słyszeć ciche stuknięcie. Odwróciła się, by spojrzeć w górę. I zobaczyła Marca.

Przez chwilę oboje stali jak skamieniali, a w następnej chwili Cecily, wiedzioną instynktem, któremu posłuszne okazało się jej ciało, wbiegła szybko po schodach. Błyskawicznie znalazła się na podeście i wpadła do niewielkiej izdebki. Tu natychmiast objęła Marca za szyję i złożyła głowę na jego piersi.

- Myślałam, że nigdy cię już nie zobaczę!

- Nie zamierzałem... - zaczął Marc, po czym, zamiast skończyć zdanie, zamknął za nimi drzwi.

Nareszcie byli sami. Marc działał teraz bez wahania. Nie szukał słów. Nie próbował nic powiedzieć. Wziął Cecily pod brodę i ją pocałował.

Ta prosta pieszczota zastąpiła im słowa i okazała się wymowniejsza w wyrażaniu uczuć. O ileż łatwiej było w pełnym namiętności pocałunku zawrzeć swoją tęsknotę i pragnienie bliskości.

Marc całował szyję Cecily, a ona wsunęła dłonie pod tunikę, chłonąc ciepło jego ciała. Nie wypuszczając jej z uścisku, Marc cofnął się, ale napotkał stopą przeszkodę, zachwiał się i razem z Cecily opadli na twarde łóżko. Naraz wszystko inne przestało się liczyć. Cały świat wokół stracił znaczenie. Pozostała tylko niezaspokojona potrzeba, która z wielką siłą przyciągała ich ciała do siebie.

Nagle pod nimi, piętro niżej, dały się słyszeć oklaski. Koncert minstreli się skończył, a wraz z nim szaleństwo Cecily nagle ustąpiło. W jednej chwili stała się hrabi-

nią świadomą tego, kim jest i co robi. I z kim.

Marc poruszył się pierwszy. Wstał i zastawił drzwi taboretami, a potem wyciągnął rękę, by pomóc i jej podnieść się z łóżka.

Cecily spojrzała w dół i z przerażeniem zobaczyła, że ubranie ma w nieładzie. Jeden z perłowych guzików jej sukni zwisał na pojedynczej nitce, a spódnica była nadpruta w pasie i ciągnęła się po podłodze.

Jeżeli wyjdę stąd w tym stanie, pomyślała w popłochu, wszyscy – od króla po najmłodszą służkę – będą wiedzieli, co robiłam.

– Co... co ja mam teraz począć? – wyjąkała przerażona.

Marc, z przytomnością umysłu, odrzekł:

– Źle się poczułaś, a ja cię znalazłem zbolaną na schodach i przyprowadziłem tutaj, byś mogła odpocząć. Znajdę przewoźnika, który zaraz zabierze cię swoją łodzią do Westminsteru.

Następnie sięgnął po swoją pelerynę, okrył nią szczelnie Cecily, otworzył drzwi i wziął ją na ręce.

– Chwyć się teraz za brzuch i jęcz – polecił szeptem.

Cecily, przerażona, usłuchała, a gdy byli już na schodach, tuż obok nich znalazła się nagle gospodyni.

– Co się dzieje? Co się stało? – pytała szeptem, zaskoczona.

Gdy Marc wyjaśnił jej, że Cecily z powodu bólu brzucha upadła na schodach i że teraz chce udać się do swojej komnaty w Westminsterze, zaoferowała zaraz pomoc.

– Chodźcie za mną – powiedziała. – Mój służący zabierze lady Cecily do Westminsteru.

Zeszli na dół drugimi schodami, prowadzącymi wprost do przystani. Znalazłszy się tuż nad wodą, podeszła do przewoźnika i wydała mu odpowiednie polecenia.

Cecily tymczasem podniosła oczy i wpatrzyła się w twarz Marca.

– Czy jeszcze cię zobaczę? – zapytała prawie niedosłyszalnym szeptem.

– Wkrótce – odrzekł jej równie cicho, pieszcząc palcami policzek.

Stała na oddalającej się łodzi i patrzyła na niknącą w mroku sylwetkę Marca, myśląc o tym, jak bardzo okazała się słaba i bezbronna w obliczu ogarniającej ją namiętności. Gdyby nie rozległy się te oklaski, gdyby im obojgu nie przeszkodził dobiegający z dołu hałas, stałoby się nieodwracalne; zatryumfowałyby żądza każąca im połączyć się tak, jak połączyli się Isabella z Enguerrandem...

Najgorsze było jednak to, że Marc stał się jej bliski. Tak bliski, że gdy go straci – ponownie i Bóg wie, na jak długo – pograży się w szarej, bezlitosnej mgłę bólu i żałoby.

Marc stał nieruchomo na brzegu rzeki, odprowadzając wzrokiem łódź unoszącą w mrok Cecily. I nie drgnął nawet wtedy, gdy ją pochłonęła ciemność.

Tego wieczora wydarzyło się stanowczo zbyt wiele.

Ratunek, którego spodziewał się od króla, nie nadszedł. A to oznaczało, że jest skazany na długie lata życia tutaj, w tym piekielnym stanie zawieszenia, blisko Cecily, a równocześnie tak od niej daleko.

Choć przedtem nieobca mu była myśl o ucieczce, teraz – po tym jak trzymał Ceci-

ly ponownie w ramionach – ucieczka wydała mu się wprost nie do pomyślenia. Bo jakże mógłby opuścić Cecyli, porzucić ją na zawsze z własnej woli i skazać się na to, że już nigdy nawet jej nie zobaczy?

Gdy ciemność bez reszty ogarnęła już łódź, gdy ucichł nawet plusk wiosł, Marc odwrócił się i wszedł do domu, który opuszczali właśnie dzisiejsi goście.

Zmierzał właśnie ku schodom, gdy poczuł na ramieniu dłoń Enguerranda.

– Tu jesteś, *mon ami*. Rozmawiałem z królem. I mam dobre wieści.

Marc odwrócił się i spojrzał na przyjaciela ze świadomością, że wygląda jak ktoś, kto przed chwilą stał twarzą w twarz ze śmiercią.

– Ja też rozmawiałem z królem – odrzekł. – I nie miał dla mnie żadnej dobrej nowiny.

Coucy popatrzył na niego ze współczuciem.

– No cóż – powiedział – nie mogę sprawić, byś udał się do Francji, jednak mogę cię zabrać z tego domu. Ustaliłem, że będziesz mógł zamieszkać z królewskimi dworzanami. Będziesz między swoimi. I ze mną. Jestem pewien, że tam będzie ci znacznie wygodniej. – Tu Enguerrand uśmiechnął się smutno. – W każdym razie na tyle, na ile to możliwe w takiej bliskości ognia piekielnego.

– Księżniczka? Czy ona...? – zaczął Marc, lecz przerwał, bo nie mógł zadać głośno tego pytania.

Enguerrand milczał.

– A zatem... kiedy mogę się przenieść?

– Dzisiaj. Spiesz się.

Marc miał tak mało rzeczy, że spakował się w kilka minut, choć nie przestał zastanawiać się, czy rzeczywiście wśród królewskich dworzan będzie mu lepiej. Będzie przecież narażony codziennie na mękę spotkania Cecyli.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W kilka dni później hrabia Eastham przysłał pazia z zaproszeniem dla Cecily na partię szachów. Odpowiedziała posłańcowi, że musi się najpierw dowiedzieć, czy nie potrzebuje jej księżniczka, i pospieszyła do komnat Isabelli.

- Czy król wybrał Easthama? Czy to on ma być moim mężem? - zaraz od progu zapytała.

Dowiedziała się, że choć nic jeszcze nie zostało zdecydowane, królowa chce, by spotkała się z kilkoma ewentualnymi kandydatami i powiedziała, który najbardziej przypadł jej do gustu.

- Najjaśniejsza Pani jest bardzo łaskawa - powiedziała Cecily.

Wiedziała jednak, że jest to tylko pusty gest ze strony królowej, bo wszystko i tak będzie zależało od króla. A on wybierze tego człowieka, który najbardziej nadaje się na pana zamku Losford i obrońcę angielskiego wybrzeża, a nie tego, który najbardziej jej się spodoba.

- A gdy Najjaśniejszy Pan dokona wyboru, ja oczywiście przyjmę go z pokorą - dodała bez entuzjazmu, przypominając sobie, że od czasu, gdy widziała się z Markiem, upłynął tydzień.

- Matka jest więcej niż łaskawa - odrzekła Isabella. - Rozmawiałam z nią o Enguerrandzie i powiedziała, że się zastanowi...

- Nad ślubem? - Nie, to wprost niemożliwe! Córka królewska mówi o małżeństwie z miłości? - A Enguerrand? Czy on chce tego samego co ty, pani?

Isabella uśmiechnęła się nieśmiało.

- Chyba tak. Ale nie może o tym mówić... dopóki... dopóki to nie będzie... pewne. Ale mam nadzieję.

- To bardzo dobra nowina, pani - powiedziała Cecily, choć czuła zazdrość. - A teraz proszę o wybaczenie, muszę dać odpowiedź paziowi Easthama.

- Dobrze, idź. Ale, Cecily! - Isabella gestem przywołała ją z powrotem. - Twój kawaler będzie na uczcie, którą wydaję dziś wieczorem.

- On nie jest moim kawalerem - zaprzeczyła Cecily, lecz mimo woli rozpromieniła się.

- Ale go lubisz, prawda?

- Mam obowiązek poddać się woli Najjaśniejszego Pana i czekam na jego wybór.

- No cóż... - Isabella uśmiechnęła się. - Dopóki ojciec nie wybierze ci męża, możesz przynajmniej cieszyć się towarzystwem swego Francuza.

Ciszyć się jego towarzystwem... To było coś, co Cecily pragnęła czynić - całym sercem i całą duszą. Tak, było to coś, czemu przez te kilka tygodni, które jej zostało, pragnęła się oddawać, mimo że było to tak niebezpieczne.

Upłynął zaledwie tydzień od czasu, gdy dołączył do dworu króla Jana, a Marc już znalazł się w Westminsterze na jednym z tych zgromadzeń, które Isabella i Enguer-

rand tak bardzo lubili.

Stał teraz jak zwykle na uboczu, obserwując Cecily rozmawiającą w drugim końcu sali z jakimś krzepkim, przysadzystym Anglikiem.

Ten widok budził w nim zazdrość, do której przecież nie miał prawa, bo Cecily nie należała do niego. I nigdy nie miała należeć...

Kiedy wreszcie skończyła rozmowę, z subtelnym wdziękiem ruszyła przez salę w jego stronę. A kiedy przed nim stanęła, on z wielkim trudem powstrzymał się od wzięcia jej w ramiona.

- Cieszę się, pani - powiedział, gdy już się przywitali - że wróciłaś do zdrowia po chorobie, która dotknęła cię tamtego wieczoru.

- Obawiam się - odrzekła - że nie całkiem. Wygląda na to, że ta choroba wciąż... nie chce mnie opuścić.

- Rozumiem. Ja także zostałem nią dotknięty. Czy nie ma na nią lekarstwa?

- Jeżeli istnieje, to nie jest mi znane. A co gorsza, okazuje się, że trzymanie się z dala od źródła zakażenia, nie niweluje objawów. Pomyślałam więc - dodała, patrząc mu prosto w oczy - że zbliżę się do tego źródła, a może... z czasem choroba przestanie być taka dokuczliwa.

- Z czasem... W ciągu zaledwie kilku tygodni - wyszeptał.

- Tak - potwierdziła, kiwając głową. - W ciągu kilku tygodni, które nam zostały...

Zamilkła na chwilę, a potem obejrzała się przez ramię.

- Co się stało? - zapytała szeptem. - Myślałam, że po powrocie króla Jana ty... Dlaczego nie pojechałeś do domu?

Tamtego wieczoru nie było czasu, by to wyjaśnić, a teraz Marc nie miał ochoty się nad tym rozwodzić.

- Król nie przywiózł okupu za mnie - powiedział krótko. - Ani kogoś, kto by mnie zastąpił. Wygląda na to, że zanim dojdzie do uwolnienia kogokolwiek spośród zakładników, nasi dwaj monarchowie będą negocjować. Jest wiele spraw, które mają poruszyć.

- Wiecie jakich?

- Zwyczajny kawaler - odrzekł z uśmiechem, kręcąc głową - nie jest w takie rzeczy wtajemniczany.

- Wiem, co to znaczy czekać na królewską decyzję - westchnęła Cecily.

- Czy to on? - Marc spojrzał gniewnie na mężczyznę, z którym ona dopiero co rozmawiała. - Czy to jego król wybrał na męża dla ciebie?

- Jego nazwisko jest wymieniane wśród nazwisk innych ewentualnych kandydatów.

Marc, zniecierpliwiony, wzruszył ramionami.

- Czy księżniczka - zapytał - nie zna planów swojego ojca co do twojej przyszłości?

- Księżniczka jest zajęta innymi sprawami - odrzekła krótko Cecily. - A... czy on... mówił o niej? - dodała zaraz szeptem, patrząc w stronę księżniczki i Enguerranda, którzy, uśmiechając się sztucznie, stali sztywno w bezpiecznej odległości od siebie.

Marc spojrzał w oczy Cecily i natychmiast nabrał przekonania, że ona, podobnie jak on, wie, co zaszło w wieczór Bożego Narodzenia.

- Mężczyźni nie rozmawiają o takich sprawach - uciął.

Czy jest brzemienna? – miał ochotę zapytać.

– Wygląda na to, że nasze wysiłki na nic się nie zdały – powiedziała Cecily.

– To prawda – przyznał. – Nie osiągnęliśmy nic prócz tego, że zbliżyliśmy się do siebie.

Wyglądało to na przewrotny żart błazna. Gdyby nie starali się tak bardzo przeszkodzić Enguerrandowi i Isabelli, nie spędziliby ze sobą tak wiele czasu.

Cecily obejrzała się przez ramię.

– Hrabia Northland na mnie czeka. Muszę...

– Oczywiście.

Marc skinął nieznacznie głową, ale ona mimo to nie ruszyła się z miejsca.

– Kiedy znowu... – nie mógł powstrzymać się przed zadaniem pytania, ale nie dokończył go.

– Wkrótce. – Jej uśmiech był pełen współczucia dla nich obojga. – Bo lord Coucy często odwiedza księżniczkę.

Tak więc, pomyślał, razem z Enguerrandem wkraczamy do krainy miłości, z której żaden z nas nie wyjdzie bez ran na sercu.

W kilka dni później Cecily, rozpakowując ostatni z kufków przysłanych z Windsoru do Westminsteru, znalazła niewielką skrzyneczkę. Gdy ją otworzyła, zadrżały jej ręce, bo okazało się, że w środku znajdują się wykonane na pergaminie rysunki przedstawiające nagrobną figurę ojca. Ale wciąż nie wiedziała, co z tymi, które przedstawiały figurę matki. Już miała zacząć ich szukać wśród pozostałych arkuszy, gdy przerwała jej obecna w komnacie Isabella.

– Lord Coucy zjawi się tutaj po południu – oznajmiła. – Muszę... mu powiedzieć.

– Ale... czy masz pewność, pani?

Cecily nie zauważała niczego, co by wskazywało na to, że księżniczka jest brzemienna. A co do braku miesięcznej słabości, to przecież może się spóźnić z bardzo różnych powodów.

Jednak Isabella, promienna niczym Madonna, trzymała dłoń na brzuchu, tak jakby wyczuwała już obecność dzieciątka.

– Ja to czuję – stwierdziła spokojnie.

Cecily zastanowiła się, czy księżniczka naprawdę to wie, czy tylko pragnie nosić dziecko ukochanego.

– Ależ, Wasza Wysokość... Wasi rodzice... przecież nie możecie...

– Chcę, żeby on wiedział. A o reszcie porozmawiamy... później.

Wszedł sługa i zapowiedział lorda Coucy i kawalera de Marcela.

Zdziwiona Isabella uniosła brwi.

– Lord Coucy najwyraźniej chciał, żeby Marc mu towarzyszył – powiedziała pośpiesznie Cecily. – Zajmę jego uwagę, tak żebyście, pani, mogli z Enguerrandem swobodnie porozmawiać.

Gdy mężczyźni weszli, Isabella od razu znalazła się przy Coucym.

– Chodźmy – zwróciła się do niego. – Mam ci coś do powiedzenia.

I poprowadziła go do swojej sypialni.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły, Marc i Cecily zostali sami. Spojrzeli na siebie i nagle poczuli się zakłopotani. Czy upłynął tylko tydzień? – pomyślała Cecily. – A nie

kilka długich miesięcy?

Z sąsiedniego pokoju słyhać było głos Isabelli, choć nie dało się rozpoznać słów. Muszę dopilnować, by Marc nic nie usłyszał, powiedziała sobie Cecily i postanowiła pokazać mu szkice rzeźbiarza.

- Podejdz bliżej - zwróciła się do niego. - Popatrz.

- Co to jest? - zapytał Marc, patrząc ponad jej ramieniem.

- To szkic grobowca moich rodziców.

Marc wziął rysunek i przyjrzał mu się uważnie, sprawiając wrażenie szczerze zainteresowanego.

- Wspaniały... Dla wspaniałego wojownika - powiedział. - Ale... co z rzeźbą przedstawiającą twoją matkę, pani?

- Matka przed śmiercią zdążyła poczynić pewne przygotowania, ale nie wiem, co wybrała.

- Zatem jaką podjęłaś decyzję?

- Kazałam rzeźbiarzowi kierować się własnym rozeznaniem oraz tym, co przekazała mu moja matka. - Cecily włożyła rysunki do skrzynki i zatrzasnęła wieczko, po czym wstała rozdrażniona. - Już sam widok tych szkiców sprawia mi ból i przypomina o stracie.

- Ale... rodzice umierają przed swoimi dziećmi. Tak się dzieje przynajmniej wtedy, gdy Bóg jest łaskawy...

- A ty... uważałeś, że Bóg jest łaskawy, kiedy umarli twoi rodzice? Uważałeś, że okazał swoje miłosierdzie?

- Nie - przyznał Marc.

Cecily swym pytaniem przywołała jego bardzo bolesne wspomnienia, a kiedy zobaczyła, że na jego twarzy odbiła się gorycz, od razu pożałowała.

- Wybacz mi. Zachowałam się jak dziecko. Nie zamierzałam przypominać ci dawnych smutków.

- Opuściłem dom, kiedy miałem siedem lat. Żyję bez nich już długie lata.

- Więc ich nie pamiętasz?

- Oczywiście, że pamiętam. Zanim skończyłem siedem lat, ojciec dał mi miecz i powiedział, że muszę się nauczyć radzić sobie w życiu. A potem posłał mnie do lorda Coucy, ojca Enguerranda. Musiał we mnie wierzyć, skoro oddał mnie pod opiekę takiemu wielkiemu panu i wspaniałemu rycerzowi.

Po tych słowach Marc zamilkł, a Cecily usłyszała głos lorda Coucy dobiegający z sąsiedniej komnaty.

- A potem twój ojciec zginął - powiedziała.

- Tak. Pod Crécy.

- A więc... w bitwie z Anglikami. Z ręki jakiegoś Anglika. Może nawet mojego ojca... A ja przez tyle czasu oskarżałam cię, że... - Pokręciła głową. - Dlaczego nie protestowałeś?

Marc wzruszył ramionami.

- Bo ty, pani, miałaś wystarczającą ilość własnych potyczek do stoczenia.

Tymczasem skierowała cały swój gniew przeciwko niemu, a on znosił to spokojnie i godnie.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Marcu de Marcel.

Marc pokręcił głową.

- Musimy nauczyć się podnosić po ciosie... Choć wcale nie jest łatwiej z każdym kolejnym i nigdy nie uda nam się uodpornić na razy.

Była to mądrość, której nauczyła go trudna podróż przez życie. Cecily zarzucała mu dotychczas nieczułość, tymczasem była to milcząca wytrwałość, pozwalająca mu zмагаć się z życiem. Podczas gdy ona sama... bała się zmierzyć z przyszłością i wciąż tkwiła w przeszłości.

- Jesteś nie tylko człowiekiem dobrym, ale i mądrym - powiedziała. - Przykro mi, że wcześniej nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Mądrym? - powtórzył, kręcąc głową. - Może raczej upartym.

- I dzielnym. Wystarczająco dzielnym, by stawać do walki z życiem i z każdego starcia wychodzić zwycięsko.

Marc wstał, podszedł do okna i zapatrzył się na zimowe niebo.

- Jednak... - powiedział z wahaniem - ...przed tobą, pani, zapominam o dzielności...

Słyszając te słowa, Cecily poczuła nagle przypływ odwagi, poczuła, że jest gotowa, aby zaryzykować i doświadczać przyjemności. Nawet ze świadomością, że nie potrwa to długo.

- Czy my oboje - zapytała - nie powinniśmy teraz być dzielni? Choćby przez kilka tygodni?

Było to co najmniej nierozsądne. Bo przecież lada dzień, może już jutro, król wybierze człowieka, którego będzie musiała poślubić. A gdy ona z Markiem zbliżą się do siebie jeszcze bardziej, ich rozstanie będzie trudniejsze i bardziej bolesne...

Mimo to ze wstrzymanym oddechem czekała na jego odpowiedź.

Naraz za drzwiami rozległ się śmiech Isabelli.

- Wygląda na to, że oni cieszą się sobą - powiedział Marc.

- My też byśmy mogli, jeżeli tylko nie będziemy...

- Jeżeli tylko nie...

- Właśnie.

- Aż do...

Aż do chwili, gdy ona wyjdzie za mąż albo on doczeka się okupu.

- Aż do Wielkanocy?

Zamilkli, bo do komnaty weszli Enguerrand i Isabella, a chwilę później pożegnali się. Cecily gorączkowo liczyła w myśli tygodnie dzielące ich od Wielkanocy, gorzko żałując, że nie mają już przed sobą całej długiej i pełnej radości zimy.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Po kilku dniach Isabella straciła dziecko.

Wieczorem udała się na spoczynek do swoich komnat, skarżąc się na bóle brzucha. Wezwała do siebie Cecily, by czuwała przy niej nocą. Wkrótce jednak nastąpiły boleści i pojawiło się krwawienie – znacznie obfitsze niż to comiesięczne. I tak się to skończyło.

Gdy było już po wszystkim, księżniczka płakała, pogrążona w wielkim bólu i smutku. Jednak z wyrazu jej twarzy można było wyczytać także i to, że doznała ogromnej ulgi.

– Musisz iść – powiedziała do Cecily, wyczerpana i senna, po tym jak zmieniono jej pościel. Na zewnątrz mrok nocy zaczął ustępować wstającemu słońcu. – Znajdź Enguerranda. Powiedz mu... co się stało. Idź natychmiast. I niech nikt cię nie zobaczy.

Cecily wiedziała, że musi udać się do Pałacu Savoy pieszo, w przebraniu zwykłej kobiety z ludu. Ubrała się więc w najprostszą ze swoich wełnianych sukien, spódnice przykryła fartuchem takim, jakie nosiły praczki, a włosy ukryła pod lnianą chustą. W końcu narzuciła wełnianą pelerynę i zasłoniła szalem połowę twarzy.

Tak przebrana wyszła na ulice Londynu i dotarła wkrótce do Savoya. Tam skierowano ją do tylnego wejścia, gdzie, obawiając się nawet pytać o lorda Coucy, poprosiła, by ją zaprowadzono do kawalera de Marcela. Gdy się znalazła w jego kwatery, zastała tam także i Enguerranda.

– Co ty tu robisz, pani? – zapytał zdziwiony Marc, gdy odsłoniła twarz i zdjęła z głowy chustę.

Cecily spojrzała na lorda Coucy, niepewna, jak ma zacząć. Od razu wyczuł, że coś się stało.

– Isabella! – wykrzyknął.

Cecily kiwnęła głową i spojrzała teraz na Marca, nie wiedząc, czy może dalej mówić przy nim. Enguerrand skinął głową na znak, że chce, by kontynuowała.

Zaczerpnęła tchu i powiedziała krótko:

– Straciła dziecko.

Enguerrand pobladł.

– Ale ona... Isabella... czy ona...

Nie dokończył, tak jakby obawa odebrała mu mowę.

– Jest słaba, ale dojdzie do siebie.

Enguerrand odetchnął ciężko, opadł na krzesło i na nim zastygł.

– Przyszłaś tu, pani, sama? Bez opieki?! – zaczął się dopytywać Marc z troską w głosie.

– Nie mogłyśmy przecież nikomu powierzyć sekretu księżniczki.

– Nie możesz, pani, wracać sama. Odprowadzę cię.

Enguerrand nawet nie podniósł głowy. Wskazał tylko gestem drzwi i powiedział:

– Idźcie.

- Wiedziałaś - szepnęła Cecily, kiedy znaleźli się już za drzwiami.

Marc kiwnął głową.

- Wiedziałem wystarczająco dużo.

- Muszę ci podziękować. Gdyby nie ty... tamtej nocy... gdybyś nie był człowiekiem tak opanowanym... i honorowym...

Mogłabym się znaleźć w podobnej sytuacji. Albo gorszej, dokończyła w myśli.

Marc gestem pełnym czułości ujął jej twarz w obie dłonie, wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę i wreszcie powiedział:

- Moja matka zmarła w połogu... dziecko, mój brat, także...

- Tak mi przykro.

- To było bardzo dawno temu. Już o nich nie myślę.

- Naprawdę?

- To znaczy nie myślę o nich częściej niż raz dziennie - wyznał, a po jego twarzy przemknął cień.

Znaleźli się zaraz na rozświetlonych niespodziewanym zimowym słońcem ulicach Londynu. Przez nikogo nie niepokojeni dotarli w pobliże Westminsteru i Cecily zasłoniła twarz szalem.

- Muszę cię tutaj opuścić - powiedziała.

Marc spojrział w stronę wartownika strzegącego tylnej bramy.

- Nie wpuszczą cię do pałacu tak po prostu - stwierdził. - Będą pytali, kim jesteś i z czym przychodzisz.

- Powiem, że mam wiadomość dla lady Isabelli...

Był to zły pomysł, bo w trakcie wymiany zdań mógł się pojawić jakiś sługa i ją rozpoznać.

- Mam pomysł - oznajmił Marc i przyciągnął Cecily do siebie tak blisko, że mogła ukryć twarz na jego piersi. - Będę udawał, że wypilem za dużo i sprowadzam sobie na kwaterę kobietę.

Po tych słowach ruszyli oboje chwiejnym krokiem, jakby wracali z nocnych hulańek.

- M-miejcie litość nad człowiekiem... Jest tak zimno - zawołał do wartownika, chwiejąc się na nogach. - Pozwólcie mi ją wprowadzić, bo chcę, żeby ogrzała mi łóżę...

To powiedziawszy, wziął Cecily pod brodę i pocałował ją długo trwającym, głębokim pocałunkiem. A ona, tak jakby wokół nich nie było nikogo, odwzajemniła mu się tym samym.

- A więc wchodźcie! - wartownik zarechotał.

Cecily roześmiała się cicho i udała, że uginają się pod nią kolana. Wtedy Marc wziął ją na ręce i, dziękując wartownikowi szerokim uśmiechem, wniósł ją do wnętrza pałacu.

- Tu jest bezpiecznie - powiedział, gdy znaleźli się w środku.

Postawił ją następnie na posadzce, a ona rozejrzała się i stwierdziła, że znajduje się w nieznanym sobie korytarzu.

- Jeżeli ktoś nadejdzie - szepnął jej Marc do ucha - zacznij mnie znowu całować.

- Wydaje mi się - odrzekła mu także szeptem - że to, co teraz robię, to jeden z najgorszych moich postępów.

- Jeżeli tak - szepnął Marc - to musiałaś być idealną córką.

Pokręciła głową.

- Wcale nie. Rodzice nawet nie byli pewni, czy...

Czy ona kiedykolwiek będzie gotowa? - zabrzmiały jej w uszach słowa ojca. Ale nie chciała myśleć o tym teraz. Kiedy miała przed sobą jeszcze tylko kilka minut z Markiem. I kiedy nie była hrabiną, ale po prostu dziewczyną o imieniu Cecily. Zwykłą kobietą.

Podniosła rękę i zanurzyła dłoń w jego miękkich złocistych włosach.

- A jaki jest twój najgorszy postępek? - szepnęła, po czym, nawet w półmroku korytarza, zauważyła, że jego twarz się zasępia.

- Mój najgorszy postępek polegał na tym, że patrzyłem, jak inni robią straszne rzeczy i im w tym nie przeszkodziłem - odpowiedział.

Naraz doszedł ich jakiś hałas, a w następnej chwili głosy dwóch mężczyzn. Marc wziął Cecily w ramiona, zasłaniając ją przed ich wzrokiem, a ona przywarła do niego, pragnąc przepędzić jego straszne wspomnienia i sprawić, by przestał o nich myśleć.

Udała, że nie słyszy prostackich, sprośnych uwag. Mężczyźni oddalili się.

- Muszę iść - wyszeptał Marc.

Kiwnęła głową. I po raz ostatni przywarła do jego warg ustami i jeszcze raz namiętnie go pocałowała.

Cecily martwiła się o księżniczkę, jednak ta szybko odzyskała siły i stała się na powrót sobą - roześmianą lady Isabellą - i znów zaczęła planować wraz z lordem Coucy nowe dworskie zabawy.

- Planujemy z Enguerrandem kolejne rozrywki - powiedziała pewnego dnia z promiennym uśmiechem do Cecily. - Odegramy oboje sceny z opowieści o królu Arturze.

Cecily zmarszczyła brwi. Nie bardzo podobał jej się ten entuzjazm księżniczki, a gdy zaraz usłyszała, że Isabella zagra Ginewrę, poczuła się bardzo nieswojo.

- A Enguerrand? - zapytała.

- Lancelota oczywiście.

Ginewra i Lancelot - nieszczęśliwi, cudzołożni kochankowie. Cecily bała się zapytać, co dokładnie będą robili na scenie.

- Jeżeli masz, pani, nadzieję przekonać twych rodziców...

- Matka dała już swoje błogosławieństwo. I obiecała przekonać ojca. Uważa, że ta arturiańska opowieść nastawi go przychylnie do moich planów. Ojciec uwielbia opowieści o królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu.

- Wiem - powiedziała Cecily. - Ale... dlaczego oboje nie zagraacie Ginewry i Artura, prawowitych małżonków?

- Dlatego że Enguerrand jest Francuzem. To oczywiste.

Cecily, choć zaniepokojona, roześmiała się na to. I pomyślała, że Isabelli nikt ani nic nie jest w stanie odwieść od jej zamiarów.

Król oglądał, jak Ginewra i Lancelot śpiewają i tańczą, uśmiechając się nieśmiało, i kiwnął głową zadowolony. Następnie pochylił się ku żonie, gdy ta dotknęła jego ra-

mienia, i wysłuchał tego, co miała mu do powiedzenia.

Cecily obserwowała ich i wywnioskowała, że historia miłosna Isabelli i Engueranda zakończy się szczęśliwie. W przeciwieństwie do jej własnej i Marca.

Bowiem jako hrabina Losford będzie musiała spełnić swój obowiązek i wyjść za człowieka wybranego przez króla. Pogodzona z tą myślą, mogła tylko mieć nadzieję, że wybranek okaże się człowiekiem starszym i niechętnym do namiętności.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Nadeszła Wielkanoc, czwarta od śmierci ojca, a z Wielkanocą – wiosna.

Śnieg stopniał. Słońce już przygrzewało, a francuski i angielski dwór razem świętowali.

Negocjacje przeciągały się i Cecily była zadowolona, że król Edward nie ma czasu zająć się jej małżeństwem. Bowiem dzięki temu wciąż mogła widywać Marca, który nie doczekał się okupu ani zmiennika.

Dlatego wieść o chorobie francuskiego króla, na którą monarcha zapadł niedługo po Wielkanocy, spadła na nią niczym bezlitosne memento. Niczym dowód, że nic, ani to co dobre, ani to co złe, nie może trwać wiecznie. I że to zawieszenie, w którym egzystowała wraz z Markiem, także wkrótce się skończy.

Dni mijały, a król Jan nie podnosił się z łoża. Zrobiło się już ciepło, a nikt tego nie zauważał. Król Edward posłał swych medyków, by ci leczyli *le roi Français*.

Wszyscy czekali z niepokojem na powrót monarchy do zdrowia.

Marc dotrzymywał właśnie towarzystwa księżniczce i Cecily, kiedy Enguerrand przybył ze straszną wieścią:

- *Le roi est mort.*

- Umarł? - Marc szukał odpowiednich angielskich słów. - Król... nie żyje?

Stojąca tuż obok niego Cecily pobladła.

- Ale przecież... jeszcze kilka dni temu... czuł się dobrze. Jak to możliwe?

Marc ujął jej dłoń, mając świadomość, że kto jak kto, ale ona bardzo dobrze wie, jak krótkie jest życie i jak bardzo śmierć jest niesprawiedliwa.

- Muszę iść do ojca - powiedziała Isabella, kierując się ku drzwiom. - Będzie odprawiał żałobę po swoim bracie i w przygotowaniach do uroczystości potrzebna mu moja pomoc.

Cecily przyłączyła się do księżniczki, a gdy drzwi się za nimi zamknęły, Marc i Enguerrand spojrzeli na siebie.

- Król jest w żałobie nie tylko po swoim królewskim bracie. Stracił przecież swego najcenniejszego zakładnika - powiedział cicho Marc.

A w następnej chwili pomyślał o sobie. Liczył, że król przywiezie okup za niego, a gdy to się nie stało, myślał, że monarcha dopilnuje, by hrabia dotrzymał obietnicy i przysłał kogoś w jego zastępstwie. Tymczasem Wielkanoc przyszła i minęła. A nowy król... z pewnością nie przejmie się losem zwykłego rycerza bez ziemi.

Z zamyślenia wyrwał go głos Enguerranda:

- Nie czas teraz myśleć o takich rzeczach. Naszemu zmarłemu monarsze musi być oddany hołd. Król Edward planuje pogrzeb, który będzie go godny.

- Ale król Jan nie może zostać pochowany tutaj! W ziemi wroga.

- Oczywiście, że nie. Król Jan pojedzie do domu.

Naraz olśniony pewną myślą Marc chwycił swego przyjaciela za ramię.

- Ja z nim pojedę - powiedział. - Obaj możemy go eskortować. Tak, Enguerrandzie, obaj zawieziemy go do domu.

Gdy tylko ucichły ostatnie nuty mszy żałobnej, Cecily pospieszyła korytarzami Pałacu Westminsterskiego do komnat króla Edwarda. Król podjął decyzję w sprawie mojego małżeństwa, myślała. To dlatego mnie wzywa.

Gdy znalazła się w królewskich komnatach i wykonała już głęboki powitalny ukłon, stanęła przed monarchą z podniesioną głową, czując się jak ktoś, kto ma usłyszeć wyrok śmierci. Wiedziała, że ta chwila nadejdzie, i nie miała wyboru. Przygotowywała się do niej, myślała, jak powinna się zachować... A jednak...

- To smutny dzień - odezwał się król po chwili milczenia.

- Tak, Najjaśniejszy Panie.

- Wybrałem męża dla ciebie.

A więc dokonano się.

- Już?

- Ach, Cecily, jesteś młoda. Przed tobą długie życie.

- Niestety, Najjaśniejszy Panie, wiem, jak życie jest krótkie.

- Ciągle mi go brakuje.

- Mnie też. Brak mi ich obojga.

- Twój mąż pomoże ci wypełnić tę pustkę.

- A kogo wybraliście, Najjaśniejszy Panie?

- Hrabiego Dexter.

Spróbowała sobie przypomnieć tego człowieka. Nie widziała go od lat. Nie był młody. A nawet mógłby być jej ojcem. Nie jest silny i pełen życia, jak Marc - przemknęło jej przez myśl, ale zaraz skarciła samą siebie.

Nie wolno mi myśleć o Marcu.

- No jak? - zapytał król. - Nie masz nic do powiedzenia?

Czy mogła dyskutować z królem? A zresztą gdyby nawet się na to odważyła, to cóż miałyby powiedzieć?

Zakochałam się we francuskim zakładniku?

Powinna natomiast była wyrazić wdzięczność, jednak nie znajdowała odpowiednich słów.

- Hrabiego nie było na dworze, Najjaśniejszy Panie. Nie wiedziałam więc, że jest brany pod uwagę.

- Przebywał z moim synem Lionelem w Irlandii. Teraz obaj wracają do domu. Hrabia powinien się tutaj zjawić w ciągu miesiąca. Albo nawet prędzej. Skoro tylko wróci, damy zapowiedzi. W ciągu kilku tygodni możesz zostać mężatką.

- Ale... Najjaśniejszy Panie. Moi rodzice... grobowiec...

Król zmarszczył brwi.

- Co z nim?

- Rzeźbiarz wrócił do pracy nad nim w styczniu. Czy mogłabym dostać pozwolenie na powrót do domu? Chcę dopilnować, żeby został ukończony przed moim... ślubem.

Król pokręcił głową.

- Kondukt żałobny z ciałem króla Jana wyrusza do Francji dziś wieczorem. Potem

będziesz potrzebna tutaj, bowiem zaczną się przygotowania do ślubu. Dopiero wtedy udasz się razem z Dexterem do domu i wspólnie dopilnujecie ukończenia prac.

Po tych słowach król odprawił Cecily gestem dłoni. A ona, uświadamiając sobie, że nawet nie wie, jak Dexter ma na imię, powiedziała:

- Najjaśniejszy Panie, proszę... zanim się oddalę... powiedzcie mi, jak hrabia Dexter ma na imię.

- Robert. Ma na imię Robert.

Cecily dygnęła i opuściła królewskie komnaty. Musiała natychmiast znaleźć Marcę.

Przez półtora tygodnia, które upłynęło do dnia żałobnych uroczystości, Marc trzymał się z dala od Cecily. Wolał nie wystawiać na próbę ich umiejętności poskromienia požądania. Teraz jednak po nabożeństwie cały dwór miał towarzyszyć ciału monarchy aż do Dartford. Następnie zaś wydzielona spośród dworzan mniejsza grupa miała z ciałem dotrzeć do Canterbury i w końcu na wybrzeże. Marc liczył, że za kilka dni znajdzie się na statku, który przewiezie go na drugą stronę Kanału.

- Muszę tylko spakować kilka rzeczy - powiedział do Enguerranda, gdy wyszli z katedry Świętego Pawła i wraz z procesją kierowali się ku Pałacowi Savoy. - Zanim upłyną dwa tygodnie, będziemy w domu.

- Nie, *mon ami*. Nie będziemy.

- Jak to? Myślałem, że wszystko jest ustalone. Z kim mam rozmawiać? Kto podejmuje decyzję?

- Decyzja została już podjęta. Z królem Janem będzie wolno pojechać tylko dziesięciu ludziom. Wśród wymienionych imion niestety nie było twojego...

- Nie?!

Marca ogarnęła wściekłość. No tak, jestem zwykłym rycerzem, pomyślał, o którym łatwo zapomnieć.

- A ty?

Enguerrand pokręcił głową.

- Ja będę towarzyszył ciału tylko do portu. Nie dalej.

- Co takiego? Dlaczego?

- To był mój wybór. Postanowiłem zostać tutaj.

- Z powodu księżniczki?

- **Ćśśś**. Tak, z jej powodu. A także dlatego że po naszym ślubie mam odzyskać swoje dobra i dostać angielski tytuł hrabiowski. Król się już na to zgodził, ale nikt jeszcze o tym nie wie.

A więc Coucy będzie miał wszystko, czego zapragnął. Ukochaną kobietę, swoje ziemie i ludzki szacunek.

Natomiast on? Jeżeli uda mu się wrócić do Francji, będzie tam zupełnie sam - właściwie bez domu i bez jedyne przyjaciela. A jeżeli wojna wybuchnie znowu, to... będzie musiał stanąć naprzeciwko niego na polu bitwy.

To wszystko wydawało mu się jednak lepsze niż los, jaki by go czekał, gdyby został w Anglii. Tutaj musiałby być świadkiem, jak Cecily zostaje żoną innego mężczyzny, a potem widywać ją w jego towarzystwie.

Zatem musi wrócić do Francji. Za wszelką cenę, choćby miał zwyczajnie uciec.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Podjąwszy postanowienie o ucieczce, Marc w pewnej ustronnej niszy z oknem wychodzącym na Tamizę spotkał się z Cecily. A ona, zatopiwszy w nim smutne spojrzenie, natychmiast oznajmiła, że król wybrał na jej męża hrabiego Dexter, który wkrótce wraca z Irlandii, a kiedy tylko dotrze na dwór, zostaną ogłoszone zaręczyny. Wspomniała też, że król nie zgodził się, aby pojechała przedtem do domu, żeby dopilnować prac przy grobowcu i pożegnać się ostatecznie z rodzicami.

- A tymczasem ja tak bardzo pragnę pożegnać się z nimi. Czuję, że muszę to zrobić. Tak samo jak muszę pożegnać się z tobą - dodała ze smutkiem.

- Moje sprawy - odrzekł jej na to - nie potoczyły się zgodnie z przewidywaniami. Okazuje się, że nie będę towarzyszył królowi Janowi w drodze do Francji.

- A więc zostaniesz w Anglii aż do czasu, gdy przywieziony zostanie okup? Jeżeli tak - westchnęła - to każde z nas dwojga znajduje się w pułapce, całkowicie zależne od królewskiej decyzji.

- Tak... - przyznał Marc i pomyślał, że dla niego sam fakt pozostawania w niewoli będzie mniejszą torturą niż świadomość, że Cecily jest blisko, ale należy do innego i co noc dzieli z nim łożę.

W następnej chwili jednak przyszła mu do głowy pewna zbawienna myśl. Uświadomił sobie mianowicie, że istnieje sposób, dzięki któremu ona zyska czas na pożegnanie się z rodzicami, a on odzyska wolność.

- Cecily - powiedział - obiecałaś kiedyś, że pomożesz mi wrócić do Francji. Czy dotrzymasz tej obietnicy?

- Jeżeli tylko będę umiała...

- Zatem... co byś powiedziała, gdybym umożliwił ci wyjazd do domu?

- Co takiego? Ale jak? W jaki sposób?

- Możemy razem uciec. Wezmę cię jako zakładniczkę i zawiozę do Losford. Uciekniemy dziś w nocy...

Cecily patrzyła na Marca, spodziewając się, że zaraz ogarnie ją strach, a tymczasem doznała jedynie dreszczyku podniecenia.

Tak! - pomyślała i omal nie wypowiedziała głośno tego słowa.

- Ale co z tobą? Król cię nie wypuści z niewoli bez okupu.

- Nie ma żadnego okupu. I nie będzie. Teraz, po śmierci króla Jana, nikt nie zapłaci okupu za rycerza bez ziemi.

- A co z lordem Coucy?

- Coucy będzie eskortował zmarłego monarchę jedynie do portu. Bo nie chce wyjechać z Anglii.

A więc, pomyślała Cecily, skoro tak, to stanie się to, co zdawało się niemożliwością. Isabella, królewska córka, wyjdzie za mąż z miłości. W przeciwieństwie do mnie, hrabiny Losford.

- Jeżeli wezmę cię jako zakładniczkę, cały ciężar winy spadnie na mnie, a twój honor nie zostanie splamiony. Gdy kondukt dotrze do portu, zażadam, by wpuszczono mnie na statek, grożąc, że w przeciwnym wypadku skrzywdzę cię. Zanim nasza ucieczka wyjdzie na jaw, będziesz miała kilka dni w zamku.

- Tak. Tak - odrzekła, patrząc mu w oczy. - Kilka dni. Tylko tyle mi potrzeba.

- ...żeby się pożegnać - dokończył Marc i kiwnął głową.

A ona nie spytała, czy ma na myśli jej pożegnanie z rodzicami, czy z nim samym.

Wszystko okazało się nie tak trudne, jak Marc się obawiał. Kondukt, przy świetle mnóstwa pochodni, wyruszył wieczorem z Londynu i przed świtem dotarł do Dartford, skąd dwór miał zaraz zawrócić do stolicy wraz z tymi francuskimi kawalerami, którzy pozostawali nadal w niewoli.

W ich liczbie znajdował się Marc de Marcel, na którego w ciemności i ogólnym zamieszaniu nikt nie zwracał uwagi. On natomiast z pewnego oddalenia obserwował znajdującą się u boku księżniczki Cecily.

W pewnej chwili hrabina, mówiąc coś do Isabelli, wskazała gestem gospodę. Zgodnie z ustalonym przez nich oboje planem, miała powiedzieć księżniczce, że przed podróżą powrotną do Londynu chce się udać do wygodki i że później dołączy do wracających do stolicy rycerzy, dzięki czemu księżniczka nie będzie musiała na nią czekać.

W następnej chwili Marc zobaczył, że księżniczka, ziewając, kiwa głową, a Cecily kieruje swego wierzchowca w stronę gospody. Sam podążył w tym samym kierunku. W pobliżu gospody napił konia, zamienił dla niepoznaki kilka słów z jednym z francuskich kawalerów i ruszył z miejsca z całą ich grupą po to tylko, by w chwili, gdy niebo zaczynało już się rozjaśniać, zwolnić i zawrócić. Gdy jeden z kawalerów się obejrzał, Marc udał, że musi usunąć kamień, który utkwiał w podkowie jego konia. Zeskoczył na ziemię, przyklęknął i podniósł końską nogę. A potem, gdy grupa kawalerów się oddaliła, udając się na zachód, on, prowadząc konia, okrążył gospodę.

Znalazł się w małym, ślepyim zaułku, gdzie, stojąc obok swego wierzchowca, czekała na niego Cecily. Gdy go zobaczyła, uśmiechnęła się promiennie, na co on, nie zważając na nic, przyciągnął ją do siebie, objął mocno i pocałował w usta pocałunkiem długim i namiętnym, który stanowił jakże słodką obietnicę.

W następnej chwili dosiedli oboje koni i ruszyli w drogę, trzymając się z dala od gościńca, którym do Canterbury podróżował królewski kondukt.

Niedługo przed południem zatrzymali się i rozejrzeli wokół siebie. Długa, mroźna zima już minęła. Na angielskiej ziemi panowała wiosna. Zielone liście. Różowe pączki. Wszystko było delikatne, świeże i nowe.

Marc poczuł jakiś szaleńczy przyływ nadziei.

Był kwiecień, słońce świeciło, udało im się uciec i on, choćby przez kilka nielicznych dni, mógł cieszyć się wolnością. No i, co najważniejsze - Cecily.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kiedy kilka dni później ich oczom ukazały się mury zamku Losford, Cecily usiłowała powitać ten widok z zadowoleniem. Jednak zamkowe okna patrzyły na nią niczym szeroko otwarte oczy, tak jakby osądzały ją i karcily. Przywiodło cię tutaj, zdawały się mówić, nie poczucie obowiązku, tylko słabość do tego mężczyzny. Wprowadzasz wroga w nasze mury.

U bram wraz z dowódcą straży powitał ich zarządca zamku.

- Przygotuję komnaty, Wasza Wysokość. I pošlę po rzeźbiarza, żebyście mogli sprawdzić, jak posuwają się prace.

Tymczasem Cecily, która przed kilkoma chwilami mówiła sobie w duchu, że właśnie po to tu przybyła, nagle poczuła się niegotowa. I zaprotestowała.

- Nie - powiedziała. - Nie chcę go jeszcze widzieć. Jeszcze nie - powtórzyła i pokręciła głową, po czym zwróciła się do Marca: - Chodź ze mną. Chcę ci coś pokazać, panie.

Poprowadziła go na szczyt jednej z zamkowych wież, a tu, odetchnąwszy głęboko morskim, słonym powietrzem, rozpostarła ramiona i rozkazała:

- Patrz.

Marc spojrział i po lewej stronie zobaczył morze ciągnące się w dal, jakby w nieskończoność, a po prawej port, w którym spokojnie czekał statek mający zabrać króla Jana na miejsce ostatniego spoczynku. Poza portem natomiast, w oddali - drugi brzeg, wypiętrzony niby fala.

- Czy to Francja? - zapytał.

- Tak - potwierdziła Cecily.

- Jak blisko - powiedział cicho. - Kiedy tutaj jechałem, nie zdawałem sobie sprawy...

Nie zdawał sobie sprawy, że gdyby zamek od Francji oddzielał ląd, można by było tę odległość pokonać w ciągu zaledwie jednego dnia.

- Co zrobisz, kiedy już stąd wyjedziesz? - zapytała Cecily.

- Zrobię, co w mojej mocy, żeby nigdy więcej nawet nie oglądać brzegów Anglii - odrzekł, patrząc jej z powagą prosto w oczy.

Jego słowa przywołały ją do rzeczywistości. Marc naprawdę wyjedzie, pomyślała. A ja zostanę, by wieść życie, do jakiego byłam wychowywana.

Ponieważ ich przyjazd zaskoczył służbę, która nie miała czasu przygotować właściwego posiłku, Cecily i Marc, zamiast w ogromnej Wielkiej Sali, jedli małże i marynowane śledzie w komnatach Cecily. Byli zupełnie sami. Na kominku buzował ogień, a Cecily, czując się całkiem swobodnie, siedziała bosko i z rozpuszczonymi włosami.

- O ileż tu przyjemniej niż na dworze królewskim, wśród wszystkich tych ludzi - odezwał się Marc, patrząc na nią z serdecznym uśmiechem.

Bez słowa odwzajemniła uśmiech i przez chwilę siedzieli w milczeniu, odprężeni i zadowoleni. Zaraz jednak Cecily upomniała się w duchu. Nie możesz się do niego przyzwyczajać, pomyślała. Nie możecie się ponownie do siebie zbliżyć. Wkrótce on wyjedzie, a ty będziesz musiała przekonać wszystkich, że wziął cię w niewolę jako zakładniczkę i zmusił do milczenia. A potem będziesz musiała stanąć twarzą w twarz z hrabią Dexter bez najmniejszego poczucia winy.

- Musimy ułożyć dobry plan - powiedziała zdecydowanym tonem. - Isabella w tej chwili już się na pewno zorientowała, że nie wróciłam do Londynu.

- A co będzie, jeżeli powie o tym królowi?

- Król pomyśli, że okazałam się nieposłuszna i pojechałam do domu.

- I co? Przyjedzie po ciebie?

- Nie wiem. Wiem tylko, że kondukt z ciałem króla Jana zatrzyma się w Canterbury jedynie na kilka dni. A potem, przed podróżą morską, przybędzie tutaj, na zamek. A wtedy...

- A wtedy ja przystawię ci nóż do gardła i oznajmię, że cię uwolnię dopiero, gdy znajdę się na statku. Więc za winnego uznają tylko mnie.

- A co jeżeli potem Francuzi postanowią cię ukarać?

- Żaden Francuz nie uzna mnie za winnego tylko dlatego, że chciałem wrócić do domu.

- A zatem musimy zachowywać się tak, żeby Anglicy uwierzyli w tę historię.

Bo jeżeli nie uwierzą, jeżeli oskarża ją o to, że udzieliła pomocy zakładnikowi i że pomogła mu uciec, kara, która ją spotka, będzie sroga.

- Czy Enguerrand ci uwierzy?

- Jeżeli nawet nie uwierzy, to zrozumie.

Kiwnęła głową, mając nadzieję, że Marc się nie myli.

- A więc mamy kilka dni.

Kilka dni skradzionego czasu.

- Zostanę aż do...

Czyżby w jego głosie dosłyszała tęskną nutę?

- Tak...?

Nagle usłyszeli pukanie i do środka wszedł sługa. Gdy zbierał talerze, Cecily siedziała sztywno i milcząco, nie patrząc na Marca. A potem, gdy zostali sami, wstała i poprowadziła go do drzwi.

Zanim jednak przekroczył próg komnaty, zatrzymał się, patrząc na nią błagalnie.

Cecily odwróciła wzrok i pokręciła głową.

- Śpijcie dobrze - powiedziała tak głośno, że jej słowa odbiły się echem od ścian korytarza.

Marc wtedy chwycił ją za rękę, a ona, zaskoczona, pochyliła się naprzód i oparła o niego. Była prawie gotowa ulec, czekała tylko na pocałunek.

Lecz on jej nie pocałował.

- Cecily - powiedział - tu, na zamku, będzie dużo pracy. Trzeba wiele zrobić, by doprowadzić warownię do dobrego stanu.

Cecily zamrugnęła zdziwiona. Nie takich słów się spodziewała, choć Marc miał rację. Kuchnia, tunele prowadzące do morza, ogród, zbrojownia... - zdawała sobie z tego sprawę.

- Wiem - odrzekła. - To mój obowiązek.
- Ale ja... dopóki tu jestem, mogę ci w tym pomóc.
- Dobrze... Chętnie przyjmę twoją pomoc.
- A więc do jutra.

Kiwnął głową i odprowadzany przez nią wzrokiem poszedł do swojej komnaty. Nie obejrzał się za siebie ani razu.

Nazajutrz rano Cecily była zajęta wraz z zarządcą sprawami zamku, więc Marc poszedł oglądać warownię sam. Przyjrzał się otoczonemu murami z szarego kamienia wewnętrznemu dziedzińcowi, a także samym murom. Następnie zlustrował wieże; wolno stojącą od strony morza i chylącą się jakby ze starości wieżę obserwacyjną, niedaleko której natrafił na kościół.

A ponieważ w tej chwili nie odprawiano mszy ani żadnego innego nabożeństwa, wszedł do środka. Zastał tutaj tylko jednego drobnego, siwego człowieka, który wygładzał właśnie czerwono-złotą materię przykrywającą kamienny postument.

To musi być grobowiec, domyślił się od razu, a w tej samej chwili człowiek podniósł wzrok i, widząc go, zapytał tonem rozczarowania:

- A lady Cecily? Czy ona... nie przyszła z wami?

- Nie - odpowiedział rzeźbiarzowi i zaraz zapytał: - Czy nagrobek jest skończony?

- Czeka jedynie na akceptację lady Cecily - zabrzmiała odpowiedź. - A ja przychodzę tu codziennie tylko po to, żeby go polerować. Chcecie, panie, go zobaczyć?

Rzeźbiarz uczynił taki ruch, jakby zamierzał odsłonić swoje dzieło. Jednak Marc go powstrzymał.

- To ona, hrabina Losford, musi go ocenić - powiedział. - Ja nie znałem hrabiego ani jego żony.

- Mówicie, panie, że ocena należy do hrabiny, ale przecież ona... nie chce nawet spojrzeć na nagrobek.

A więc ten skromny człowiek wyczuwał, co dzieje się w sercu Cecily.

- Lady Cecily bardzo przeżyła śmierć rodziców - wyjaśnił Marc. - Było to dla niej ogromnie trudne doświadczenie. A gdy oceni i zaakceptuje wasze dzieło, poczuje się tak, jakby...

- ...oni oboje odeszli już na dobre - dokończył rzeźbiarz.

- Właśnie. Będzie to dla niej ostatnie pożegnanie. - Oznaczające na dodatek, że stała się hrabiną i przejmuje wszystkie obowiązki swojej matki, dodał w myśli Marc, po czym zapytał: - Jak dawno zaczęliście tę pracę?

Rzeźbiarz zmarszczył czoło.

- Dwa lata temu? Może trzy? Bardzo już chcę wrócić do domu.

Biedny człowiek, pomyślał Marc. On też jest swego rodzaju zakładnikiem.

- Nie mogę obiecać, że przekonam hrabinę, aby tu jak najszybciej przyszła. Ale spróbuję - powiedział i pomyślał, że jest to najważniejsze zadanie, jakie teraz przed nim stoi. Ważniejsze niż naprawa murów i starych wież. Ważniejsze, bo dotyczyło Cecily i miało przygotować ją na to, co miało wkrótce nadejść.

Tego wieczoru znowu jedli kolację sam na sam w komnatach Cecily. Pod posiłku

Marc postanowił poruszyć temat grobowca. Kiedy słudzy zebrali już talerze i kiedy zostali znowu sami, zapanowała długa, niezręczna cisza.

- Jutro będziemy jedli posiłki w Wielkiej Sali - powiedziała w końcu Cecily, po czym wstała od stołu.

Marc nie wiedział, jak zacząć tę trudną rozmowę, więc postanowił od razu przejść do rzeczy.

- Widziałem się z rzeźbiarzem - oznajmił krótko.

Cecily zastygła w bezruchu.

- Naprawdę?

- Już dawno zakończył swoją pracę... Musisz pozwolić mu wrócić do domu.

Spodziewał się jej gniewu albo łez, lecz ona nie wybuchnęła gniewem. Ani się nie rozpląkała.

- Ale ja nie jestem... - powiedziała zbolalym głosem. - Ja nie...

Zapadła cisza, której Marc nie przerywał. Czekał cierpliwie w milczeniu.

- Spójrz tylko na mnie - odezwała się znowu. - Spójrz, co się ze mną dzieje. Jestem tu z tobą sam na sam. Przywiozłam wroga do zamku, który nie może nigdy wpaść w ręce Francuzów. Postąpiłam wbrew temu wszystkiemu, czego mnie uczono. Zawiodłam zaufanie rodziców... A ich grobowiec... Co będzie, jeżeli się okaże, że z mojej winy rzeźba jest nieudana? Co wtedy zrobię? Jak im spojrzę w oczy?

Mówiła tak, jakby kamień mógł ożyć i udzielić jej reprimendy albo wymierzyć karę. I właściwie nie mówiła do niego. Jej słowa były raczej modlitwą do zmarłych. Prośbą o ich błogosławieństwo i wybaczenie.

- Oni na pewno nigdy nie oczekiwaliby, że będziesz zawsze postępowała tak, jak należy... - powiedział Marc z namysłem.

- Ty nie rozumiesz! - przerwała mu. Wyprostowała się i podniosła dumnie głowę. - Jestem hrabiną Losford!

Postąpił krok ku niej i wziął ją za rękę.

- Nawet Bóg nie spodziewa się po nas, że będziemy idealni, bez choćby najmniejszej skazy.

- Moi rodzice właśnie tego się po mnie spodziewali! A ja ich zawiodłam - wyszeptała, po czym podeszła do okna i zapatrzyła się na gniewne, czerwone, zwiastujące koniec dnia chmury.

Cóż mógł jej odpowiedzieć? Że ją ochroni? Bardzo tego pragnął, ale wiedział, że w ten sposób może tylko jej zaszkodzić. Musiał sprawić, żeby uwierzyła w swoją siłę, tę, którą w niej widzieli zarówno jej rodzice, jak i on sam.

- A mimo wszystko uratowałaś mnie przed dzikiem...

Wstrzymała oddech, jakby zaskoczona, ale zauważył, że się odprężyła. Odwróciła następnie głowę i spojrzała się na niego nad swoim ramieniem.

- Pogwałciłam wtedy wszystkie zasady rządzące polowaniem.

- Tak, ale dzik został zabity, a ja przeżyłem. - Zrobił krok w jej stronę. - Jesteś wyjątkową kobietą, Cecily, wierzę, że wszystko potrafisz... Musisz tylko w siebie uwierzyć...

- A czy ty tak mocno wierzysz...?

- W ciebie? - wpadł jej w słowo, wziął ją w ramiona i przytulił. Nie stawiała oporu. - *Oui*.

Jej uśmiech. Nigdy dotąd nie widział takiego uśmiechu. Nie mógł uwierzyć, że wywołały go takie proste słowa. I poczuł satysfakcję większą, niż poczułby po zwycięstwie choćby w największej bitwie stulecia.

Bez namysłu pocałował ją. Mocno, namiętnie. Bez zastanowienia i nawet jednej myśli o przyszłości.

Odwzajemniała pocałunek z zachłannością i zapamiętaniem. On tymczasem zapragnął więcej. *Mon Dieu*, dużo więcej.

- Cecily - powiedział, kiedy już zdołał oderwać usta od jej ust i zaczerpnąć tchu. - Mamy tę noc. I może jeszcze kilka następnych... Czy zechcesz...?

Milczała, ale kiedy spojrzał jej w oczy, zobaczył, że odbijają wszystkie jego pragnienia i tęsknoty. Wszystkie co do jednej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Tak.

Cecily odwzajemniła pocałunek bez zastanowienia. Pragnęła Marca od bardzo dawna i już dłużej nie była w stanie nad sobą panować. Kontrolowała swe uczucia, czuwała nad nimi tak, jak zamek Losford czuwał nad wybrzeżem. Pilnowała się tak, jakby była nie kobietą, ale jedynie hrabiną. Bo przecież tam, gdzie rządzi obowiązek, nie ma miejsca na uczucia.

Ale teraz było za późno, by się powstrzymać, za późno na udawanie. Kochała go, a on miał wkrótce wyjechać.

- Chciałam cię nienawidzić - powiedziała, gdy oderwali się od siebie.

- Dlaczego? - zapytał.

- Żebyś mnie nie zranił.

- Ale przecież... ja bym cię nigdy nie zranił - powiedział zaskoczony. - Jakżebym mógł?

Nie rozumiał. Nie bała się ran fizycznych, tylko tych, które pojawiają się na sercu.

- Widzisz, ja... poczuje się zraniona po twoim wyjeździe. A ty przecież musisz wyjechać. Wkrótce wsiądziesz na statek i odpłyniesz. A ja nie będę nawet wiedziała, czy dopłynąłeś szczęśliwie, czy może pochłonęły cię fale. Ale tak czy inaczej, nigdy więcej cię nie zobaczę. I będę cierpiała do końca swoich dni, zmuszona żyć... tutaj.

Tak. Żyć i trwać niczym część tego zamku, niczym kamienie, z których został zbudowany, niczym tunele wydrążone w ziemi. Na tę myśl roześmiała się ze smutkiem.

- *Ce n'est pas amusant* - powiedział.

- Rzeczywiście, nie jest - przyznała i mówiła dalej: - Wiedziałam, że moim obowiązkiem jest wyjść za mąż i że w moim życiu nie ma miejsca na uczucie. A potem... zaczęłam spędzać czas z tobą. Z człowiekiem, którego, byłam tego pewna, nie mogłabym nigdy pokochać; którego nie mogłabym nawet polubić czy choćby tolerować. Z człowiekiem, z którym mogłabym się rozstać bez odrobiny żalu... Czy to nie wygląda na żart losu? - zakończyła z goryczą.

- Ale wciąż tu jestem, przy tobie - odpowiedział jej na to. - I możemy dać sobie wspólne cudowne wspomnienia. Ale muszę być pewien, że chcesz tego równie mocno jak ja.

To, co sugerował, było szaleństwem. Bo co będzie, jeżeli pojawi się dziecko? Choć z drugiej strony, jej ślub był bliski, tak bliski, że... mogłaby zaryzykować. Przypomniała sobie, jak zazdrościła Isabelli, że poszła do łoża z Enguerrandem, i pomyślała, że jeżeli nie da sobie tej szansy, będzie bardzo żałowała.

- A później? - zapytała. - Czy będę później warta tego, by za mną tęsknić?

- Będę tęsknił za tobą do mego ostatniego tchnienia - odrzekł bez wahania.

Podeszli objęci do łoża i Marc zaraz przekonał się, że ubranie kobiety jest jak

zbroja.

- Musisz się zabawić w pokojówkę - zażartowała z uśmiechem Cecily.

Zacząła mu pomagać i dawać instrukcje. Wskazywała guziki, które trzeba rozpiąć, i sznurówki wymagające rozwiązania. Wszystko to trwało dość długo i wymagało cierpliwości. A także powściągliwości, która sprawiała, że podniecenie w nich rosło.

Aż w końcu Cecily stanęła przed siedzącym na brzegu łoża Markiem naga, z warokoczem przerzuconym przez ramię. Oniemiały, rozkoszował się jej widokiem. Patrzył na jej ciemne włosy, na białą skórę, na cienką talię i zarys bioder.

Nieraz wyobrażał ją sobie nagą, lecz śniąc, nie czuł słodkiej woni jej ciała zmieszanej ze słonym zapachem morza; nie słyszał jej przyspieszonego oddechu ani cichych pojękiwań, które świadczyły o tym, jak bardzo go pragnie.

Cecily poczuła jego dotknięcie - zadziwiająco delikatne jak na wojownika. I weszła do łoża, by leżąc pod nim, poddać się pożądaniu. Teraz liczyło się tylko to, że są razem. Delektowała się tej nocy ich bliskością i pieścizotami; z radością przyjmowała go w sobie, by choć dzisiaj stać się z nim jednością.

I gdzieś pośród szeptów, dotknięć, uścisków, odpływając w sen, bezpieczna w jego ramionach, usłyszała kilka francuskich słów.

Je t'adore. Pour toujours.

Nazajutrz rano Cecily obudziła się i wysunęła z łoża bardzo cicho, pragnąc zobaczyć, jak wschodzi słońce i jak rozpoczyna się zupełnie nowy dzień. Rozejrzała się i miała wrażenie, że wszystko wygląda jakoś inaczej, jakby świat i ona sama przeszły odnowę.

Stojąc przy oknie i patrząc na wschód słońca nad Kanałem, usłyszała za sobą kroki, a w następnej chwili Marc stanął u jej boku, ziewając.

Czy on także tego ranka czuł się nowym człowiekiem? Nie mogła go o to zapytać, bo wszystko między nimi było tak delikatne, tak subtelne jak szarości i złoto widoczne w tej chwili na niebie. I tak ulotne jak oddech, który przemija w jednej chwili.

Stali więc w milczeniu i patrzyli, jak słońce wynurza się z wody, a złociste światło blednie i przechodzi w błękit.

- Sądzę - odezwał się Marc, gdy zrobiło się całkiem widno - że czas już, żebyś zobaczyła nagrobek.

Nagrobek. Na sam dźwięk tego słowa robiło jej się zimno. Nauczyła się oddychać, nie płacząc. Nauczyła się żyć. A nawet kochać. Czy znajdzie teraz odwagę, by skonfrontować się z nieodwracalnym faktem śmierci rodziców? I czy po tej konfrontacji pograży się znowu w rozpacz i wątpieniu, które dręczyły ją przez ostatnie lata? Czy może będzie patrzyła na przedstawiające ich nieruchome figury po prostu jak na zwykły kamień?

I co będzie gorsze: powrót rozpacz czy obojętność?

Marc dotknął jej ramienia.

- Będę przy tobie - zapewnił.

Te proste słowa sprawiły, że z jej oczu popłynęły łzy. Chwyciła jego dłoń i powiedziała:

- Chodźmy. Obejrzymy dzieło rzeźbiarza.

Szli ramię w ramię, ona wciąż pełna obaw, a on gotów stać przy niej tak, jak obiecał, i nie opuścić jej nawet na chwilę. Gdy podeszli do grobowca, przy którym czekał już na nich wezwany zawczasu rzeźbiarz, Cecily w milczeniu skinęła mu głową i odważyła się spojrzeć na jego dzieło.

I zobaczyła coś, co przewyższało wszelkie jej oczekiwania.

Dwie śnieżnobiałe postacie - męska, w pełnej zbroi i z mieczem u boku, i kobieta, w przedstawionych wiernie co do najdrobniejszego szczegółu wspaniałej sukni i nakryciu głowy - leżały obok siebie, nieruchome i spokojne.

To Cecily zauważyła w pierwszej chwili. A w następnej zobaczyła, że dłonie matki spoczywa w dłoni ojca, tak jakby nawet po śmierci nie mogli ani chwili trwać, nie dotykając się nawzajem.

- Mam nadzieję, wasza wysokość, że was zadowolilem - odezwał się rzeźbiarz.

Cecily, bliska łez, kiwnęła głową.

- O tak! Tak... Jest wspaniałe. Możecie z dumą wracać do domu.

- Gdybyście chcieli, żebym jeszcze popracował nad włosami...

- *C'est tout* - przerwał rzeźbiarzowi Marc. - Hrabina chce zostać sama - dodał zaraz, a gdy rzeźbiarz się oddalił, zapytał: - Czy są do siebie podobni?

- Wcale.

Twarz mężczyzny była wąska, przedstawiona zgodnie z panującymi kanonami sztuki, a nos matki zbyt ostry.

- Ale to nie ma znaczenia. Bo liczy się tylko to - powiedziała Cecily i dotknęła złączonych dłoni rodziców. - Ten rzeźbiarz... tak to przedstawiając... pokazał mi...

- Co takiego?

- Miłość. Ich miłość - odrzekła rozpromieniona. - Gdy matka pojechała na polowanie, myślałam, że czyni to z poczucia obowiązku... że matka przedkłada je ponad żalobę. Ale teraz... teraz myślę, że ona chciała się z nim połączyć... i być z nim na zawsze.

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo drzwi kościoła otworzyły się z hałasem. A gdy oboje się obejrzel, zobaczyli, że Henry, zarządca zamku, idzie ku nim szybko wzdłuż nawy.

- Wasza wysokość - zwrócił się do Cecily - przedstawiciel Najjaśniejszego Pana i lord Coucy są tutaj. Zanim wraz z ciałem króla Jana wsiądą na statek, chcą dostać obrok dla koni i żywność dla ludzi. Odpływają jutro o świcie.

Przystawię ci do gardła nóż i powiem, że cię uwolnię, gdy będę już na statku...- to zaplanował Marc. A teraz nawet nie drgnął.

Patrzył tylko na Cecily, która podniosła na niego wzrok. Ich spojrzenia spotkały się na długą, powolnie upływającą chwilę, po czym ona odwróciła się ku nagrobkowi i pogładziła śnieżnobiały kamień.

Następnie, prostując się dumnie, jak przystało na hrabinę, powiedziała do zarządcy:

- Dajcie im wszystko, czego potrzebują. Ale nie mówcie, że ja i kawaler de Marcel jesteśmy tutaj. Czy to jasne?

Zarządca, choć zdezorientowany, kiwnął potakująco głową i się oddalił. Cecily

również wyszła z kościoła i udała się na wysokie nadmorskie klify, a Marc podążył za nią.

- Przychodziłam tu w dzieciństwie. Zawsze wtedy, gdy chciałam się ukryć, uciec - powiedziała Cecily, patrząc na morze, i zamilkła, a Marc wziął ją za rękę, czekając, co powie dalej.

- Jestem gotowa - powiedziała w końcu - aby zostać hrabiną i pozwolić rodzicom spoczywać w pokoju...

Czy także na to, by wyjść za mąż za człowieka wybranego przez króla? - ta myśl raniła Marca głęboko, była niczym pchnięcie sztyletem. Czekał jednak w milczeniu na dalsze słowa Cecily.

- Ale nie jestem gotowa na to, by powiedzieć „Żegnaj”. Nie jestem gotowa cię opuścić.

Marc podniósł rękę i dotknął jej włosów. Pieszczotliwym gestem odgarnął niesforne kosmyki z jej czoła. Za nim, w porcie, był statek, który mógł go zawieźć do domu. Wystarczyło, by zrobił to, co planowali. Wystarczyło, by podjął odpowiednią decyzję. Wybór należał do niego.

- Znajdę inny sposób, by dostać się do domu - oznajmił, wziął Cecily w ramiona i pocałował.

A potem zeszli ze ścieżki i opadli na trawę. Kochali się długo i powoli, jakby chcieli, aby ta chwila trwała w nieskończoność. Później długo leżeli wtuleni w siebie, w ciszy, z zamkniętymi oczami, jakby bali się zburzyć ten moment idealnej harmonii.

Znajdę inny sposób, powiedział sobie w duchu, i odsunę to, co nieuniknione, o jeszcze jeden dzień, o tydzień, a może nawet i o miesiąc.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Królewski kondukt otrzymał wszystko, co było mu potrzebne, i opuścił zamek, nie dowiadując się o obecności Marca i Cecily. Statek odpłynął do Francji, Coucy wrócił do Londynu, a Marc i Cecily nie zamienili więcej na ich temat ani słowa.

Cecily oddała się teraz przygotowywaniu zamku na przyjazd przyszłego męża. A Marc jej w tym pomagał.

Za dnia działali razem, starając się nie myśleć o nieuniknionym rozstaniu, a nocą znajdowali w sobie pocieszenie. Stopniowo ich noce stawały się coraz ważniejsze. Ważniejsze od dni, bo gdy się kochali, zapominali o wszystkim, a ich świat kurczył się do ich łóżka.

Każdego ranka Marc wstawał wcześniej i wychodził z komnat Cecily, dbając o to, by służba nie zorientowała się, gdzie spędził noc. Następnie szedł na wieżę, z której szczytu obserwował wschód słońca. Gdy pogoda była piękna, spoglądał w stronę ojczystych brzegów i przypominał sobie, że musi tam wrócić. Lecz do czego? – zadawał sobie prawie za każdym razem pytanie. Francja była jego ojczyzną – to prawda, ale jemu to już nie wystarczało. Pragnął własnego domu, ukochanej kobiety, rodziny, którą można by się było opiekować i o którą w potrzebie musiałoby się walczyć. A tego we Francji nie było. No a poza tym, mówił sobie, uciekając, złamię obietnicę złożoną memu własnemu, a także angielskiemu królowi. Postąpię niehonorowo i nie będę godny miłości Cecily.

Tak rozmyślając, doszedł do wniosku, że musi zostać w Anglii. Nie po to, by żyć z Cecily. Nie. Wiedział, że to niemożliwe. Ale po to, by dotrzymać danego słowa i postąpić uczciwie.

Następnego ranka, patrząc na wschodzące na horyzoncie słońce, podjął decyzję. Podda się królowi Edwardowi.

Kilka dni później Cecily obudziło głośne pukanie do drzwi. Otworzyła oczy i zorientowała się, że nie jest jeszcze nawet widno. Obok łóżka Marc, nawykły do nagłych sytuacji, stał już prawie ubrany. Jednak to, gdzie spał, nie mogło już być utrzymane w tajemnicy.

– Wasza wysokość! Czy już nie śpicie?

Był to głos zarządcy Henry’ego. Cecily okryła się prześcieradłem i kazała mu wejść. Nawet nie spojrział na Marca.

– Sir Gilbert jest tutaj, wasza wysokość. Przywozi wieści od króla.

– To znaczy, że hrabia wrócił już z Irlandii?

– Jeszcze nie, pani.

Cecily odetchnęła, ale wtedy zarządca popatrzył na Marca.

– Król przybywa po niego.

Tego się nie spodziewała. Fakt, że król przebył w tym celu tak długą drogę, oznaczał, że jest rozgniewany. I że Marca czeka więzienie. Albo coś jeszcze gorszego.

- Skąd się dowiedział, że tu jesteś?

- Enguerrand. Kiedy się zorientował, że mnie nie ma... - Marc wzruszył ramionami. - *Tout compris*.

- Ale dlaczego powiedział o tym królowi?

- Z powodu lady Isabelli.

No tak. Byli teraz lojalni przede wszystkim w stosunku do siebie...

- Sir Gilbert mówi - odezwał się zarządca - że król zjawi się tu przed śniadaniem.

Cecily pospiesznie wydała mu polecenia i odesłała do Gilberta, by go powiadomił, że ona zaraz zejdzie. Potem wyskoczyła z łóżka i zaczęła się szybko ubierać.

- Musisz jechać - zwróciła się do Marca. - Powiem Gilbertowi, że zaraz przyjdiesz, a gdy się nie zjawisz, udam zaskoczoną. Jest tutaj łódź. Rybacka, rzadko używana. Weź ją. Henry przyniesie ci prowiant i wodę. Tam, na dół, na plażę. Moim ludziom można ufać. Zagadam Gilberta i dam ci czas.

- Cecily - powiedział takim tonem, że na niego spojrzała i aż wstrzymała oddech.

Było to nie do zniesienia. Cecily z bólem patrzyła na twarz Marca, wiedząc, że czyni to po raz ostatni. Zawsze myślała, że będzie jeszcze jeden dzień. A teraz nie mieli nawet czasu na pocałunek.

- Musisz się spieszyć.

- Ja zostaję.

- Co takiego?

- Zostaję. Zamierzam się poddać.

- Ale... on cię wtrąci do więzienia. Uciekłeś. Tym razem nie będzie zabaw ani dworskich uroczystości...

- Wiem. Jestem gotowy.

- Ale dlaczego?

- Byłem zakładnikiem i uciekłem. Postąpiłem niehonorowo, a teraz muszę to naprawić. Bez ciebie mój honor jest wszystkim, co mi zostało.

Rzuciła mu się na szyję. Ale on okazał siłę. Odsunął ją od siebie, a potem wziął pod brodę i pocałował. Nie namiętnie tak jak podczas ich wspólnych nocy. Tylko miękko i delikatnie.

- *Adieu* - powiedział i skierował się ku drzwiom.

- Nie! - zaprotestowała. - Proszę cię. Daj mi czas. Musi być jakieś inne wyjście. Inne rozwiązanie

Ale on już wyszedł na korytarz.

Pozostawiwszy Cecily przeświadczoną, że idzie się ukryć, Marc poszedł do Wielkiej Sali, gdzie zastał Gilberta.

- Gdzie ona jest? Co jej zrobiliście? - zaczął pytać podniesionym głosem, kiedy tylko zobaczył Marca.

- Nie zrobiłem jej nic złego. Ale zmusiłem ją, żeby mnie tu przywiozła i dała mi schronienie.

- Po co?

- Po to, bym mógł udać się do domu.

- Ale wciąż tu jesteście.

- Postanowiłem się jednak oddać w ręce króla. Będę w Anglii aż do chwili, gdy zo-

stanie za mnie zapłacony okup.

- A jeżeli okupu nie będzie?

- Wtedy umrę w *Angleterre* - odrzekł Marc, wzruszając ramionami.

- Robicie to dla honoru?

- Żeby uhonorować ją.

- A ona? Wie o tym?

- Nie odważyłbym się mówić za hrabinę. Ale mam odwagę prosić was, byście zaprowadzili mnie do króla, zanim ona się tu zjawi.

- Proście o zbyt wiele, Marcu de Marcel. I robicie to za późno.

Cecily spojrzała najpierw na jednego, a potem na drugiego, sama nie wiedząc, czy kieruje nią w tej chwili namiętność czy wściekłość.

- Nie zaczekałeś - powiedziała do Marca z wyrzutem.

Prawda jednak była taka, że on nie był posłuszny nawet królowi.

- Czy on cię skrzywdził, gdy cię porwał? - zapytał Gilbert.

- Gdy mnie porwał? Było wprost przeciwnie. To ja zmusiłam jego, żeby mnie przywiózł do domu.

- Przecież ja to mogłem zrobić - powiedział Gilbert zdezorientowany.

- Król rozkazał mi zostać na dworze. Jak więc mogłam prosić ciebie czy któregośkolwiek innego z jego rycerzy o zlekceważenie jego rozkazu?

- A dlaczego chciałaś przyjechać do domu?

- Bo były rzeczy, które tu musiałam zrobić przed swoim... zamążpójściem

- Te rzeczy... - odezwał się Marc tonem tak łagodnym jak ten, którego używał, gdy byli sami. - Te prace... są już zakończone. A ja - mówił dalej do Gilberta, ale patrząc na Cecily - kiedy król tu przybędzie, poddam się ponownie w jego ręce i zostanę w niewoli.

- Nie - zaprotestowała Cecily. - Ja nie pozwolę...!

- Wasza wysokość! - przerwał jej głos zarządcy. - Jego Królewska Mość przybył!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Król wkroczył do Wielkiej Sali, zanim skończono wymieniać jego tytuły, i stanął twarzą w twarz z Cecily.

- Czy nic ci się nie stało, drogie dziecko?

Było to raczej pytanie kochającego wuja niż rozgniewanego monarchy. Marc odechnął z ulgą.

Cecily dygnęła.

- Witajcie w Losford, Najjaśniejszy Panie. Czuję się dobrze i mam nadzieję, że i wy jesteście w dobrym zdrowiu - powiedziała, a następnie poleciła zarządcy, żeby nakarmił członków królewskiej eskorty, i poprosiła Gilberta, żeby poszedł zjeść śniadanie z nimi.

Gdy Marc i Cecily zostali z królem sami, Marc zrobił krok w stronę monarchy i przyklęknął na jedno kolano.

- Poddaję się, Najjaśniejszy Panie. Jestem znowu waszym zakładnikiem.

- Nie! - wyrwało się Cecily, lecz on, nie zważając na to, mówił dalej.

- I jestem gotów na śmierć, jeżeli wy, Najjaśniejszy Panie, zechcecie mi za moją ucieczkę wymierzyć taką karę.

- Dlaczego miałbym was zabić i stracić okup? - zdziwił się król.

- Pod rządami nowego francuskiego króla, Wasza Królewska Mość, nie spodziewam się okupu.

- Okup za tego człowieka zostanie zapłacony - odezwała się nagle Cecily. - Ja go zapłacę.

Marc nie miał pewności, kto był bardziej zdumiony - on sam czy król Edward.

- Nie! - zaprotestował, wstając. - Nie pozwolę...

Cecily nie dała mu jednak dokończyć. Chwyciła go za rękę i mówiła dalej:

- I, Najjaśniejszy Panie, jest coś jeszcze, co musicie wiedzieć. Pragnę go poślubić.

Król, oniemiały, stał przez chwilę w bezruchu, a potem podniósł ręce w górę, jakby w geście rozpaczy, i zaczął przechadzać się po sali.

- Przez tyle miesięcy twierdziłaś, że nie jesteś gotowa do małżeństwa, a teraz nagle mówisz mi coś takiego?! Hrabia Dexter będzie tu lada dzień! I co ja mu powiem?

Idź do diabła! - pomyślał Marc, ale Cecily nie dała mu dojść do słowa.

- Pozwalacie, Najjaśniejszy Panie, lady Isabelli na ślub z zakładnikiem, którego pokochała - powiedziała bardzo spokojnie. - Ja proszę o ten sam przywilej.

- Moja córka nie posiada zamku stanowiącego najważniejszą fortecę broniącą angielskiego wybrzeża!

Marc poczuł, że palce Cecily się zaciskają. Jeżeli król poprosi, by dla mnie zrezygnowała z Losford, to... co ona wybierze? - zadał sobie pytanie, a w następnej chwili zapragnął udowodnić, że jest wart Cecily. Wart tego króla. I wart tego kraju.

Ponownie padł na kolana.

- Przysięgam, Najjaśniejszy Panie - powiedział - że będę tak samo wierny wam, jak i Cecily. I jeśli zajdzie taka potrzeba, oddam życie w obronie waszej, w jej obronie i w obronie tego zamku.

Król pokręcił głową.

- I co ja mam z wami zrobić, kawalerze z Doliny Oise? - zapytał tonem, który zdradzał, że choć to skrywa, ma ochotę się roześmiać.

Cecily odetchnęła.

- Pozwólcie nam, Wasza Królewska Mość, iść za głosem serc - powiedziała.

- Zanim tu przybyłem, Isabella próbowała mnie na to przygotować. Ona i Coucy ostrzegali mnie, że tak będzie.

- Ja, Najjaśniejszy Panie, dotrzymam danego słowa. Klnę się na mój honor - zapewnił Marc uroczyście.

- Hrabia Dexter - powiedział król, kręcąc głową - będzie bardzo rozczarowany.

EPILOG

Zamek Windsor, 27 lipca 1365 roku

- Cecily, musisz mi pomóc!

Isabella, gestem nerwowej, nieśmiałej dziewczynki, poprawiła na głowie koronę.

- Ćśśś - powiedziała z uśmiechem Cecily. - Stój spokojnie, pani.

Księżniczka i jej dwórki znajdowały się stłoczone poza zasięgiem wzroku tych, co się zgromadzili w kaplicy Świętego Jerzego. I nie było nic dziwnego w tym, że Isabella jest zdenerwowana.

Był to przecież dzień jej ślubu, który planowano przez blisko rok. Miał być tak wspaniały jak zaślubiny z królem Kastylji czy władcą Flandrii, a nie z lordem Coucy.

- No - powiedziała Cecily, cofając się o krok i lustrując pannę młodą od stóp do głów spojrzeniem. - Wyglądasz, pani, pięknie. A korona jest *très belle*.

Korona, jeden z wielu prezentów ślubnych od króla, wysadzana brylantami i szafirami, była godna mającej zasiąść na tronie królowej.

Cecily miała swój ślub za sobą. Ślub znacznie skromniejszy niż zaślubiny księżniczki. Bowiem ona i Marc złożyli sobie małżeńską przysięgę w kościółku w Losford. A dziś zgromadziła się cała szlachta angielska, by zobaczyć, jak królewska córka wychodzi za mąż za francuskiego hrabiego.

Gdy szły już do kaplicy, Cecily wygładziła suknię na brzuchu, a zaraz potem spojrzała w stronę Marca i uśmiechnęła się do niego.

Postanowiła, że dziś wieczorem, po ceremonii, podzieli się z mężem nowiną, że w przyszłym roku, w kościółku w Losford, odbędą się chrzciny.

Marc patrzył na swego gotowego do ślubu przyjaciela, zadowolony, że tak jak dawniej są sobie bliscy. W końcu zakochanemu mężczyźnie należy więcej wybaczać. Podobnie jak zakochanej kobiecie.

Enguerrand wraz ze ślubem stawał się wolnym człowiekiem i otrzymywał tytuł hrabiego Bedford. A król, co zrozumiałe, nie zażądał od niego okupu.

Cecily zaś naprawdę zapłacała za Marca i często przypominała mu ze śmiechem, że należał do niej. Uszczęśliwiało to go bardziej niż cokolwiek innego.

Co więcej, by Marc mógł dorównać pozycją swojej żonie, która pochodziła przecież z jednego z najwspanialszych rodów Anglii, król Edward uczynił go hrabią. Marc poczuł, że znalazł nareszcie swoje miejsce na ziemi. Miał wymarzoną, godną szacunku i miłości żonę oraz władcę, który zasługiwał na jego lojalność.

Tytuł oryginału: Whispers at Court
Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Ltd, 2015
Redaktor serii: Dominik Osuch
Opracowanie redakcyjne: Dominik Osuch
Korekta: Lilianna Mieszczńska

© 2015 by Wendy B. Gifford
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2016

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.
Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.
Harlequin i Harlequin Romans Historyczny są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.
HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.
Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-2549-6

Konwersja do formatu MOBI:
Legimi Sp. z o.o.

Spis treści

Strona tytułowa
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
Rozdział siedemnasty
Rozdział osiemnasty
Rozdział dziewiętnasty
Rozdział dwudziesty
Rozdział dwudziesty pierwszy
Rozdział dwudziesty drugi
Epilog
Strona redakcyjna